

Bernard Werber

Gwiezdny motyl

Przełożyła Joanna Kluza

Le papillon des étoiles



*Claude'owi Lelouchowi,
który pozwolił mi zrealizować
mój pierwszy film
„Nos amis les Terriens”*

I

CIENÍ MARZENIA

1. POTĘGA WODY

Na początku był podmuch.

Potężny podmuch słonego wiatru.

Popychał on żaglowce po bezkresnych oceanach.

Ze wszystkich zaś żaglówek bez wątpienia najszybsza była łódź należąca do Elisabeth Malory.

Ta młoda kobieta o turkusowych oczach zyskała opinię mistrzyni, odbywszy dwa razy z rzędu samotny rejs dookoła świata, którego to wyczynu – jak dotąd – dokonali wyłącznie jej koledzy mężczyźni.

Sama na dziobie katamaranu ochrzczonego mianem *Latającej Ryby* ścisłała w dłoniach drewniany ster, nadając kierunek długiej, wysmukłej konstrukcji uformowanej z aluminium, żywicy i włókna szklanego.

Jej delikatna łódź, która płynęła naprzód, prując pianę lub unosząc się nad falami niczym latająca ryba, cała drżała.

„Szybciej, mocniej!”.

Podczas burzy, czując pieśczołę naładowanej jodem mżawki, Elisabeth śpiewała, fałszując, na całe gardło. W tym właśnie tkwił sekret jej zwycięstwa: zmieszać głos z wiatrem, aby zjednać sobie rozszalałe żywioły.

Dzięki temu miała wrażenie, że sama staje się morzem: migoczącą słońą wodą, przechodzącą od tnących fal do koronki z piany.

Elisabeth Malory była piękna.

Wszyscy mężczyźni ulegali jej urokowi, poza tym krążyły słuchy, że między rejsami miała wielu kochanków. Kiedy zaś zmęczyły ją te śmieszne igraszki, musiała znaleźć się sama pośrodku płynnej pustyni, za jedynych towarzyszy mając chmury i zaprzyjaźnione ryby.

2. SŁODYCZ POWIETRZA

Na początku było marzenie.

Marzenie o nowych horyzontach.

Pobudzało ono eteryczną wyobraźnię Yves'a Kramera.

To właśnie on – szef wydziału Innowacji i Futurologii renomowanej Agencji Kosmicznej – zajmował się wyborem nowych projektów podróży w kosmos. Jak dotąd nie zdołał żadnego z nich doprowadzić do końca, chociaż w jego gabinecie piętrzyły się stosy dokumentów zawierających schematy nowych rakiet, stacji orbitalnych, a nawet miast do zbudowania na najbliższych planetach. Yves Kramer nie różnił się od stada zapracowanych mężczyzn, którzy plątali się po laboratoriach aeronautycznych. Średniego wzrostu, łysiejący, nosił okulary o grubych szklach, za którymi kryło się zagubione gdzieś w oddali spojrzenie.

Ten inżynier nigdy nie rozstawał się z białym fartuchem z kieszeniami pełnymi piór, w których wysechł atrament, oraz bardziej lub mniej popsutych kalkulatorów.

Jego praca polegała głównie na wysyłaniu uprzejmych odpowiedzi odmownych, które zaczynały się niezmiennie słowami: „Dziękujemy za przedstawienie nam Pańskiego projektu. Niestety, nie pasuje on do żadnego z naszych obecnych programów, przyznane nam zaś subwencje nie pozwalają na realizację Pańskiej propozycji”. Kończyły się zaś tak: „Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku. Proszę nas informować o postępach Pańskich badań”.

Yves Kramer traktował swoją pracę poważnie. Dokładnie czytał do samego końca większość projektów, nawet te najbardziej nierzeczywiste. Z miejsca został etatowym rozmówcą dziennikarzy, którym przedstawiał najbardziej oryginalne scenariusze, jakie otrzymał.

Strąciwszy niechcący stos listów z odpowiedziami odmownymi, zabrał się do układania ich w uporządkowaną stertę. W tej samej chwili zadzwonił telefon, usiłując zaś go odebrać, zanim włączy się automatyczna sekretarka, zrzucił następny stos, zaczął więc je zbierać i sortować.

Mówiono, że jest roztrzepany, on sam zaś uważał się za marzyciela.

Mówiono, że jest niezdarą, on sam zaś uważał się za roztargnionego.

Mówiono, że jest nieobecny duchem, on sam zaś uważał się za pogrążonego w osobliwych rozmyślaniach.

Yves Kramer wiedział, że nie ma subwencji, które pozwoliłyby na realizację jakiegokolwiek projektu spośród tych, które rozważał. Mimo to nie tracił nadziei, że pewnego dnia sfinalizuje któryś z nich. Nie chciał, aby spełniła się niegdysiejsza przepowiednia jego pierwszej żony, że stanie się „zwyčajnym obserwatorem, który opowiada dziennikarzom o nudnych mrzonkach, jakie nigdy się nie ziszcą”.

Nocą, kiedy opatulony kołdrą siedział z okiem przytkniętym do kauczukowego wizjera własnego teleskopu, który zainstalował na tarasie, wyobrażał sobie czasem, że pewnego dnia jeden z jego projektów się powiedzie.

A wtedy tam polecą.

Daleko przed siebie.

„Dalej, wciąż dalej”.

Opuści Ziemię, na której czuje się coraz bardziej obco.

3. PIERWSZA FALA

Spotkanie podmuchu i marzenia, czyli Elisabeth Malory i Yves'a Kramera, nie odbyło się w idealnych warunkach.

Inżynier słuchał właśnie w samochodzie rytmicznej muzyki, pędząc na złamanie karku, ponieważ jak zwykle był spóźniony na rozmowę z pewnym dziennikarzem.

Żeglarka przechodziła z kolei przez jezdnię, aby dostać się do biura nowego sponsora, który miał sfinansować jej następny samotny rejs dookoła świata.

Padła deszcz, na dodatek wycieraczkami słabo działały. Yves od dawna wiedział, że powinien wstąpić do warsztatu, aby je naprawić, ale nie znalazł na to czasu.

To właśnie stanowiło jego drugi problem poza roztrzepaniem: prokrastynacja. Sztuka odkładania na jutro tego, co powinien zrobić dzisiaj. Później zaś musiał pędzić, żeby nadrobić spóźnienie.

Przyspieszył na zakręcie.

Oslonięta parasolem Elisabeth, ze słuchawką od telefonu komórkowego w uchu, rozmawiała tymczasem z jednym ze swoich wielbicieli, który opowiadał zabawne historie, żeby ją uwieść. Niezłe mu to zresztą wychodziło.

Zapewne z tego właśnie powodu nie usłyszała ryku silnika samochodu, który mknął w ciemnościach. Dostrzegłszy jej postać, Yves gwałtownie nacisnął pedał hamulca. Mimo że koła się zablokowały, śliska nawierzchnia nie zapewniła przyczepności oponom, które sunęły niczym wodolot. Przód auta uderzył żeglarke w kolana. Rozległ się suchy odgłos przypominający trzask łamiącego się drewna. Elisabeth miała wrażenie, że została wyrzucona bardzo wysoko w powietrze, w zwolnionym tempie. Poszybowała w górę, poczuła deszcz, ujrzała ziemię ze sporej wysokości, raptownie spadła i już się więcej nie podniosła. Leżała na jezdni wykrzywiona bólem. Przestała się ruszać.

4. SŁONE OPARY

Uznano, że nie żyje. Przeżyła.

Rekonwalescencja trwała długo. Elisabeth umościła się w meandrach szpitalnej pościeli, podobnie jak zwierzę zagnieżdża się w norze, żeby zapaść w zimowy sen.

Kiedy zaś wreszcie zdołała wyjść, uświadomiła sobie, że coś w niej umarło. W dole kręgosłupa czuła ostre rwanie. Nie mogła już stać ani chodzić. Od tej pory będzie musiała się poruszać na wózku.

Elisabeth straciła ochotę do śpiewania. Czuła się zdradzona przez los. Zgodziła się na intensywną rehabilitację i pomoc psychologiczną.

„Wolniej, słabiej”.

Wprawdzie rehabilitant zapewniał, że będzie mogła kiedyś chodzić o kulach, ona jednak dość się nasłuchiwała w życiu kłamców i oszustów, żeby wiedzieć, że mówi tak wyłącznie po to, aby ją pocieszyć.

Jej kariera sportowa była skończona. Gniew zaś nie miał granic. W głowie tkwiła tylko jedna myśl, zawierająca się w krótkim słowie: „Zemsta”.

Pirat drogowy, który zniszczył jej przyszłość, musi za to zapłacić. I to wysoką cenę.

5. GĘSTE MGŁY

Błysk fleszy. Las mikrofonów.

Na procesie transmitowanym przez wszystkie media Yves Kramer mówił niewiele. Przyznał się przed sędzią do wszystkich przewinień. Wyjąkał przeprosiny pod adresem głównej oskarżycielki.

Skazano go na najwyższą karę. Do końca życia miał wypłacać rentę młodej mistrzyni, która stała się inwalidką. Na dodatek dostał karę więzienia w zawieszeniu za nieumyślne okaleczenie ciała. Ponadto odebrano mu na zawsze prawo jazdy na samochód, motor i skuter. Wolno mu było prowadzić jedynie rower, poza tym sędzina nie omieszkała mu doradzić, żeby ze względu na stopień roztrzepania jeździł wyłącznie po polnych drogach.

– Jeśli człowiek nie potrafi patrzeć przed siebie, powinien siedzieć w domu, inaczej stanowi zagrożenie dla innych – oświadczyła na koniec, uderzając młotkiem, żeby uciszyć publiczność.

Po procesie inżynier podszedł do młodej żeglarki, stojącej przy drzwiach do sądu, pragnąc przeprosić z głębi serca, wyjąkać wyrazy ubolewania oraz życzenia rychłego powrotu do zdrowia. Ona jednak nie dała mu skończyć zdania, kiedy zaś tylko znalazł się dostatecznie blisko, zamierzyła się i złączywszy obie dłonie dla lepszego skutku, rąbnęła go w podbródek. Ledwie upadł na wznak, zerwała się z wózka i rzuciła mu się do gardła, z pazurami i pianą na ustach.

Inżynier nawet nie próbował się bronić, tylko zamknął oczy, czekając z rezygnacją, aż wyzionie ducha. Potrzeba było aż trzech osób, żeby wyrwać go z rąk żeglarki inwalidki, która na odjezdnym napłuła mu w twarz.

6. POGMATWANIE DRÓG

Oba życia zostały zniszczone.

Elisabeth Malory wiedziała, że nigdy nie będzie mogła poruszać nogami ani miednicą. Biodra bolały ją tak bardzo, że wykluczały na zawsze współżycie seksualne. Była mistrzyni poruszała się wyłącznie na wózku, przy pomocy pielęgniarki. Musiała się przeprowadzić do mieszkania na parterze. Następnie, zamknięta w sobie, zbuntowana, zaczęła pić i palić. Z powodu jej trudnego charakteru wiele pielęgniarek odeszło, ponieważ doprowadzała je do płaczu albo biła.

Kompulsywnie napychała się jedzeniem: cukierkami, masłem orzechowym, kanapkami z kremem czekoladowym, chipsami, lodami.

Ponieważ nie mogła spać, zaczęła brać środki nasenne.

Ponieważ cierpiała na bóle miednicy, zaczęła brać środki przeciwbólowe.

Ponieważ stała się nerwowa, zaczęła brać środki uspokajające.

Ponieważ była załamana, zaczęła brać środki antydepresyjne.

Pod wpływem tej kombinacji leków widziała świat niewyraźnie, jakby przez mgłę.

„Wolniej, słabiej”.

Elisabeth Malory, unieruchomiona po tylu latach działania, robiła coś, czego nie robiła nigdy dotąd: całymi godzinami leżała rozparta na poduszkach, wśród słodczy, z błogim wyrazem twarzy i pełnymi ustami, wpatrzona w maleńkie okienko telewizora. Kiedy nie jadła, paliła papierosy i sączyła alkohole. Kiedy zaś nie piła, połykała tabletki.

Za sprawą wiadomości odkryła własny świat, przed którym uciekała dotąd po oceanach.

A obrazy, jakie ujrzała, były okrutne.

Jej świat to była wojna.

Jej świat to był fanatyzm religijny.

Jej świat to był ślepy terroryzm.

Jej świat to było nieustanne zanieczyszczanie środowiska.

Jej świat to było potworne przeludnienie.

Jej świat to były: bieda, głód, nędza.

Pośrodku tego wszystkiego zaś znajdowała się klasa nowobogackich, którzy pojawili się

we wszystkich krajach na Ziemi i którzy przepływali z cynizmem ponad masą cierpienia.

A wśród nich Gabriel Mac Namarra, pionier informatyki, który stopniowo eliminował z rynku swoich konkurentów, od niedawna zaś przerzucił się na genetykę. Dzięki czemu panował nad maszynami i istotami żywymi.

Uznano go za najbogatszego człowieka na świecie. Nawet szefowie państw przyjmowali go tak, jakby był jednym z nich.

Słyszając, jak opisuje swój idealny dom przyszłości, Elisabeth Malory pomyślała, że gdyby miała nadal sprawne nogi, z pewnością poszłaby do tego całego Mac Namarry i poprosiła, żeby sfinansował jej budowę żaglowca, który przewyższałby wszystkie łodzie, na jakich pływała do tej pory.

Tej nocy śniła o sfinansowanej przez miliardera *Latającej Rybie 2*, która zabrałaby ją daleko od wszelkich cierpień.

Sen ten został jednak przyćmiony przez inny. Stawała się w nim jednym z tych ptaków, które mijają pewnego razu w pobliżu zatopionego tankowca: oblepioną mazutem mewą na próżno usiłującą rozwinąć skrzydła.

7. ŚWIATEŁKO W MROKU

Wyczerpanie.

Yves Kramer poprosił o roczny urlop.

Po procesie, dręczony wyrzutami sumienia, inżynier wiele razy usiłował odnaleźć Elisabeth Malory, ona jednak wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych kontaktów z człowiekiem, który zamienił jej życie w koszmar.

Mimo to nadal do niej dzwonił. Codziennie. Pozostawiał na automatycznej sekretarce wiadomość wraz z życzeniami powrotu do zdrowia.

Yves Kramer również oglądał dziennik telewizyjny. Stanowił on skuteczne odwrócenie uwagi. Cudze nieszczęścia pozwalały zapomnieć o własnych.

„Kiedy widzę się w lustrze, odczuwam lęk.

Widok innych ludzi mnie uspokaja”.

Im gorzej było gdzie indziej, tym łatwiej potrafił się pogodzić z tym, co działo się tutaj.

Będąc od zawsze zapalonym ekologiem, działał niegdyś na rzecz ocalenia ginących gatunków, przyjaznej środowisku hodowli roślin, kontroli przemysłu spożywczego i protestował przeciwko okrutnemu traktowaniu bydła przez przemysłowe ферmy. Miał za sobą także okres anarchistyczny, podczas którego walczył o zlikwidowanie rządów, policji i armii.

Wszystkie te boje stanowiły jednak odległą przeszłość. Wiadomości telewizyjne zaś przypominały mu, że były one utopią.

Ster trzymali bowiem fanatycy, miernoty i kłamcy, którzy narzucali swoje prawa.

Kiedy Yves Kramer nie myślał o Elisabeth Malory, czytał projekty, które mu przysłano.

Siedząc samotnie w domu, mógł teraz nadrobić opóźnienie i zapoznać się z dziesiątkami dokumentów czekających na opinię.

Przekonał się, jaką możliwą przyszłość dla podboju kosmosu widzą jego najbardziej nawiedzeni współcześni. Nie chcąc się sugerować tym, co przeczytał, rozłożył wszystkie trzysta projektów wprost na podłodze, chodził między nimi i wyciągał ze stosów na chybił trafił.

Właśnie wtedy do pokoju wleciała ćma.

Uderzała o szyby, po czym – zwabiona światłem sufitowej lampy – z uporem zaczęła trzepotać krawędzią skrzydeł o delikatne szkło żarówki, powodując nieprzyjemny odgłos.

Yves Kramer obserwował ją przez chwilę. Wtem przypomniał sobie pewne zdanie wypowiedziane przez jego ojca: „Ćmy zawsze lecą do światła”. Po czym pobiegł do szafy, jakby widok tej ćmy przypomniał mu o czymś pilnym. Spośród trzystu dokumentów zapomniał przeczytać jednego. Sporządzonego przez Jules’a Kramera, jego ojca.

Wyjął segregator i zdmuchnął nagromadzony na nim kurz.

Ponad jego głową ćma pocierała skrzydłami o żarówkę, wydając coraz bardziej natarczywy odgłos.

Yves Kramer przyglądał się temu, co trzymał w dłoniach. Projekt, nazwany skromnie „Słonecznym Żaglowcem”, stanowił ostatnią obsesję jego ojca, zanim ten popełnił samobójstwo z powodu kobiety.

Jules Kramer również był inżynierem kosmonautą. Znalazłszy się u szczytu kariery, wpadł na pomysł, aby zaprzestać używania jako paliwa węglowodorów, a zacząć korzystać z energii świetlnej. Oczywiście w przeszłości przeprowadzano doświadczenia z taką energią, wszystkie jednak zakończyły się niepowodzeniem. Wkrótce też zaprzestano badań.

Yves odruchowo skierował wzrok ku pewnemu przedmiotowi z jego kolekcji ciekawostek naukowych. Ku radiometrowi.

Ten zadziwiający przyrząd podarował mu ojciec, aby objaśnić zasadę napędu świetlnego.

Była to duża bańka ze znajdującą się wewnątrz osią, wokół której obracały się cztery ramiona zakończone biało-czarnymi rombami. Padające na białą część rombów światło lampy wprawiało ramiona w ruch.

Gdy Yves Kramer zbliżył przedmiot do światła, radiometr zaczął się obracać z ogromną prędkością.

Inżynier wiedział, że składa się ono z fotonów i że to właśnie te cząsteczki światła, padając na romby od jasnej strony, wprawiają je w ruch, powodując obracanie się ramion wokół osi.

Biel odbija fotony. Czerń je pochłania.

Przypomniał sobie kolejne zdanie ojca:

– Ocali nas światło.

Yves, będący wówczas jeszcze chłopcem, odparł:

– Myślałem, że ocali nas miłość...

– Och nie, synu. Miłość może być złudzeniem. Miłość może doprowadzić do szaleństwa.

Człowiek potrafi zabić z miłości. Często zdradza z miłości. Za to światło nigdy nie zdradza. Ono jest wszędzie. Ono oświetla. Odślania. Ogrzewa. Światło sprawia, że rosną kwiaty i drzewa. Pobudza nasze hormony, odżywia organizm. Można żyć bez miłości, ale nie można żyć bez światła. Wyobraź sobie świat, w którym panowałyby ciemności, w którym ludzkość byłaby pogrążona w wiecznym mroku. Wyobraź to sobie, a wtedy zrozumiesz.

– Ale przecież światło to tylko światło – powiedział w zamyśleniu Yves.

– Nie. Światło to wszystko. Kiedy ogarną cię wątpliwości, zachowuj się tak jak słoneczniki: szukaj, skąd dochodzi światło, i odwracaj się ku niemu.

Rozmowa ta nabrała tym większego znaczenia, że ojciec trzy lata później popełnił samobójstwo.

Z miłości. Odwieczny, stary dylemat ojców: radzą swym dzieciom, żeby postępowały w określony sposób, po czym sami robią coś zupełnie odwrotnego.

W jego głowie rozległy się kolejne zdania Jules'a Kramera:

– Wszyscy jesteśmy gąsienicami, które muszą przejść metamorfozę, aby stać się motylami. Kiedy tylko przeobrazimy się w motyle, musimy rozpostrzeć skrzydła, aby móc odlecieć ku światłu.

Yves Kramer zgasił lampę i otworzył okno, żeby uwolnić ćmę. Spoglądał przez chwilę, jak odlatuje ku latarni ulicznej, po czym podniósł wzrok.

Minęła północ, zrobiło się zimno, niebo zaś było idealnie czyste. Naukowiec pomyślał sobie, że tam, w górze, jest wiele potężnych lamp, które potrafią wprawić w ruch radiometry.

Wieczna energia.

8. OGRZEWANIE ZA POMOCĄ ŚWIATŁA

Od horyzontu przeniknął promień.

Świt. Słońce wstało nieśmiało, nie potrącając chmur.

Była wiosna, przyroda zaś z niecierpliwością pragnęła się obudzić.

Wypiwszy duszkiem gorącą kawę na balkonie, Yves Kramer ubrał się i wziął do pracy.

Żeby zapomnieć o wypadku, postanowił rzucić się bez opamiętania w wir tworzenia nowego projektu kosmicznego związanego z energią świetlną.

Skoro ojciec nie żył, musiał odszukać jego notatki uzupełniające. Odnalazł je w zapisanych ręcznie zeszytach zgromadzonych w pudełkach po butach, które leżały na górze w szafie, za swetrami narciarskimi. Było ich wystarczająco dużo, żeby opracować projekt. W tamtej chwili żałował, że nie rozmawiał częściej z człowiekiem, który go spłodził. Jules Kramer. Mężczyzna samotny, roztargniony, marzyciel. Podobnie jak on, także prokrastynator.

Odłożył to, co powinien był zrobić, nie na następny dzień ani tydzień, tylko... na następne życie.

Obrazy ojca, jakie zachował, były to niemal wyłącznie komiczne sceny. Ojca przeproszającego matkę za to, że włożył do prania kolory razem z białymi rzeczami. Ojca przeproszającego za to, że powiedział coś przykrego teściom. Ojca przegrywającego sprawę rozwodową, bo spóźnił się do sądu (już wtedy wprowadzał innowacje w sztuce przegrywania procesów). Ojca, słynnego inżyniera w fabryce samolotów, wyrzuconego z pracy z powodu „niezdolności stawiania się o czasie na umówione spotkania”. Ojca podrywającego zbyt młode dziewczyny, które w końcu dają mu kosza.

– Ja się nie załamuję: im lepiej mi idzie, tym piękniejsze są dziewczyny, które mi odmawiają – żartował.

Jules Kramer podarował mu pociągi elektryczne, plastikowe modele samolotów, prototypy miniaturowych samochodzików na benzynę, zdalnie sterowane łodzie podwodne, szybowce, które należało złożyć samemu z balsowych listewek i ceraty.

Oczyrna duszy widział, jak ojciec cieszy się z zabawek, którymi obdarowywał syna, do tego stopnia, że bawi się nimi chętniej niż on sam.

Pamiętał nawet wypełniony helem sterowiec na pilota wraz ze śmigłami i sterem. Ledwie

puścili to ponaddwumetrowej długości urządzenie, wznosiło się bez końca, nie reagując na żadne sygnały, aż stało się jedynie świecącym punkcikiem wysoko na niebie.

Nazajutrz Jules opowiadał synowi z dumą, jak to naoczni świadkowie byli przekonani, że widzą latający spodek. Yves wiedział, że to był ich sterowiec, który wymknął się spod kontroli, ponieważ miał za małe obciążenie.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Naukowiec czuł, że jest na dobrej drodze, żeby wieść takie samo życie jak jego ojciec. Do pełni brakowało mu tylko jakiegoś cholernego romansu i samobójstwa. Po co włożył projekt fotonowy do szuflady w szafie? Znał odpowiedź, była oczywista. Z powodu dumy. Nie chciał być tylko przedłużeniem inteligencji swojego ojca. Pragnął istnieć poza przytłaczającym obrazem jego niezrozumiałego geniuszu.

Trzeba było tego nieszczęśliwego wypadku z Elisabeth Malory, żeby rozpocząć wszystko od zera. I trzeba było ómy, by mu przypomnieć, że ma u siebie wspaniałą projekt, najbardziej ambitny ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wpadły mu w ręce.

Zdawał sobie sprawę, że nie uznał go za ważny przez czystą próżność, jakby bał się zrobić przyjemność ojcu.

Teraz wszystko było inaczej.

Siedząc sam w odciętym od świata pokoju, Yves Kramer tak długo szperał w bibliotece Agencji Kosmicznej, aż znalazł plany prototypu wahadłowca o napędzie fotonowym. Istnieje bardzo cienki żagiel z ultralekkiego materiału, mylaru, który ma taką właściwość, że można go pokryć lustrzaną farbą o bardzo wysokich zdolnościach odbijających. Grubość tego żagla wynosi jedną dziesiątą średnicy włosa.

Nagle dotarło do niego, że system nie działał dlatego, że statki z napędem słonecznym były wyposażone w zbyt małe żagle. Ciąg był za słaby. Uważał, że należy zaprojektować żagiel wielkości nie kilkunastu, lecz kilkudziesięciu metrów.

Yves Kramer zabrał się do szkicowania schematów statków i żagli słonecznych wyposażonych w mechanizmy zdolne szybko je rozwijać i nadawać im kierunek przez ciągnięcie na linach.

Trwająca wiele tygodni gorączkowa praca doprowadziła do powstania projektu „ŻS”, czyli „Żaglowca Słonecznego”. Następnie Yves Kramer przedstawił go przełożonym z Agencji Kosmicznej.

Broniąc go przed Komisją Oceny Projektów Futurologicznych, podkreślił, że – jego

zdaniem – można przystąpić do budowy prototypu.

Komisja potrzebowała pół roku na odpowiedź.

Odpowiedź była negatywna.

9. ZŁOTE ŁZY

Ręka mu drżała.

Gabriel Mac Namarra wypuścił kartkę, która poszybowała na podłogę. Diagnoza była jasna i nieodwołalna. Za późno. Choć multimiliarder, uważany za najpotężniejszego człowieka na świecie, miał dopiero pięćdziesiąt trzy lata, wydawał się znacznie starszy.

Trzeba przyznać, że w ciągu ostatnich lat nadużywał wszystkiego: alkoholu, narkotyków, a zwłaszcza cygar. Miało to swoją cenę. Ceną tą zaś, zapisaną na kartce, która właśnie spadła na podłogę, był „rak płuc”. Przejrzał się w lustrze. Przy niskim wzroście, z jasnosiwymi włosami, wzrokiem spode łba, nieodłącznym dwudniowym zarostem, w bardzo szykownej skórzanej kurtce, modnym szerokim podkoszulku na wystającym brzuchu, w butach z czubami, z diamentowym kolczykiem w uchu, z krawatem z plecionej skóry, przypominał starego, zgryźliwego rockmana alkoholika.

Zawsze starał się modnie wyglądać.

Mrugnął do siebie porozumiewawczo i uśmiechnął się, odsłaniając ozdobiony złotem ząb. Sam zamienił się w złoto, tylko co mu z tego przyszło? W obliczu choroby złoto roztapia się niczym ołów. Uświadomił sobie, że zbudowanie największego imperium technologicznego i finansowego na świecie jest niczym, skoro człowiek zostaje zredukowany do stanu chorego, skazanego wkrótce na przykre seanse radio – i chemioterapii. Niedługo straci resztki włosów i będzie się uśmiechał smutnym uśmiechem ludzi zżeranych od środka.

Czym zawinił, żeby jego ciało poniosło aż taką karę?

Gabriel Mac Namarra pomyślał, że świat jest okrutny, właśnie wtedy bowiem, gdy człowiekowi się wydaje, że odniósł całkowity sukces, wszystko się wali. Lekarze zaproponowali, że wytną mu jedno płuco, to bardziej czarne, on jednak odparł, że woli, by jego ciało samo walczyło z chorobą i że „skoro trzeba zdechnąć, lepiej zdychać w całości”.

Ponieważ lekarze nie mieli jednoznacznej opinii na ten temat, wybuchy gniewu miliardera zaś były równie słynne jak spektakularne, nie nalegali, uznawszy, że to ostatnia walka człowieka skazanego. Wieczorem tego dnia, gdy otrzymał złą wiadomość, Gabriel Mac Namarra zjadł kolację z przyjaciółmi, po czym się upił. Następnie uprawiał seks z bardzo drogimi dziewczynami na telefon i zażył bardzo silny narkotyk, z tych, które niszczą mózg, ale

zapewniają kolorowe wizje.

Nazajutrz, stwierdziwszy, że jeszcze żyje i że rzeczywistość powróciła, wybuchnął śmiechem. Chciał umrzeć, śmierć go jednak odrzuciła. Śmiech Gabriela Mac Namarry brzmiał niczym puszczonego w ruch syfon, który nie może przestać działać. Parskał, rzeźił, czekał, co niezmiennie kończyło się kaszlem. Kaszał coraz bardziej.

Kiedy przestał się śmiać, kasłać i ocierać łzy, zaczął oglądać wiadomości na kanale biznesowym.

Pod koniec dziennika, w ramach „anegdot ze świata przemysłu”, prezenter wspomniał o odrzuceniu projektu pewnego inżyniera oryginała, który zamierzał wypuścić nie zwykłą rakietę, ale statek kosmiczny napędzany światłem promieni gwiazdnych.

Gabriel Mac Namarra zawsze był przesądny, w portmonetce nosił talizman, na szyi zaś zwinięte w rulonik magiczne zaklęcie. Chętnie odwiedzał wróżki, media i innych astrologów. Jego zdaniem, szczęście stanowiło jeden z czynników, które każdy wielki przywódca powinien brać pod uwagę. Obserwował znaki.

Uważał, że rozwiązania przychodzą wtedy, kiedy człowiek odczuwa potrzebę, żeby je poznać.

Dziwnym trafem, być może za sprawą wiadomości, że ma wkrótce umrzeć, ten projekt statku kosmicznego napędzanego jedynie światłem gwiazd wydał mu się niczym innym, jak tylko znakiem od losu. Żywił przekonanie, że usłyszał tę informację nieprzypadkowo. Była ona przeznaczona właśnie dla niego.

W gruncie rzeczy „wysłanie statku słonecznego w kosmos” sprawiało wrażenie oryginalnego i zabawnego pomysłu. Zapisawszy zatem nazwisko inżyniera, który bronił tego niezwykłego projektu, chwycił za telefon.

10. ODPAROWYWANIE ZŁOTA

Spotkanie marzenia i władzy, czyli Yves'a Kramera i Gabriela Mac Namarry, odbyło się na górze, na ostatnim piętrze najwyższego budynku w mieście, nazwanego nie inaczej, tylko Mac Namarra Tower. Złoty wieżowiec ocierał się o chmury.

Właśnie tam, w skąpanej w blasku światła innych domów restauracji, z której można było podziwiać panoramę miasta i która obracała się wolno wokół własnej osi, naukowiec przedstawił swoje plany. Wyjaśnił, że napęd węglowodorowy umożliwia tylko ograniczone podróże w kosmos. Jedyną zaś niewyczerpana energia, jaką można znaleźć we wszechświecie, to światło. Jest to wprawdzie słaba energia, lecz występuje wszędzie, istnieje zatem możliwość długich podróży bez konieczności zabierania ze sobą rezerw paliwa. Bogaty przemysłowiec zapytał, po co budować statek kosmiczny, który może długo latać.

– Żeby wydostać się z Układu Słonecznego.

Gabriel Mac Namarra okazał zdziwienie, po chwili zaś poczuł łaskotanie od śmiechu. Natychmiast też uruchomił swój gardłowo-ustny mechanizm, wywołując efekt dźwiękowy ku ogromnemu zdziwieniu swojego rozmówcy, który nigdy dotąd nie słyszał równie zjawiskowego wybuchu wesołości. Miał wrażenie, że słyszy wprawioną w ruch i wirującą coraz szybciej turbinę elektryczną.

Przemysłowiec śmiał się długo, odkaszlnąwszy zaś, opanował się wreszcie i zachęcił naukowca, żeby wyłożył swój pomysł do końca.

Yves Kramer przedstawił mu swój projekt „ŻS” – „Żaglowca Słonecznego”.

Planował budowę olbrzymiego statku napędzanego przez jeszcze większy żagiel, żeby dotrzeć do najbliższej gwiazdy położonej poza Układem Słonecznym. Miał nadzieję, że znajdzie tam planetę, na której będzie można zamieszkać.

Tym razem Mac Namarra już się nie roześmiał. Poprzestał tylko na pytaniu:

– Inną planetę, na której będzie można zamieszkać, krążącą wokół najbliższej gwiazdy?... Hm... Jak daleko jest ta najbliższa gwiazda?

Yves Kramer znał te liczby na pamięć. – Najbliższa gwiazda wraz z planetami, na których prawdopodobnie będzie można zamieszkać, jest... jakieś dwa lata świetlne stąd.

– Co daje w kilometrach? Proszę mi wybaczyć, ale ja rozumiem tylko w kilometrach.

– Jeden rok świetlny... hm... Światło porusza się z prędkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, a więc jeśli pomnożyć to przez minuty, godziny i dni, żeby otrzymać rok, to nam daje... hm... – Wyjął kalkulator. – Otrzymamy dziewięć tysięcy czterysta sześćdziesiąt miliardów kilometrów.

– Jaką odległość całkowitą trzeba pokonać, żeby dotrzeć do tego pańskiego drugiego układu słonecznego? – zapytał nieco zniecierpliwiony przemysłowiec.

– A więc mnożymy przez dwa, żeby uzyskać odległość od najbliższej gwiazdy, co daje, powiedzmy, na oko dwadzieścia tysięcy miliardów kilometrów.

Przemysłowiec okazał lekkie rozdrażnienie.

– Tylko tyle. Proszę pamiętać, że to nie moja działka, nie bardzo się więc orientuję. Z jaką prędkością może latać to pańskie cudo, ten słoneczny superstatek?

– Na Ziemi odpowiadałoby to średnio dwóm milionom kilometrów na godzinę.

Przemysłowiec uniósł z niedowierzaniem brew.

– To niesamowite. Jest pan pewien, że statek kosmiczny może osiągnąć aż tak zawrotną prędkość?

– Oczywiście. Przede wszystkim, kiedy ciało zostaje wyrzucone w kosmos, nie zwalnia, ale leci z prędkością, jaką daje mu początkowy impuls. Hamowanie nie występuje, bo nie ma tarcia o powietrze ani grawitacji. Toczące się po Ziemi kule spowalnia powietrze i siła ciężkości. Ale kula w kosmicznej próżni toczy się z taką samą prędkością, dopóki się jej nie zatrzyma.

– Hm... To pewnie dlatego asteroidy tak szybko mkną przez wszechświat, chociaż nie mają silników?

Yves Kramer był mile zaskoczony tą uwagą, która świadczyła o tym, że jego rozmówca interesuje się tematem. Zaczął więc z zapałem mówić dalej:

– Właśnie. Ale energia fotonowa w kosmosie na dodatek się kumuluje. To tak, jakby cała energia zebrana przez fotony gromadziła się, sumowała i nie robiła nic innego, tylko pchała statek coraz szybciej i szybciej. I rzeczywiście nasz pojazd będzie bez przerwy przyspieszał.

– To działa w pobliżu Słońca, ale jeśli się oddalimy, promienie są chyba słabsze, nie?

Inżynier nie spodziewał się, że przemysłowiec poruszy ten problem.

– Przez połowę drogi do następnej gwiazdy będziemy mogli wykorzystać do rozpędu promienie słoneczne. Następnie zachowamy maksymalną prędkość, a odpowiednio ustawiając żagle, będziemy mogli dodać do niej światło innych znajdujących się w pobliżu gwiazd. Jak już

mówiłem, to energia, która się sumuje i nigdy nie wyczerpuje. A więc dwa miliony kilometrów na godzinę to realna liczba.

Przemysławiec wpatrywał się przez chwilę w Kramera, po czym wzruszył ramionami.

– Znakomicie, okrągłe liczby, tak jak lubię – powiedział.

Wyjął notes oraz pióro z pełnego złota i zabrał się do wypisywania cyfr.

– Ja też umiem mnożyć. A zatem prędkość pojazdu: dwa miliony kilometrów na godzinę. Skoro doba ma dwadzieścia cztery godziny, po pomnożeniu daje nam to czterdzieści osiem milionów kilometrów dziennie, zgadza się?

– Zgadza.

– Czyli jakieś dwadzieścia miliardów kilometrów rocznie.

Gorliwy kelner podał im wino o purpurowym kolorze i silnym aromacie. Naukowiec spróbował go odruchowo. Przemysławiec zaś powąchał, po czym skosztował małymi łyżkami, zanim zaczął mówić dalej.

– A więc skoro odległość od celu wynosi dwadzieścia tysięcy miliardów kilometrów, a pański statek porusza się z prędkością dwudziestu miliardów kilometrów rocznie, to nie trudnego, potrzeba... hm... tysiąca lat podróży.

Yves Kramer nie pojmował, do czego zmierza przemysławiec. Ten podsunął mu zatem notes, pokazując obliczenia. Pokiwał głową na znak aprobaty.

– A więc tysiąc lat. Otóż o ile mi wiadomo, istota ludzka będąca w doskonałym zdrowiu żyje co najwyżej sto lat. Jak zatem zdoła pan rozwiązać ten problem, panie Kramer? Może przez hibernację?

– Nie. Hibernacja nie działa. Zimno niszczy bezpowrotnie jądra komórkowe. Moim zdaniem, należy podejść do tematu w sposób „naturalny”.

– Zamieniam się w słuch.

– W statku kosmicznym pokolenia powinny następować kolejno po sobie – oznajmił. – Kobiety będą rodzić dzieci, które będą łączyć się w pary i płodzić następne dzieci.

Przemysławiec zapalił cygaro.

– I nie boi się pan, że stworzy małych degeneratów? Miłość między braćmi i siostrami wcale nie jest taka wspaniała, genetycznie rzecz ujmując. Szkoda by było, gdyby zgraja niedorozwiniętych założyła nową ludzkość na jakiejś nadającej się do życia planecie.

– A kto powiedział, że zabralibyśmy tylko jedną parę? Miałem zamiar wziąć o wiele

więcej.

– Ile? Dwie? Trzy?

– Tysiąc.

Tym razem Mac Namarra zareagował.

– Tysiąc kosmonautów w ogóle czy tysiąc mężczyzn i tysiąc kobiet?

– Tysiąc mężczyzn i tysiąc kobiet.

Miliarder wypuścił obłok niebieskiego, gryzącego dymu.

– To daje niezły tłum. Zmieszczą się w jednej rakiemie?

– Planuję olbrzymi statek.

Wówczas Gabriel Mac Namarra zaczął się zastanawiać, czy inżynier przypadkiem nie zwariował. Dwa tysiące osób, aby mieć pewność, że po pokonaniu dwudziestu tysięcy miliardów kilometrów kilka z nich zostanie przy życiu. Zaciągnął się głęboko dymem z cygara. „Skoro już się truć, to przynajmniej mieć z tego pełną przyjemność”.

Pod wpływem nikotyny poczuł słaby dreszcz na plecach i przyływ aktywności. Prawdopodobnie dzięki zwężeniu naczyń krwionośnych pomysły szybciej się rozchodzą.

„Tracę czas – pomyślał. – Jeśli jego koledzy z Agencji Kosmicznej odrzucili ten pomysł, to znaczy, że jest nierealny. Dajmy sobie spokój”.

Miliarder już miał wstać, lecz coś go powstrzymało. Sam profil inżyniera. Na ogół ludzie ogarnięci obsesją okazują się mściwi. Ten natomiast sprawiał wrażenie, jakby wątpił. Wątpienie było zaś dla Mac Namarry oznaką dostrzegania względności świata. Nic nie jest pewne. Każda inteligentna istota musi zatem wątpić. A poza tym niechętnie odrzucał własne przesady na temat znaków dawanych przez los.

– Dwa tysiące mężczyzn i kobiet kosmonautów, którzy spłodzą dzieci, żeby w ciągu tysiąclecia przemierzyć dwadzieścia tysięcy miliardów kilometrów. Zdaję sobie sprawę, że to... jak by tu powiedzieć? Trochę nowe. Ale biorąc pod uwagę technologie, jakimi obecnie dysponujemy, nie widzę innego rozwiązania.

– Trzeba by albo zwiększyć prędkość statku, albo przedłużyć życie kosmonautów – podsunął Mac Namarra.

Przemysłowiec złożył zamówienie, zachęcając Kramera do wyboru najdelikatniejszych, a zatem najdroższych potraw. Obracająca się restauracja roztaczała przed nimi widok na uliczne korki, objawiające się długimi serpentynami czerwonych i białych świateł.

– To techniki, które mogą się jeszcze długo nie pojawić. – Ma pan rację. Musimy się zadowolić sprawdzoną wiedzą techniczną. A poza tym ja nie lubię czekać. Tak naprawdę to nie mogę... czekać.

Przeczytał ponownie liczby zapisane w notesie.

– Dwadzieścia tysięcy miliardów kilometrów. Skoro każde pokolenie rodzi potomstwo średnio w wieku dwudziestu lat, to nam daje pięćdziesiąt pokoleń pasażerów następujących po sobie w pańskim statku.

Przemysław zmarszczył brwi.

– Hm... Te wszystkie wielkie liczby naprawdę nieźle wyglądają. I przyprawiają o zawrót głowy.

– Budzą lęk. Wie pan, Agencja Kosmiczna odrzuciła mój projekt.

– Słyszałem o tym w telewizji, ale nie polegam na opinii ekspertów, żeby wyrobić sobie własne zdanie. Właśnie tak stworzyłem swoje imperium, myśląc samodzielnie i nie szukając poklasku tak zwanych specjalistów. W działaniu kieruję się sercem. A skoro już jesteśmy przy „astronomicznych” sumach, jak pan sądzi, ile może kosztować ta małeńka przygoda?

Właśnie nadjechały zamówione dania przykryte srebrnymi pokrywkami.

– Jeszcze nie wiem. Ale jeśli pan chce, mogę to panu powiedzieć jutro.

Kelner podniósł jednocześnie obie pokrywki, żeby odsłonić zawartość. Natychmiast uniosła się spod nich aromatyczna para.

– Poważnie... Czy mój projekt „ZS” mógłby pana zainteresować? – zapytał inżynier.

Gabriel Mac Namarra zabrał się do degustacji małego pieczonego ptaszka, który wyglądał, jakby szamotał się w pomarańczowym puree, podczas gdy Yves Kramer miał przed sobą srebrzystą rybę otoczoną zielonymi i żółtymi jarzynami.

– Dlaczego nie? Byłoby to, powiedzmy, „dziwactwo miliardera”. Bardzo lubię szalone wyzwania. Proszę mi sporządzić kosztorys i zabierzemy się do dzieła.

Yves Kramer omal się nie zakrztusił.

– Żartuje pan?!

– Nie. Kiedy byłem mały, wszystkie oszczędności wydawałem na najpiękniejsze zabawki. Powiedzmy, że mam ochotę kupić sobie właśnie taką zabawkę. A poza tym to fajnie, skoro w ten sposób można ocalić ludzkość, nie?

Po czym wybuchnął swoim szaleńczym gromkim śmiechem. Yves Kramer nie mógł

uwierzyć, że projekt naprawdę powstaje.

Przemysławiec przyglądał mu się z pewną ironią. Zachęcił go, by jadł, zanim zawartość talerza ostygnie.

– Tylko jedna drobna zmiana: pański projekt nazywa się „ŻS”, czyli „Żaglowiec Słoneczny”, zgadza się?

– Tak. Wybrałem najprostsze rozwiązanie.

– Chciałbym, żeby nazwał go pan inaczej: „ON”.

– Czyli?

– „Ostatnia Nadzieja”. Ponieważ, moim zdaniem, ten projekt to coś znacznie większego niż zwykła wycieczka w gwiazdy. Być może to nasza ostatnia nadzieja. Słyszał pan najnowsze wiadomości? – Spojrzenie miliardera uległo zmianie. – Mam wrażenie, że to już koniec. Ta planeta była naszą kolebką, ale ją zniszczyliśmy. Nigdy już nie damy rady jej naprawić, żeby była taka jak dawniej. Kiedy dom się wali, trzeba odejść. Zacząć wszystko od nowa, w innym miejscu i w inny sposób. W tej chwili uważam, że Ostatnią Nadzieją jest... ucieczka.

Słowa te zostały wypowiedziane lekko, jakby wygłaszał prognozę pogody z deszczem.

– Co pan o tym sądzi, panie Kramer?

– Cóż, nie mam nic do dodania. Całkowicie się z panem zgadzam. Właściwie są to słowa, jakich sam używam.

– W takim razie przestańmy kłapać dziobem i zabierzmy się do roboty. Kramer przełknął ślinę, ciągle nie wierząc własnym uszom.

– Zgoda co do projektu „ON” – wykrztusił. – Z tym że ja też mam drobną dodatkową sugestię. To dług wobec kogoś. Chciałbym za pośrednictwem tego projektu spłacić ten osobisty dług.

– Słucham pana.

– Nasz pojazd to statek słoneczny, ale jednak statek. Trzeba będzie halsować, stawiać żagiel, zmieniać kurs jak na żaglowcu. Chciałbym więc na kapitana doświadczoną żeglarkę. Mam tu na myśli konkretną osobę. To mistrzyni. Jest najlepsza.

11. PIERWSZY KOCIOŁ: TYGIEL

Gazeta została zgnieciona, zwinięta w kulkę, a następnie wyrzucona do śmieci.

Jeden ze znajdujących się w niej artykułów opisywał klęskę mistrzyni żeglarstwa, która z unoszącego się na falach albatrosa zmieniła się w warzywo na kółkach.

Yves Kramer zdawał sobie sprawę, że nie może zwrócić się bezpośrednio do Elisabeth Malory z propozycją współpracy. Zaczekał z tym więc, dopóki nie założył własnego ośrodka badawczego „Ostatnia Nadzieja”. Znalaziono mu siedzibę w podziemiach Mac Namarra Tower. Z początku obaj mężczyźni pragnęli zachować dyskrecję, żeby uniknąć drwin czy naśladownictwa. Miliarder wyznał Yves’owi, chwytając go pod ramię:

– Każdy człowiek, który podejmuje się czegoś nowego, musi stawić czoło trzem rodzajom wrogów. Po pierwsze: tym, którzy uważają, że należy zrobić coś wręcz przeciwnego. Po drugie: tym, którzy chcą zrobić to samo, którzy twierdzą, że ukradł im on pomysł i którzy tylko czekają, żeby go wykończyć, aby czym prędzej pójść w jego ślady. Po trzecie: całej masie tych, którzy nic nie robią i którzy są niechętni wszelkim zmianom i wszelkim oryginalnym inicjatywom. Ci są najliczniejsi i najczęściej gotowi przeszkodzić w doprowadzeniu projektu do końca z największą zażartością.

Złożywszy dymisję w Agencji Kosmicznej, Yves Kramer zabrał się do werbowania tych spośród swoich kolegów, których uważał za najbardziej utalentowanych.

W ośrodku badawczym „ON” zaczęło przybywać schematów i planów. Z początku było ich pięciu, wkrótce zaś dwudziestu ludzi usiłowało stworzyć wizję idealnego statku słonecznego.

Ponieważ jednak nazwy „ON” czy „Ostatnia Nadzieja” brzmiały zbyt pesymistycznie, postanowili zachować tę nazwę dla projektu, ale sam statek, zgodnie z propozycją Kramera, miał zostać ochrzczony mianem *Gwiazdnego Motyla*.

Idąc za ciosem, opracowali logo przedsięwzięcia, przedstawiające srebrzystoniebieskiego motyla pośrodku czarnego kosmosu, upstrzonego siedmioma gwiazdkami.

Im bardziej posuwały się prace, tym bardziej widoczny stawał się dla inżynierów fakt, że nie docenili wielkości statku ani liczby jego mieszkańców. Kramer był zmuszony przyznać przed swoim sponsorem, że należy podnieść wszystkie liczby. Statek musi być większy, o wiele większy. Nie ma pomieścić dwóch tysięcy, lecz dziesięć tysięcy kosmonautów. Co zaś do żagla z

myłam, musi sięgać kilkuset metrów kwadratowych.

Pozostali inżynierowie nie widzieli żadnego problemu, dopóki dysponowali wystarczającymi funduszami, aby pozwolić sobie na tego rodzaju zmiany.

Nazwa *Gwiezdny Motyl* okazała się tym bardziej odpowiednia, że narysowany na planach statek przypominał teraz olbrzymiego owada.

Wyposażony w dwa obszerne trójkątne żagle, których wierzchołki były skierowane ku ogromnemu korpusowi, zawierał głowę-kokpit wraz z dwojgiem kulistych przezroczystych oczu stanowiących miejsca dla pilotów. Z tyłu zaś znajdował się odwłok, utworzony przez dwa długie reaktory niezbędne przy oderwaniu się od ziemi.

Gdy Yves Kramer nabrał przekonania, że dysponuje już spójnym projektem, postanowił skontaktować się z Elisabeth Malory. Zrobił to za pośrednictwem swojej asystentki, Satine Vanderbild.

Wiedział, że nie zdoła uzyskać jej zgody inaczej niż dzięki umiejętności pobudzania marzeń. Liczył, że jego asystentka potrafi znaleźć odpowiednie słowa. Bardzo na to liczył. Ze okaże się przebojowa.

12. ŻELAZNY PORANEK

Spotkanie Satine Vanderbilt z Elisabeth Malory odbyło się w momencie, kiedy ta ostatnia wyszła właśnie z kolejnego ataku depresji.

Jej oczy zmieniły barwę z turkusowej na ciemnoszarą, źrenice zaś były stale rozszerzone pod wpływem środków uspokajających i alkoholu.

W salonie, zagraconym nieużywanyymi urządzeniami treningowymi, królował ogromny płaski telewizor nastawiony na program nadający wiadomości przez całą dobę.

Prezenter obwieścił właśnie pojawienie się śmiertelnej ptasiej grypy przenoszonej przez ptaki wędrownie. Dotychczas liczbę zmarłych oceniono na pięćdziesiąt osób, dodając przy tym, że według najnowszych analiz grypa ta zmutowała jakoby z powodu warunków hodowli drobiu, która staje się coraz bardziej intensywna. Jej przyczyną jest podobno przyspieszony cykl dobowy i podawanie hormonów, które miały wywołać szybsze dojrzewanie. Jak na razie grypa dotknęła jedynie kilka osób mających stały kontakt z drobiem, naukowcy przewidują jednak możliwość mutacji wirusa, który mógłby się wówczas przenosić już nie z ptaka na człowieka, ale z człowieka na człowieka. Nie ma na razie żadnej szczepionki, żadnego lekarstwa. Spodziewają się oni epidemii, która może pociągnąć za sobą wiele setek milionów ofiar.

Elisabeth czuła się stale wyczerpana. W gruncie rzeczy pragnęła zasnąć i już nigdy się nie obudzić.

Nalała sobie sporą porcję whisky, wrzuciła do niej kilka tabletek, wypiła, krzywiąc się, po czym zapaliła nerwowo papierosa. Następnie spojrzała na dziwną blondynkę, która grzecznie poprosiła o spotkanie i która czekała cichutko w fotelu.

– Projekt statku kosmicznego? W jakim celu? Wycieczki? Kosmicznych regat?

– Nie, niezupełnie. Powiedzmy raczej: wyprawy badawczej. Blondynka mówiła ze spokojem.

Elisabeth spodobał się jej styl – różnokolorowe sweterki włożone jeden na drugi oraz biżuteria w kształcie zwierząt. Uszy zdobiły jej długie kolczyki zakończone motylami.

– Źle pani trafiła. Nie jestem kosmonautką tylko sternikiem jachtowym.

– W takim razie powiedzmy, że potrzebujemy „sternika gwieźdnego”.

Tym razem Elisabeth roześmiała się szyderczo.

– Ślepa pani jest? Jestem kaleką. Nogi przestały mnie nosić. Zdaje się, że ktoś panią źle poinformował.

Natychmiast też dała do zrozumienia, że chce zostać sama, po czym pokazała jej drzwi.

Satine Vanderbilt udała jednak, że nie pojęła aluzji.

– Nie interesują nas pani umiejętności fizyczne, tylko wiedza na temat żeglarstwa. Ten kosmiczny żaglowiec będzie działał jak okręt, tyle że będzie napędzany nie przez wiatr, ale przez światło.

Asystentka nie chciała wrócić do nowego szefa z niczym. Rozumiała, że Elisabeth nie ma już na nic ochoty i że jej zdolność do zachwyty zmalała. Że fascynuje ją jedynie własna degrengolada. Satine stwierdziła, że potrzeba jej wstrząsu. Postawiła więc wszystko na jedną kartę i oświadczyła, że projektem kieruje Yves Kramer.

Rezultat był piorunujący.

Twarz żeglarki wykrzywił grymas.

– Jak on śmie? – oburzyła się.

– To był wypadek. On tego nie zrobił specjalnie. Gniew panią zaślepia. Usiłował przeprosić i chce wszystko naprawić. Ten projekt, „Ostatnia Nadzieja”, to coś więcej niż zwykły lot w kosmos. Ma na celu ocalenie ludzkości.

– Proszę się stąd natychmiast wynieść!

Satine Vanderbilt wstała i wyrwawszy z rąk Elisabeth pilota od telewizora, podkreśliła dźwiękiem do tego stopnia, że stał się ogłuszający.

Prezenter mówił właśnie o samobójczym zamachu popełnionym w szkole przez jakiegoś fanatycznego kamikadze. Na ekranie było widać zakrwawione ciała dziesiątków dzieci, transportowane na noszach lub w czarnych workach.

– Czy pani złość na Yves’a jest ważniejsza niż złość z powodu tego?

– Co panią napadło? Proszę ściszyć! Aż bolą uszy!

Elisabeth Malory usiłowała odzyskać pilota, lecz jej gość cofnął się na sporą odległość. Teraz z kolei dziennikarz mówił o radości, jaka zapanowała w stolicach wielu sąsiednich państw świętujących szlachetne poświęcenie kamikadze. Było widać tłumy uzbrojone w karabiny maszynowe, strzelające w niebo i unoszące w górę zdjęcia człowieka, który wysadził się w szkole. Skandowano wesoło jego imię. Komentator podkreślił, że podczas „dopingujących manifestacji” w sąsiednich stolicach wśród manifestantów było dwudziestu trzech zabitych,

którzy zostali trafieni przez wystrzelone z radości pociski albo zdeptani przez świętujący tłum.

– Proszę ściszyć! Pani nie ma prawa! Zaraz zadzwonię na policję!

Prezenter, którego pokryta makijażem twarz wypełniała olbrzymi ekran na ścianie, oznajmił właśnie z uśmiechem:

– ... wezwał wiernych do totalnej wojny. Zaklinał matki, aby zachęcały swoje dzieci do wysadzania się w powietrze za pomocą bomb dla świętej sprawy. Na ulicę już wyszła procesja matek, żeby skandować hasła religijne i obiecywać, że urodzą dużo dzieci, które zostaną przyszłymi bohaterскими męczennikami...

Elisabeth uwolniła się z trudem z fotela i opadła na wózek, po czym ruszyła na złodziejkę pilota. Zdołała się do niej zbliżyć, ilekroć jednak próbowała ją chwycić, tamta się cofała.

– Czego pani chce?!

– Proszę nam pomóc w projekcie „Ostatnia Nadzieja”.

– Przecież możecie zrealizować ten projekt beze mnie! – wrzasnęła Elisabeth Malory. – Są setki sterników jachtowych! Zwróćcie się do nich! Oni mają nogi!

Satine Vanderbild zgodziła się wreszcie ściszyć telewizor.

– Nie chodzi o panią, tylko o niego. Yves Kramer stworzył ten projekt i dźwiga go na swoich barkach. Wszystko zależy od niego, od jego kreatywności, od jego geniuszu. On musi siedzieć w jego głowie. Nigdy zaś się tam na dobre nie zagnieździ, dopóki będzie się czuł winny pani wypadku.

– Nigdy mu nie wybaczę! On zniszczył moje życie!

Satine z powrotem podkręciła dźwięk do oporu.

– Niech pani przestanie! Zaraz zadzwonię na policję!

Rozwścieczona Elisabeth ruszyła w kierunku telefonu.

Dokładnie w chwili gdy miała go chwycić, tamta wyciągnęła przewód z gniazdka.

Była mistrzyni żeglarstwa rzuciła się w pogoń, kiedy zaś uznała, że jest dostatecznie blisko, zerwała się z wózka. Satine jednak się cofnęła i Elisabeth upadła na wykładzinę, gdzie zaczęła pęłzać niczym zwierzę pozbawione kręgosłupa.

I znów posypały się informacje wraz z lawiną wstrząsających obrazów. Na ekranie pokazano właśnie pożar lasu. Hektary płonących drzewostanów sosnowych napełniły pokój pomarańczowym blaskiem i odgłosem palącej się z trzaskiem kory. Jakiś strażak oświadczył, że znaleziono ślady podpalenia i że podejrzewają deweloperów nieruchomości, którzy chcieli

zdobyć w ten sposób nowe tereny pod budowę willi. Kamera pokazywała ogromną czarną chmurę przesłaniającą niebo nad płonącym lasem, napełniając powietrze antracytowym płynem.

Od ustawionego na maksymalną głośność dźwięku drżały ściany. Sąsiedzi z góry zaczęli stukać miotłą, usiłując uzyskać ciszę.

Wyczerpana pełzaniem Elisabeth zgodziła się wreszcie na gest pojednania. Satine ściszyła telewizor.

– Czego właściwie pani ode mnie chce? Czy Kramerowi jeszcze mało, że połamiał mi nogi, musi jeszcze nasyłać kogoś, żeby prześladował mnie w moim własnym domu?

– Projekt nazywa się „Ostatnia Nadzieja” – powtórzyła w odpowiedzi Satine.

– Nigdy się do was nie przyłączę.

– Statek nazywa się *Gwiezdny Motyl*.

Satine rozłożyła plan, na którym widniały dwa wielkie trójkątne żagle zbiegające się ku czemuś, co przypominało długą rakietę.

Elisabeth chwyciła plan i wściekłym gestem podarta go na drobne kawałeczki.

– Wie pani, kim pani jest? – zapytała asystentka tonem pełnym rezygnacji. – Egoistką. Myśli pani wyłącznie o sobie. Już jako samotna żeglarka była pani egoistką. Kiedy pani podrywała sławnych facetów, robiła to pani wyłącznie dla własnej przyjemności. W żadnym pani czynie nigdy nie było miłości ani szlachetności.

– Nie pozwolę pani mnie osądzać. Pani pracodawca został skazany wyrokiem sądu. To on jest przestępcą. Tymczasem pani ma czelność prześladować jego ofiarę. Za to także słono pani zapłaci. Kiedy tylko pani stąd wyjdzie, zadzwonię do adwokata, a wtedy pani o mnie usłyszy. Pani też musi zapłacić za to wtargnięcie.

Satine znów podkręciła dźwięk.

– ... *proces o pedofilię. Podejrzany uprowadzał dzieci i zamykał je w piwnicy, żeby sprzedawać bogatym rozpustnikom, którzy wykorzystywali je do zaspokajania najniższych popędów...* – Niech pani przestanie! Niech pani przestanie!

– ... *po aresztowaniu mężczyzny jego żona, która zostawała niekiedy sama w domu z zamkniętymi w piwnicy dziećmi, wyznała, że słyszała ich krzyki, ale nie chciała się w to mieszać. Woląta pozwolić, żeby pomarły z głodu w celach...* – Proszę przestać, już dłużej nie mogę.

Satine ściszyła telewizor.

– Nienawidzę pani. Zapłaci mi pani za to.

– Nawet w pani gniewie nie dostrzegam nic oprócz przesadnie rozbudzonego ego. Czy choć raz nie mogłaby pani pomyśleć o innych? Ocalenie ludzkości to piękny projekt, nie?

– Sram na ludzkość! Niech wszyscy zdechną!

Podniosła szklankę i znalazła dość siły, żeby rzucić nią w blondynkę. Tamta jednak się uchylila, toteż szklanka roztrzaskała się o ścianę.

– Projekt jest finansowany przez Gabriela Mac Namarre, ale on, chociaż to miliarder, nie jest egoistą. On myśli o innych.

Natomiast pani, mimo że niepełnosprawna, nie widzi dalej niż czubek własnego nosa.

Żeglarka znieruchomiała i zaczęła miotać przekleństwa.

– Dlaczego przyszła pani tutaj, żeby mnie prześladować? W mózgu Satine Vanderbilt zagnieździła się tylko jedna myśl: „Teraz! Wóz albo przewóz”.

– Żeby panią uratować – powiedziała cicho.

Elisabeth wpatrywała się z niedowierzaniem w blondynkę, która ciągle ścisnęła pilota, jakby to była broń.

– Nie uda się przekonać ludzi przemocą i groźbami. Przynajmniej nie mnie.

Zrezygnowawszy z telefonu, Elisabeth odwróciła się po butelkę, po czym naląła do szklanki brunatnego płynu i złapała garść tabletek.

Satine wyrwała jej z rąk butelkę i rąbnęła nią z rozmachem o telewizor.

– Śpiąca królewna musi się obudzić.

Elisabeth zawahała się przez chwilę, czy powinna dalej walczyć, po czym zmieniła wyraz twarzy i wybuchnęła stłumionym, nerwowym śmiechem, który zamienił się w łkanie.

– Już za późno...

– Nigdy nie jest za późno.

– Pani nie rozumie, jestem skończona. Pani szef mnie zabił. A teraz przysłał panią, żeby pani dokończyła za niego robotę, prawda?

– Nie chcę pani skrzywdzić. Przeciwnie. Mogłabym wrócić, powiedzieć, że mi się nie udało, a pani znów by zaczęła pić i wszystko byłoby jak dawniej. Ale to ja postanowiłam nalegać. To ja ryzykuję proces o wtargnięcie. Czasami można uszczęśliwić kogoś wbrew jego woli. Proszę przyjść do ośrodka „ON”. Dla pani to także jest ostatnia nadzieja. Potrzebujemy pani w takim samym stopniu jak pani nas. Proszę nam udzielić wskazówek, w jaki sposób powinniśmy manewrować żaglami słonecznymi *Gwiezdnego Motyla*. A skoro widok Yves’a

Kramera sprawia pani aż tak wielką przykrość, cóż, to go pani nie zobaczy. Jemu zależy tylko na tym, żeby włączyła się pani do projektu w taki czy w inny sposób. Jeżeli nie stawi się pani jutro w naszym biurze, uznam, że nie potrafiła pani wykorzystać szansy, aby przestać być... fajtlapą.

Co powiedziawszy, Satine Vanderbilt wyszła, trzaskając drzwiami.

13. SIARKA I Ogień

Elisabeth Malory nie przyszła ani nazajutrz, ani dwa dni później.

Nie złożyła skargi na Satine Vanderbilt.

Asystentka zdawała sobie jednak sprawę, że czas działa na ich korzyść. Yves Kramer boleśnie odczuł tę porażkę. Kusilo go, żeby na dobre porzucić projekt „Ostatnia Nadzieja”.

Kiedy ogarniały go zbyt duże wątpliwości, wiedział, że wystarczy włączyć telewizor i posłuchać wiadomości, by z powrotem nabrać przekonania o konieczności budowy *Gwiezdnego Motyla*.

„Wszędzie siarka i ogień”.

Przypomniął sobie dyskusję, jaką stoczył pewnego dnia z ojcem. Zapytał go wtedy:

– Dlaczego istnieje cierpienie?

– Żebyśmy zmienili swoje postępowanie – odparł Jules Kramer. – Kiedy człowiek musi cofnąć rękę przed ogniem, potrzebuje bodźca w formie bólu. Istnieje nawet pewna rzadka choroba, a dotknięci nią ludzie nie czują bólu. Uświadamiają sobie swoje rany dopiero wtedy, gdy je zobaczą. Potrafią położyć dłoń na gorącej płycie i trzymać tak długo, aż nie poczują swędu palonego ciała. Na ogół osoby dotknięte tą chorobą umierają dość młodo.

Ojciec miał tę zachwyconą minę, którą przybierał zawsze, gdy mówił o czymś wstrętnym.

Yves Kramer pamiętał przerażenie, jakie obudziła w nim ta straszna opowieść. Nigdy nie przyszło mu to do głowy. „Brak cierpienia może zabić”.

Wchłonął jeszcze odrobinę powszechnego cierpienia w takiej formie, w jakiej przedstawiły je wiadomości, po czym wypiwszy tę czarę krwi, rzucił się na oślep w wir pracy, jakby otrzymał kopniaka.

Satine Vanderbilt okazała się osobą dynamiczną i wyjątkowo komunikatywną. Kiedy Yves prosił o kartkę z informacją, przynosiła cały plik dokumentów. Kiedy Yves domagał się zatrudnienia nowego inżyniera, Satine potrafiła znaleźć superzdolnego. Kiedy Yves zapomniał o umówionym spotkaniu, sama szła zamiast niego. Kiedy niechcący zepsuł jakieś urządzenie, naprawiała je.

Satine Vanderbilt posiadała dar wyczuwania i motywowania ludzi. Rankiem zjawiała się w biurze pierwsza i ostatnia zamykała drzwi strefy „Ostatniej Nadziei” w budynku Mac

Namarry.

– Jestem pewna, że Elisabeth dołączy do nas pewnego dnia – oświadczyła, kiedy jedli wspólnie kolację w restauracji z widokiem na miasto, na najwyższym piętrze.

– Nie. Już w to nie wierzę – odrzekł inżynier, zeskrobując sos, którym pochlapał marynarke.

Satine podała mu ręcznik, którego koniec umoczyła w wodzie, i pomogła zmyć plamę.

– Wzięłam na siebie to zadanie i kazałam ją śledzić prywatnemu detektywowi – powiedziała. – Codziennie dostaję raport na temat tego, co robi. Pograża się w bulimii, lekach i alkoholu.

– Czy te wiadomości mają mnie pocieszyć?

– Oczywiście. Ona tonie. Ale kiedy sięgnie dna, wypłynie na powierzchnię. Wystarczy poczekać, aż pograży się jeszcze bardziej, żeby zadziałał instynkt samozachowawczy. Teraz najlepszym sposobem, żeby jej pomóc, byłoby nakłonienie jej, aby więcej jadła, więcej piła, bardziej się załamała.

Tego wieczoru, odprowadziwszy Satine do domu, Yves Kramer spróbował ją pocałować, ona jednak grzecznie odmówiła.

– Nie jestem kobietą pańskiego życia – oznajmiła. – Kobietą pańskiego życia jest Elisabeth. Wiem, że to niełatwe, ale ja nie chcę być towarzyszką w zastępstwie. Trzeba poczekać. Rzeczy ciekawe nie przychodzą łatwo. Jej depresja to metamorfoza. Ona zmienia skórę. Tak jak gąsienica przemienia się w motyla. Wydaje mi się, że właśnie dlatego wybraliśmy symbol „ON”.

Pogłaskała Yves'a po twarzy natarczywym gestem i pocałowała go w czoło.

– Skąd się wzięło pani imię? – zapytał, żeby zmienić temat.

– Podobno kiedy się urodziłam, matka dostała kawałek satyny, żeby mnie owinąć.

Yves'a Kramera ogarnęło jakieś nieokreślone cierpienie, mieszanina poczucia winy, że spowodował czyjeś nieszczęście, rozczarowania, że nie jest obiektem pożądania i lęku, że jego projekt poniesie klęskę.

Doznał również dziwnego wrażenia, że świat zewnętrzny to tylko odbicie jego wewnętrznych emocji.

Pogodził się z tym stanem. Uzmysłowił sobie nawet, że kiedy jego serce zazna spokoju, wywoła to zaraźliwą harmonię.

Wówczas cały wszechświat także się wyciszy.

14. SÓL OŻYWIONA

Skulony kształt.

Strzegące wejścia kamery zarejestrowały opatuloną kocami postać upchniętą na wózku.

Myśląc, że to pewnie matka jednego z inżynierów, strażnik przepuścił ją bez przekonania.

Postać przejechała w fotelu na kółkach, który był bardzo szeroki, żeby pomieścić jej otyle ciało.

Nikt jej nie rozpoznał, Satine rzuciła się jednak do wejścia, aby powitać ją z należnymi honorami. Sekretarki pomogły jej się poruszać po korytarzach ośrodka.

Satine przyglądała jej się uważnie. Od ich ostatniego spotkania sprzed kilku miesięcy twarz jej się zmieniła, oczy były podkrążone, zapadnięte policzki pełniejsze, puszyste niegdyś włosy stały się matowe i jakby lepkie od brudu.

Ta gruba kobieta na wózku, obok której krzątało się wiele osób, stanowiła dziwny widok.

Elisabeth Malory była w złym humorze. Wyglądała, jakby przyszła tu wbrew sobie.

Zaczęła od tego, że postawiła mnóstwo warunków dotyczących swojego zatrudnienia, po czym zażądała astronomicznego honorarium. W umowie zastrzegła sobie, że nigdy nie zobaczy Yves'a Kramera ani nawet się z nim nie minie.

Na koniec zażądała, aby ośrodek „Ostatnia Nadzieja” zafundował jej kurację odtruwającą i odchudzającą oraz zapewnił dostęp do własnego gabinetu bez konieczności pokonywania jakichkolwiek schodów.

Na wszystko wyrażono zgodę.

– Ostrzegam panią! – zawołała, celując groźnie palcem w Satine. – Jeśli pan Kramer spróbuje się do mnie zbliżyć w jakikolwiek sposób, natychmiast zrywam umowę, a wy mi zapłacie za wyrządzone szkody.

– Ten punkt znajduje się w umowie. Witamy wśród nas, Elisabeth. Pragniemy, żeby ten projekt dał pani to, co daje nam: Ostatnią Nadzieję.

Była mistrzyni żeglarstwa podejrzewała młodą asystentkę o kpinę, wyczytała jednak w jej oczach szacunek.

Elisabeth Malory stworzyła komórkę badań nad nawigacją słoneczną. Przy pomocy innych żeglarzy, wśród których znalazło się kilku jej najlepszych współzawodników z

przeszłości, w końcu polubiła to zajęcie. Miała wrażenie, że rozwiązuje te same problemy co pionierzy żeglarstwa: jak manewrować, jak napinać płótno, żeby optymalnie przejmowało czynnik siły, bez względu na to, czy jest ustawione bokiem, tyłem czy na skos, jak przechwytywać podmuchy wywołane promieniami gwiazd.

Była mistrzyni i gorliwa asystentka w końcu się zaprzyjaźniły. Satine unikała rozmów o swoim szefie, który stanowił temat tabu.

Elisabeth była jej za to wdzięczna.

Poruszały tak zróżnicowane kwestie, jak zdrowie żeglarki, przewidywalność mężczyzn, moda czy atmosfera panująca w ośrodku „ON”.

Elisabeth liczyła wypijane szklaneczki alkoholu, lekarstwa, kilogramy i papierosy, usiłując zmniejszyć ich liczbę z każdym dniem.

Zdopingowany jej obecnością Yves Kramer wszedł w fazę twórczego podekscytowania. Tak jakby myślał, że jedynym sposobem, aby jego ofiara mu wybaczyła, jest odniesienie zwycięstwa w projekcie wspólnie z nią. Być może dla niej.

Rzecz jasna zachował należyty dystans, starając się wręcz nie wchodzić w jej pole widzenia. Niekiedy wpatrywał się w nią z bardzo daleka i już sam jej widok sprawiał mu ulgę.

„Ona jest z nami”.

Yves Kramer koniecznie chciał odnieść sukces. Zależało mu na tym jednak mniej niż Gabrielowi Mac Namarrze, który przy każdej kolejnej prośbie o pieniądze ochoczo proponował nadwyżkę, aby przedsięwzięcie posuwało się naprzód coraz szybciej i szybciej.

Pewnego dnia miliarder zgromadził całą ekipę „Ostatniej Nadziei” w wielkiej sali zebrań, uzyskawszy zaś informacje na temat postępów prac, rzucił:

– Ślimaczycie się, ślimaczycie. Moim zdaniem nie zdołacie tutaj nic więcej zrobić, macie za mało miejsca. A poza tym jesteście rozleniwieni przez miejski tryb życia. Wobec tego kazałem zbudować prywatny ośrodek na przedmieściu. Zapraszam do niego od jutra. Sami zobaczycie, jest bardzo... wyobcowany.

15. DRUGI KOCIOŁ: ATANOR

Jak okiem sięgnąć – nic.

Było to nie tylko „przedmieście”, ale daleka prowincja. Dwieście kilometrów od stolicy na pustynnym obszarze. Można tam było dotrzeć zakurzoną ubitą drogą, która przecinała wzniesienie, zanim odsłoniła nagą i suchą, lekko wklęsłą równinę. Ledwie człowiek znalazł się na dnie tej naturalnej niecki, czuł się oddalony od wszystkiego, najbliższe domostwo leżało bowiem w odległości kilkudziesięciu kilometrów.

Yves Kramer i Gabriel Mac Namarra jechali wielką złotą limuzyną. W pewnej chwili miliarder dał kierowcy znak, żeby minął wszystkie budynki, aby mógł wyjaśnić inżynierowi, co przygotował. Następnie wyjął mały schemat.

Ośrodek „Ostatnia Nadzieja” miał kształt litery „T”.

W prawym ramieniu litery „T” mieściła się część o nazwie „Badania i Zarząd”, biura i hangary, ogromne gmazyszko opatrzone szyldem BUDOWA.

Na końcu lewego ramienia znajdowała się strefa „Mieszkania i Rozrywki”, która okazała się prawdziwą małą wioską z osobnymi willami, rynkiem, restauracją, boiskami sportowymi i salami gimnastycznymi.

I wreszcie u stóp litery „T” był położony olbrzymi teren opatrzone tablicą z napisem KOSMODROM. Była to zarówno wyrzutnia rakiet, jak i budynek kontroli lotów. Stojące z boku liczne hangary i budynki służyły zapewne do przechowywania elementów konstrukcji i cystern z paliwem.

Gabriel Mac Namarra polecił kierowcy zatrzymać się. Kiedy kurz opadł, wysiedli.

– Podoba się panu, Yves?

Za nimi w strefie parkingowej stały właśnie autokary, które przywiozły pozostałych osiemdziesięciu ośmiu członków załogi „ON”.

– Gdzie my jesteśmy?

Gabriel wyjął cygaro, odgryzł zębami czubek i wypluł na ziemię.

– Oficjalnie jest to klub miłośników puszczenia rakiet, stanowiący rozrywkę dla pracowników moich zakładów.

Inżynier spostrzegł anteny radioteleskopu, kopułę obserwatorium i radary.

– Tutaj przynajmniej będziecie mieli dużo miejsca i będziecie mogli pracować w spokoju
– dodał po prostu miliarder.

Pozostali inżynierowie już rozstawili walizki niczym turyści na wakacjach. Ponieważ była ładna pogoda, powyciągali okulary przeciwsłoneczne.

Satine zaczęła odczytywać listę, przydzielając każdemu klucze do samodzielnej willi.

Yves Kramer odetchnął zapachem pustyni. Miał przeczucie, że będą się tu działy nadzwyczajne rzeczy.

16. FAZA GOTOWANIA NA WOLNYM OGNIU

Cztery. Trzy. Dwa. Jeden... Ognia!

Zapaliły się reaktory, wyrzucając strumienie żółtego i pomarańczowego gazu.

Odpalenie pierwszego prototypu *Gwiezdnego Motyla* miniaturowej wielkości nastąpiło pewnej letniej nocy.

Liczba personelu nieco wzrosła. Obecnie w ośrodku pracowała na stałe ponad setka osób.

Gwiezdny Motyl 1, mała rakieta wysokości jednego metra, wzbił się powoli w niebo.

Ludzie w białych fartuchach obserwowali z niepokojem ekrany kontrolne wewnętrzne i zewnętrzne, teleskopy i radary.

Dotarłszy na odpowiednią wysokość, rakieta zaczęła rozkładać słoneczny żagiel, jednakże w chwili gdy zdołał się on wysunąć do połowy, mylar się poskręcał i nic nie mogło go już powstrzymać przed zamienieniem się w bezładną płataninę. Yves Kramer niespokojnie zagryzł wargę.

„Motylu, rozłóż skrzydła i leć ku światłu”.

Na próżno Elisabeth manipulowała przewodami podłączonymi do zdalnie sterowanych silników elektrycznych, żagiel przypominał bowiem poskręcaną moką szmatę.

Inżynierowie musieli uruchomić proces samozniszczenia. *Gwiezdny Motyl 1* eksplodował, wywołując maleńki błysk na idealnie czystym niebie.

Rozczarowanie nie miało sobie równych.

Satine Vanderbilt uznała, że działali zbyt szybko.

Gabriel Mac Namarra stwierdził, że za mało zainwestowali.

Elisabeth Malory pomyślała, że zabrakło jej umiejętności.

Po naradzie z pozostałymi inżynierami Yves Kramer doszedł do wniosku, że aby uniknąć podobnych incydentów, trzeba przeanalizować od nowa całą konstrukcję statku kosmicznego. Należy dołożyć więcej silników i przewodów kontrolnych, aby pociągnęły żagiel. To z kolei wymaga większej energii dla funkcjonowania silników. A co za tym idzie – większej liczby ekranów słonecznych albo zbiorników paliwa.

Żeby zaś wprawić w ruch większy statek, potrzeba jeszcze większego żagla.

Po tej dotkliwej porażce żeglarka zdecydowała się wysłać e-mail na adres Yves'a Kramera. Było w nim tylko jedno zdanie: „Nie traćmy nadziei”. Inżynier odczytał je na dwa sposoby: 1. Proszę nie tracić nadziei, że *Gwiazdny Motyl* zdoła polecieć w kosmos. 2. Proszę nie tracić nadziei, że kiedyś panu wybaczę.

Słowa te wystarczyły, żeby zapomniał o swojej klęsce. Całą noc spędził z okiem przy teleskopie, wpatrzony w gwiazdy.

Wtem na pierścieniu regulującym ostrość usiadła ćma.

– Dobranoc, tato – szepnął. – Dzisiaj mi się nie powiodło, ale nie składam broni.

Ćma pozostała na swoim miejscu, tak jak się tego spodziewał.

Kiedy więc Yves podsunął dłoń, ćma przysiadła na opuszce palca i zrobiła kilka kroków po nowym obszarze.

Inżynier zbliżył powoli usta i zdołał złożyć pocałunek na jej skrzydłach w taki sposób, że jedyną reakcją owada było ich lekkie poruszenie.

W końcu ćma odleciała, wznosząc się skokowo w rozjaśnioną promieniami księżyca w pełni noc.

17. ZWIĘKSZENIE DAWEK

Po niebie szybował z cichym piskiem myszołów.

Po zakończonej katastrofą pierwszej próbie projekt „ON” wszedł w nową fazę. Przede wszystkim wzrosła liczba personelu pracującego w ośrodku. Yves Kramer otrzymał pomoc specjalistów od lotów kosmicznych, przybyłych ze wszystkich krajów. Pieniądze miliardera otwierały każde drzwi, oryginalny pomysł zaś zawsze budził entuzjazm u nowo wtajemniczonych.

Sam ośrodek „ON” się powiększył, z kolei wioska, w której mieszkali naukowcy i żeglarze, wzbogaciła się o liczne ulice z wolno stojącymi willami, basen, amfiteatr oraz bibliotekę.

Żyjący z dala od wielkich miast inżynierowie mieli wrażenie, że są odcięci od świata. Otoczenie miejsca ich pobytu tajemnicą uniemożliwiała im widywanie się z rodzinami, niejeden z nich zaś się rozwiódł, żeby wziąć ślub z koleżanką z pracy.

Jedynie wiadomości telewizyjne przypominały im o tym, na jakim świecie żyją.

Yves Kramer przeanalizował na nowo wszystkie swoje obliczenia: większe żagle, dłuższy statek, ale także więcej pasażerów.

Zgodnie z nowymi obliczeniami potrzeba było również więcej kosmonautów, aby mieć pewność, że po przeminięciu pięćdziesięciu pokoleń pozostanie ktoś przy życiu.

Przyjrząwszy się dokładnie makiecie nowego statku, mającego pomieścić sto tysięcy osób i wyposażonego w żagiel o powierzchni czterdziestu kilometrów kwadratowych, Gabriel Mac Namarra nie mógł się powstrzymać, by nie wyrazić tego, o czym wszyscy zdążyli pomyśleć.

– Przecież to już nie jest zwykły statek... To całe miasto w kosmosie.

Słowa te trafiły w samo sedno. „Miasto w kosmosie”.

Od tej chwili inżynier zaczął patrzeć na całe zagadnienie zupełnie inaczej.

To już nie był statek, lecz ruchome miasto.

Pod wpływem sugestii Mac Namarry założyciel „Ostatniej Nadziei” postanowił skontaktować się ze specjalistą od życia w środowisku zamkniętym.

18. ŻYWIÓŁ ZIEMIA

Dłoń dotknęła ziemi.

Po czym nabrała pełną garść piasku i uniosła do nozdrzy, które wciągnęły jego zapach. Następnie przysła kolej na usta, żeby spróbowały smaku ziemi.

– Trochę kwaśne, ale musicie tu posadzić drzewa, prawda?

Yves pokazał na strefę willi ozdobionych mnóstwem drzewek oliwnych, figowców i akacji.

Nowo przybyły połknął piasek, który włożył do ust, skinął głową i odłożył resztę ziemi tam, skąd ją wziął, jakby się bał uszkodzić resztę gleby.

– Nawadnicie je podziemnymi rurami, prawda? Adrien Weiss był biologiem i psychologiem. W przeszłości zyskał sławę, zakładając na pustyni zamknięty obszar, na którym odtworzył pełny cykl ekologiczny.

Projekt „Akwarium 1” został sfinansowany w połowie przez ministerstwo badań, w połowie zaś przez setkę przemysłowców. Wśród nich Gabriela Mac Namarre.

Yves pamiętał, że na temat projektu „Akwarium 1” rozpisywano się szeroko w prasie.

W ogromnym, hermetycznie zamkniętym budynku, do którego nie przedostawało się ani światło, ani woda, ani zwierzęta, umieścił sztuczne źródło światła, a ściślej baterię jarzeniówek.

Następnie Adrien Weiss wprowadził do „Akwarium 1” ziemię, wodę, rośliny zielone, drzewa, owady, ryby, ssaki i na koniec ludzi.

Wszystko ulegało recyklingowi. Odchody i zwłoki były zjadane przez żyjące w ziemi bakterie, które przekształcały je w mikroelementy, te z kolei stanowiły pokarm dla roślin, które były pożywieniem dla zwierząt roślinożernych, one zaś pożywieniem zwierząt mięsożernych. Te ostatnie po śmierci znów wchodziły w cykl ekologiczny.

Akwarium Adriena Weissa działało bez żadnej pomocy z zewnątrz przez rok, licząc stu ludzi, sto krów, sto kóz, tysiąc kur, tysiąc ryb. Eksperyment mógłby trwać dalej, gdyby tych stu ludzi się nie pokłóciło.

Jeden z nich zaczął się nawet uważać za guru i stworzył własną religię w samym środku akwarium. W końcu ludzie poczuli się rozdarci między ateizmem a nową wiarą.

Ze względu na sygnały SOS nadawane przez ofiary trzeba było otworzyć drzwi i

wypuścić wszystkich, zanim sytuacja pogorszy się jeszcze bardziej.

Sprawa znalazła zresztą swój finał w sądzie z powodu ciosów, ran i cierpień zadanych zakładnikom i więźniom obu obozów.

Adrien Weiss posiadał teraz jednak unikalną wiedzę na temat globalnego sterowania życiem w środowisku zamkniętym, a właśnie to interesowało inżyniera.

Yves Kramer zaprowadził go do swojego gabinetu zawałonego makietami i szkicami. Mężczyzna nosił delikatną, starannie przystrzyżoną brodę, okulary w złotych oprawkach, gruby sweter z czerwonej bawełny, na szyi zaś miał zawieszony coś w rodzaju jaja z przezroczystego szkła.

Przyjrząwszy się uważnie, inżynier rozpoznał modne naukowe cacko, zwane „mikroświatem”, produkt pochodzący wprost z projektu „Akwarium 1”.

Wewnątrz przezroczystego jaja-wisiorka znajdowały się powietrze, woda i piasek. W piasku umieszczony był kawałek koralowca, wokół zaś krążyły małe krewetki i algi. Krewetki żywiły się algami, ich odchody stanowiły pokarm dla koralowca, koralowiec filtrował wodę, woda stanowiła pokarm dla alg. W ten sposób cykl był zamknięty. Powietrze, minerał, roślina, zwierzę. Wszystko powiązane ze sobą, uzupełniające się nawzajem.

Hermetycznie zamknięte i zapieczętowane światy mogły przetrwać całe lata i nie wymagały dostarczania z zewnątrz choćby najmniejszych substancji ciekłych czy lotnych.

Adrien wpatrywał się z zainteresowaniem w plakat, który wisiał nad biurkiem inżyniera. Widniał na nim słoik wypełniony setką ryb tak ściśniętych, że nie sposób było dostrzec wolną przestrzeń między nimi. Jedna z ryb wyskoczyła z zatłoczonego naczynia i wpadła do sąsiedniego słoika, w którym woda była o wiele czystsza, bo pozbawiona jakichkolwiek mieszkańców.

– Jak pan widzi, ja też lubię opowieści o akwariach – powiedział Kramer, wskazując na „mikroświat”.

Inżynier nalał Weissowi szklanekę wody i wrzucił do środka dwie kostki lodu. Po czym opisał projekt „Ostatnia Nadzieja”.

– Sto tysięcy osób! To rzeczywiście niezły tłum jak na statek – przyznał Adrien. – Jak pan zamierza je tam umieścić?

– Cóż, normalnie, w fotelach.

– Chce pan ścisnąć sto tysięcy osób na siedząco na tysiąc lat w rakiecie?

Psycholog zrobił drwiącą minę.

– Odbył pan już kiedyś długą podróż samolotem? Nawet przy dobrych filmach i dobrej książce do czytania dziesięć godzin lotu to coś nieprzyjemnego... bardzo nieprzyjemnego. Dwa dni są nie do zniesienia. A co dopiero tysiąc lat.

Psycholog zaczął się bawić wisiorkiem-mikroświatem.

– Będą mogły wstawać – przyznał inżynier.

– Sto tysięcy osób?

– Pojazd będzie duży. Będą w nim sale wypoczynkowe, gdzie będą mogły się położyć.

Nie będą ściśnięte.

Adrien Weiss wyjął biały notes i zaczął szkicować niedbale zarys rakiety z widocznymi przez ściany siedzeniami.

– Pan nie zdaje sobie sprawy. Oni od tego oszaleją. Tysiąclecie w puszcze! Zupełnie jak pańskie rybki na górze w słoiku. Nie warto opuszczać Ziemi, żeby być jeszcze bardziej ściśniętym w jeszcze ciaśniejszym pomieszczeniu. To zaprzeczenie pańskiego plakatu.

– Przygotowujemy je do tego. Podobno człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Są przecież mnisi, którzy przez całe życie pozostają zamknięci w klasztorach.

– Ale nie ma ich sto tysięcy. A poza tym w klasztorach można otwierać okna, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i popatrzeć na góry. Trudniej to zrobić w rakiecie.

– Być może trzeba trochę... wiary w projekt.

– Chciałbym wierzyć, że w najlepszym razie pierwsze pokolenie będzie miało „wiarę w projekt”, ale zdziwiłbym się, gdyby następne ją odziedziczyło. Nawet mnisi popadliby w obłęd, gdyby przez całe życie byli zamknięci w rakiecie.

– Ona naprawdę będzie bardzo duża. Zdaje się, że w jednej z pańskich książek wspominał pan, że aby między istotami ludzkimi nie dochodziło do agresji, każda z nich musi dysponować przestrzenią życiową wielkości pięćdziesięciu metrów kwadratowych.

– Dziękuję, że czytał pan moje książki. Ale hm... to nie jest kwestia wielkości, tylko zwyczajów. Już przy pierwszym pokoleniu nie można oczekiwać, że ludzie, którzy przez całą swoją młodość żyli na stojąco, stąpając po ziemi, do końca życia wytrzymają, siedząc w fotelu w rakiecie, w stanie nieważkości.

Adrien Weiss w dalszym ciągu bazgrał swoje szkice.

– Łatwo krytykować innych. Ale jakie pan proponuje rozwiązanie?

Psychobiolog milczał przez chwilę, jednocześnie kontynuując rysowanie statku.

– Chce pan prawdy czy woli, żebym zrobił panu przyjemność?

– Prawdy.

– Moim zdaniem nie ma innego rozwiązania. Przykro mi. Pański projekt nie trzyma się kupy. Nie ma najmniejszych szans, żeby to się udało. Lepiej dać sobie spokój, niż trawić czas na jakieś mrzonki. Chciał pan znać moją opinię, to proszę. Miło mi, że pana poznałem.

Wstał, włożył z powrotem marynarkę, kiedy zaś już miał ruszyć do drzwi, przystanął, jakby czegoś zapomniał.

– Chyba że...

– Chyba że co?

– Nie, to głupie.

– Mimo wszystko proszę mówić.

– Trzeba by zbudować naprawdę bardzo duży statek. – Sprawiał wrażenie, jakby toczył dialog sam ze sobą. – Jednak nie. To by nie wystarczyło. Chyba że... tak, dlaczego by nie... nie, to niemożliwe. Chyba że...

– Co?...

– W gruncie rzeczy to nie jest wyłącznie kwestia przestrzeni, trzeba by bowiem odtworzyć grawitację podobną do tej, która występuje na Ziemi. W ten sposób ludzie mogliby podróżować nie siedząc, ale stojąc! I mogliby raczej chodzić po statku, niż pływać po rakiecie.

Zabrał się do szkicowania kolejnego rysunku.

– Trzeba by zbudować ogromny cylinder i wprawić go w ruch. Za pomocą silnika. Wokół osi. Jak w pralce.

Rysunek przedstawiał cylinder połączony z silnikiem. Wewnątrz cylindra naszkicował małe spacerujące ludziki.

– To będzie pożerało mnóstwo energii, a *Gwiezdny Motyl* ma za mało prądu, żeby wprawić w ruch taki silnik – poskarżył się Yves.

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym do pokoju weszła Satine Vanderbilt, niosąc plik dokumentów. Kiedy inżynier zaczął je przeglądać, została wraz z nimi, zaintrygowana rysunkami rakiety i cylindra.

– Satine, moja asystentka. Adrien proponuje odtworzenie sztucznej grawitacji, żeby pasażerowie nie dostali oblędu.

Młoda kobieta pochyliła się nad szkicami.

– Powiedziałem mu, że to by wymagało mnóstwa energii.

– Chyba że statek byłby olbrzymi i że dysponowalibyśmy dużą liczbą ekranów słonecznych – podsunął Adrien Weiss. – Im więcej ekranów, tym lepiej. Wystarczy pokryć całą powierzchnię statku światłoczułymi ekranami.

Yves Kramer był pod wrażeniem pewności siebie młodego naukowca.

– Mimo wszystko nie będzie łatwo mieszkać na ścianie cylindra – zauważyła Satine.

– O ile mi wiadomo, nasza Ziemia jest okrągła – odparł Adrien Weiss.

– On ma rację. Rzeczywiście, im większe gabaryty, tym bardziej płaski horyzont. A kiedy grawitacja zacznie działać, wewnątrz cylindra stanie się podobne do naszej Ziemi. Jedyne różnica będzie taka, że zamiast mieszkać „na” okrągłej płaszczyźnie, będą mieszkać „w” niej – oznajmił Yves, którego ogarniał coraz większy entuzjazm.

– Tak jakby się znajdowali „w” Ziemi od środka – dodał Adrien.

Tymczasem Satine ciągle nie była przekonana.

– W Ziemi od środka, mówi pan? W takim razie nie trzeba robić cylindra, tylko wklęsłą kulę...

– Cylindrem łatwiej obracać niż kulą – zwrócił jej uwagę Adrien Weiss.

Yves Kramer już spoglądał przez okno, jakby widział powstający nowy statek.

– Trzeba będzie ponownie przeanalizować wszystkie obliczenia – mruknął.

Satine, która już wielokrotnie słyszała to zdanie, poprzestała tylko na skinieniu głową, miała bowiem świadomość, że w ciągu najbliższych dni należy zatrudnić kolejny personel.

Natomiast Adrien Weiss pogрузzył się w pracy nad nowymi schematami, tak jakby obok nie było nikogo.

19. FAZA KRYSTALIZACJI

Łyżeczka obracała się w kawie, rozbijając na jasne smugi plamę dodanego do niej mleka i tworząc fraktale.

Przyglądając się temu zjawisku, Yves Kramer pomyślał przez chwilę, że to mleko w kawie jest jak galaktyka we wszechświecie. Wszystko się kręci. Planeta. Uczucia. Problemy. To co znajduje się na dole, musi wznieść się do góry. To zaś co na górze, musi opaść.

Powiedział sobie również, że jeśliby obracać bardzo długo, istnieje być może szansa, żeby odnaleźć pierwszą plamę mleka.

Mleko, które zdążyło się już idealnie wymieszać z kawą, tworzyło teraz beżową kałużę. Inżynier włożył do środka kostkę cukru. Właśnie wylądowała na niej muszka, zmoczywszy sobie jednak skrzydła, nie zdołała już odlecieć.

Yves wyłowił ją czubkiem łyżeczki i umieścił w suchym miejscu, gdzie małeńki owad będzie mógł zaczekać, aż jego skrzydełka wyschną.

„Trzeba będzie zbudować dodatkowy mały pojazd do lądowania, bo wielki statek nie będzie mógł usiąść na ziemi” – pomyślał.

Tymczasem zbliżyło się do niego jajo ze światem w środku. Był to wisiorek psychobiologa.

– Niech pan zaraz przyjdzie, mam panu coś do pokazania.

Gdy znaleźli się w biurze badań futurologicznych, zdumionym oczom Yves’a Kramera i Gabriela Mac Namarry ukazała się makieta, którą Adrien sporządził w nocy. Całość tworzyło pięć sklejonnych puszek po proszku do prania. Zostały one przecięte w poprzek na pół, aby było widać, co jest w środku. Adrien Weiss wyglądał na bardzo zadowolonego ze swojej makiety.

– Pomyślałem sobie, że lepiej nie tracić czasu.

Po czym pod zaciekawionymi spojrzeniami Yves’a Kramera, Satine i Mac Namarry zapalił neonową rurkę umieszczoną pośrodku długiego półcyindra.

Oświetlił pierwszą część, odsłaniając na jej powierzchni mnóstwo małych figurek z plastiku.

– Ta neonowa rurka to oś obrotu, ale także „wewnętrzne słońce”.

– Statek będzie się obracał wokół tej świetlnej rurki? – zapytał Gabriel Mac Namarra.

– Właśnie. Odtworzy on sztuczną grawitację podobną do naszej. I to tak dobrze, że pasażerowie nie będą musieli się przytwierdzać do ścian ani do podłogi. Nic nie oderwie się od powierzchni, nic nie będzie pływało w przestrzeni wewnętrznej. Upuszczony kamyk spadnie na dół.

Podniósłszy jedną z figurek umieszczoną na dnie cylindra, przyglądał się, jak spada.

Zaintrygowany tym inżynier wyjął cygarnicę, poczęstował psychologa, po czym wybrał najbardziej perfumowane cygaro, jakby to był jakiś frykas, i przytknął do płomienia zapalki.

– Z kolei aby odtworzyć pełny ekosystem dla stu tysięcy osób na tysiąc lat, proponuję posunąć się w realizmie do tego stopnia, żeby pokryć ściany cylindra nie wykładziną czy jakimkolwiek innym sztucznym obiciem, ale... prawdziwą ziemią. Dzięki temu rośliny będą mogły normalnie rosnąć z ciężkością podobną do naszej.

Adrien Weiss włączył drugi neon położony na przedłużeniu pierwszego, odsłaniając nowy segment cylindra, gdzie znajdowały się imitacje porośniętej trawą równiny i lasu. Umieszczony między oboma segmentami pierścien, na który składały się duże przezroczyste otwory okienne, służył jako bulaj.

– Bardzo ciekawe... – szepnął Gabriel Mac Namarra.

– Przewidziałem nawet różnice poziomów: mały pagórek, las, pola, miejsce na wioskę, jezioro. Nasi kosmonauci będą mogli łowić ryby, pływać łódką, budować szałas w lesie. A wszystko to w samym środku kosmicznej próżni.

Pokazał niewielką niebieską powierzchnię symbolizującą wodę.

– Jezioro? To sugeruje, że grawitacja jest zapewniona – zaniepokoił się Yves Kramer. – Tymczasem dotarcie światła słonecznego do ekranów zewnętrznych nigdy nie będzie mogło być pewne.

– Zastanawiam się nad baterią elektryczną, która będzie się stale ładować. Dzięki temu nigdy nie zabraknie nam energii.

Satine Vanderbilt przyglądała się makiecie z ciekawością.

– A jak mamy radę ustawić jezioro przy starcie? – zapytała.

– Napelnimy je wodą, kiedy zacznie działać grawitacja. A poza tym to nie będzie zbyt duże jezioro, ale będzie dysponowało naprawdę pełnym ekosystemem. W gruncie rzeczy chciałbym tam umieścić góry z ośnieżonymi szczytami, strumykami, chmurami, deszczem, wiatrem, słonym morzem...

– Sztuczne słońce. Sztuczna grawitacja. Sztuczne jezioro... – powtarzał w zamyśleniu miliarder.

– Dla sztucznej ludzkości – dokończyła Satine.

– Nie, dla nowej ludzkości – sprostował inżynier.

Pojawienie się Adriena Weissa przyniosło pozytywny skutek i pozwoliło im całkowicie zapomnieć o nieudanym starcie prototypu *Gwiezdnego Motyla*.

Od tej pory w nagłówku projektu „Ostatnia Nadzieja” widniał kwartet złożony z Mac Namarry – władza, Kramera – inwencja, Weiss – psychologia, Malory – nawigacja.

Razem czuli się silniejsi.

Yves nabrał po raz pierwszy przekonania, że *Gwiezdny Motyl* pewnego dnia zdoła wzbić się do lotu ku innemu układowi słonecznemu.

Znów pomyślał o ojcu, mówiąc sobie, że pewnie byłby dumny, uczestnicząc w tym zebraniu. Słyszał jego głos szepczący wewnątrz: „Gąsienico, zmień się, przeobraź się w motyla. Motylu, rozłóż skrzydła i leć ku światłu”.

20. SUBLIMACJA SOLI

Ich mózgi znajdowały się w stanie wrzenia. Wydawało im się, że są pionierami. Wielkość wyzwań dodawała im skrzydeł. Jeden pomysł pociągał za sobą następny. Obliczywszy idealne wymiary statku w stosunku do idealnych wymiarów żagla, z uwzględnieniem konieczności zbudowania olbrzymiego cylindra obracającego się z właściwą grawitacją i przy zachowaniu zasad ekologii, inżynierowie projektu „Ostatnia Nadzieja” zdołali ustalić ostateczne liczby. One zaś wydawały się ogromne.

Kadłub *Gwiezdnego Motyla* miałyby być tubą długości trzydziestu dwóch kilometrów.

W momencie startu cylinder miałby mieć długość jednego kilometra, a następnie miałby się wydłużyć za sprawą trzydziestu dwóch tub wsuwanych jedna w drugą, niczym składana luneta.

Średnica cylindra kadłuba miałaby wynosić pięćset metrów.

Żagiel z mylaru miałby wielkość miliona kilometrów kwadratowych, co stanowi powierzchnię dużego państwa albo małego kontynentu.

Optymalna liczba osób gwarantująca przeżycie na tysiąc lat musiałaby sięgać stu czterdziestu czterech tysięcy. Wiezorami po pracy inżynierowie relaksowali się w lewej odnodze litery „T”. Restauracja i kafeteria, wraz z gramy, muzyką i biblioteką, stały się miejscami wypoczynku. W sobotę wieczorem restauracja zamieniała się w salę balową. Na zapleczu kafeterii urządzono niewielką salkę kinową.

Co do Elisabeth Malory, nadal unikała Yves’a Kramera. On zresztą wcale się tym nie przejmował. Nawet nie próbował jej pozdrowiać, widząc z daleka fotel na kółkach.

Jeśli zaś żeglarka niechętnie zerknęła w jego stronę, przez szacunek dla niej odwracał głowę, oszczędzając jej w ten sposób skrępowania, że musi to zrobić sama. Elisabeth Malory nieustannie zmagala się z własnym ciałem przez intensywne treningi mięśni. Stopniowo rzuciła picie i palenie. Jej pożywienie skupiało się głównie na świeżych owocach i warzywach. Przestała zażywać leki antydepresyjne i brała jedynie środki nasenne. Aż do dnia, w którym udało jej się opuścić wózek i stanąć na własnych nogach. Spróbowała chodzić o kulach. Po kilkunastu upadkach zdołała pokonać kilkadziesiąt metrów, sapiąc z wyciągniętym językiem.

„Szybciej, mocniej!”.

Miała wrażenie, że się urodziła, a raczej przeżyła na nowo wyjątkową chwilę z dzieciństwa, kiedy to po raz pierwszy zaczęła się poruszać nie na czworakach, lecz na dwóch nogach.

Teraz jej celem stało się dotarcie od klamki do klamki, aby przejść z jednej zamkniętej przestrzeni do drugiej.

„Dosięgać klamek u drzwi”.

Udało jej się wyjść z pokoju. Wyjść z mieszkania. Wyjść z ogrodu.

Wydała wówczas gromki okrzyk radości, niektórzy sąsiedzi uznali go jednak za okrzyk bólu.

Dla uczczenia tego wydarzenia jeszcze tego samego wieczoru urządziła wielkie przyjęcie w restauracji, po czym na oczach mieszkańców ośrodka „Ostatnia Nadzieja” oblała swój wózek benzyną i podpaliła. Wszyscy zdawali sobie sprawę ze znaczenia, jakie ten gest miał dla młodej kobiety, to zwycięstwo umysłu nad materią wzmocniło zaś dodatkowo ich zapał.

Yves Kramer nie przyszedł, za to wysłał krótki list, który został odczytany głośno przez Satine:

Widziałem, jak motyl traci skrzydła i staje się na powrót gąsienicą.

Widziałem pełzającą gąsienicę.

Widziałem, jak gąsienica robi wszystko, by znów stać się motylem, którym kiedyś była.

Widziałem, jak odrastają jej skrzydła. Zawsze jest możliwa jakaś metamorfoza. Zawsze jest jakiś sposób, żeby wzbic się do góry. Brawo, Elisabeth! Y. K.

Kucharz przyniósł prezent od siebie. Upiekł tort, na którym zrobił z cukru motyla siedzącego na wózku.

Następnie przy pianinie usiadł jeden muzyk, drugi chwycił gitarę elektryczną, trzeci zaś zaczął grać na rondlach jak na perkusji, po czym wszyscy tańczyli wokół płonącego wózka, trzymając się za ręce.

Elisabeth zaśpiewała piosenkę z dzieciństwa. Jej ochryply, fałszujący głos miał w sobie coś radosnego. Gabriel Mac Namarra poprosił świeżo upieczoną piechurkę do tańca, dając jej silne oparcie. Kiedy traciła równowagę, łapał ją i wybuchał swoim donośnym, wyjątkowym śmiechem, który wprost uwielbiała. Ponieważ był on zaraźliwy, sama również wybuchała głośnym, uwalniającym śmiechem, w jednej chwili pozbawiając się straszliwego napięcia, które gromadziło się w niej od wielu miesięcy.

Podczas tych godzin odprężenia Adrien Weiss tańczył z Satine Vanderbilt. Widziano, jak się całują – najpierw nieśmiało, następnie płomiennie. Potworzyły się także inne pary. Życie w wielkich metropoliach było daleko, oni zaś, skupieni w tym odosobnionym ośrodku, mieli wrażenie, że tworzą nowe plemię.

Nazajutrz Adrien Weiss zwołał pilne zebranie, aby ustalić, kto wejdzie w skład stuczterdziestoczwartotysięcznej załogi *Gwiezdnego Motyla*. Jego spojrzenie uległo zmianie. Wydawał się bardziej pochłonięty projektem.

– Porywamy się na czyn, który jest tym bardziej wspaniały i unikatowy, że pociąga za sobą możliwość utworzenia gdzieś indziej czegoś, co Yves określił mianem „nowej” ludzkości. Ale co zrobić, żeby ta nowa ludzkość nie powieliała starych błędów?

Przed nimi stała zbudowana już makieta *Gwiezdnego Motyla* w pomniejszeniu, na wewnętrznej ścianie zaś było widać spacerujące po trawniku małe plastikowe figurki.

– Jak wszyscy wiecie, mój eksperyment „Akwarium 1” się nie powiódł. Istoty ludzkie skupione w zamkniętej przestrzeni powielają schematy, które doprowadziły nasz gatunek do tego, czym jest dzisiaj. Każda grupa jednostek bez wyjątku produkuje w końcu tych, którzy wykorzystują, i tych, którzy są wykorzystywani, niezależnych i kozły ofiarne. Im więcej ludzi, tym przywódcy stają się twardsi, tym dotkliwiej cierpią kozły ofiarne. Trzeba się zastanowić i znaleźć sposób, by uniknąć tego schematu dla naszej „nowej ludzkości”. Zwłaszcza że zwiększając liczbę królików doświadczalnych, igramy z ogniem.

– Potoczył wzrokiem po zgromadzeniu. – Gdyby gdzie indziej miały się powtarzać te same katastrofy, projekt byłby całkowicie bez sensu. Gorzej, przez własną głupotę zbrukamy i skazimy inną planetę.

– Co więc proponujesz? – zapytał spokojnie Yves Kramer.

– Proponuję dokonać ścisłej selekcji, aby w *Gwiezdnym Motylu* nie znalazły się ani dupki, ani sukinsyny.

Fakt, że te dwa słowa padły z ust jakże flegmatycznego dotąd naukowca, jeszcze bardziej podkreślał wagę pomysłu. Wśród zebranych przeszedł pomruk skrzepowania. Satine Vanderbilt nie mogła się powstrzymać przed uwagą:

– Każdy z nas jest czymś dupkiem albo sukinsynem.

– Niech będzie. Wobec tego powiedzmy: awanturnicy, niszczyciele albo samobójcy.

– Nawet takie określenie każdy odbiera inaczej – stwierdził Gabriel Mac Namarra.

– W takim razie myślmę pozytywnie – odparł Adrien – i weźmy tych „najmniej złych”. Ufam, że Yves Kramer wynajdzie „nadzwyczajny” statek, który umożliwi nam opuszczenie Układu Słonecznego. Zaufajcie mi i dajcie mi środki, żebym mógł wynaleźć nową, „nadzwyczajną” ludzkość.

Gabriel Mac Namarra zdał sobie sprawę, że będzie to wymagało nowego, również „nadzwyczajnego” budżetu. Wcale się tym jednak nie przejął.

– Ze względu na rozmach przedsięwzięcia będę potrzebował wielu specjalistów od „materii ludzkiej”. Począwszy od Satine, o ile zechce się do mnie przyłączyć.

Młoda kobieta przybrała zmartwioną minę. Zanurzywszy dłoń w pudełku z małymi plastikowymi figurkami, które symbolizowały załogę, pozwoliła przesypać się im przez palce, jakby to był piasek.

21. WYBÓR STU CZTERDZIESTU CZTERECH TYSIĘCY ISKIER

Czubek gałęzi zanurzył się w zagajniku, budząc chmurę robaczków świętojańskich. Dwadzieścia małych żywych światełek wzbilo się w górę, wirując w ciemnościach.

„Nie muszą lecieć do światła, wytwarzają przecież własne wewnętrzne światło”.

Yves Kramer długo się przyglądał, jak tańczą, dopóki nie zaczął mieć dreszczy z zimna.

„Po co człowiek dąży do panowania nad przestrzenią zewnętrzną, skoro nie potrafi zapanować nad własną przestrzenią wewnętrzną?”

Po co lecieć na odległą gwiazdę, skoro nie potrafimy dolecieć do gwiazdy, która znajduje się w naszych sercach?”

Przywołał się do porządku.

„Cholera, lepiej, żebym nie bawił się w poetę. To do mnie nie pasuje”.

W pewnej chwili podeszła do niego jakaś wysoka postać. Adrien Weiss.

– Pan jest samotnikiem, prawda? Nocne spacerowanie to pańska specjalność.

– A któż nie jest samotnikiem? Po prostu czasem nasze samotności nakładają się jedna na drugą, to wszystko. To właśnie jest para. Dwie samotności, które idą razem. Możemy sobie mieć rodziców, dzieci, żony, kochanki, ale i tak zawsze jesteśmy sami.

Adrien poklepał go po plecach.

– To typowa myśl kawalera! Co do mnie, nie podzielam tej opinii. Alchemia ludzka jest najbardziej pasjonująca. Mieszanie ludzi, tak jak miesza się składniki na ciasto. Liczy się każda osoba. Odrobina soli czy drożdży za dużo i ciasto zepsute. W akwarium źle dobrałem proporcje, ale *Gwiezdny Motyl* tylko skorzysta na moich dawnych błędach.

Spojrząwszy na brodacza, Yves miał wrażenie, że jego mikroświat się zaświecił, był to jednak tylko promień księżyca odbijający się w szkle małego jaja.

W ciągu następnych dni Adrien stworzył komórkę psychologiczną skupiającą kilku najlepszych specjalistów od rekrutacji personelu w przedsiębiorstwach, łowców głów, fachowców od zarządzania zasobami ludzkimi, psychologów, psychoanalityków, speców od

castingów w filmie.

Następnie kazał im wszystkim, aby skupili się nad opracowaniem testu, który pozwoliłby wyselekcjonować sto czterdzieści cztery tysiące „jak najmniej złych” istot ludzkich.

Już na pierwszym zebraniu trzydziścioro dwoje ekspertów wraz z Yves'em, Satine i Gabrielem ustalili trzy kryteria.

1. Niezależność. Czyli umiejętność samodzielnego zatroszczenia się o siebie, bez oglądania się na innych.

2. Zdolność do życia w społeczeństwie. Czyli umiejętność postrzegania interesów zbiorowych i ogólnych z dala od interesu osobistego.

3. Motywacja. Czyli chęć, aby projekt „ON” jako całość odniósł sukces.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi, po czym do sali weszła, opierając się na kulach, Elisabeth Malory.

Yves spuścił głowę, młoda żeglarka jednak usiadła przy stole niezbyt daleko od niego, jakby przezwyciężyła swój wstręt. Dzieliły ich zaledwie dwie osoby: Satine i Adrien.

Rozumiejąc, że należy rozładować atmosferę, psychobiolog podziękował tej kobiecie o turkusowych oczach za to, że do nich dołączyła. Po czym streścił jej pokrótce dyskusję, która rozpoczęła się bez niej.

– Trzeba dodać jeszcze jedno proste kryterium – oznajmiła. – 4. Dobre zdrowie.

W jej ustach słowa te zabrzmiały jakoś niestosownie.

– Nie zabieramy palaczy, alkoholików, narkomanów, osób zażywających leki. Z tego prostego powodu, że nie będziemy w stanie ich produkować na statku – dodała.

– Obawiam się, że bez alkoholu i papierosów nie co dzień będziemy się dobrze bawić – zauważył z przekąsem przemysłowiec miliarder.

On także zażądał, żeby dodano jeszcze jedno kryterium.

5. Młodość.

– Absolutnie nie ma mowy, żeby zabierać osoby w... w moim wieku – powiedział, powstrzymując śmiech. – Chcę być jedynym palaczem, alkoholikiem, narkomanem, który zażywa leki i przekroczył pięćdziesiątkę.

Wybuchnął wreszcie swoim tubalnym śmiechem, który zakończył się bolesnym kaszlem.

Inżynier nie wiedział, czy Mac Namarra żartuje czy nie. Z braku pewności uznał, że przy tego typu projekcie nie mają wyboru, toteż wiek wszystkich stu czterdziestu czterech tysięcy

osób powinien się wahać między dwudziestką a pięćdziesiątką.

6. Bez rodzinnych zobowiązań.

To kryterium dodała Satine.

– Muszą być nieżonaci i niezamężne, bez dzieci, bez rodziców, którymi się trzeba opiekować – wyjaśniła.

Wszyscy się z nią zgodzili.

Adrien Weiss również zaproponował kryterium.

7. Każdy mieszkaniec cylindra musi mieć jakąś zawodową specjalność, jakiś szczególny talent.

Zwrócił uwagę, że wewnątrz statku trzeba będzie odtworzyć nie tylko ekosystem, ale także łańcuch społeczny. Konieczna będzie zatem szczególna wiedza uzupełniająca, jaką posiadają lekarze, biolodzy, chemicy, ze względu jednak na „wiejski” aspekt statku również rolnicy, kucharze, kowale, tkacze, architekci, murarze, rzemieślnicy.

– A nawet niektórzy artyści – dodała Satine. – Muzycy, malarze, śpiewacy.

– Może nawet komicy, dla rozluźnienia atmosfery... Skoro nie będziemy mieli ani alkoholu, ani narkotyków – przypomniał Yves Kramer – będziemy musieli znaleźć jakiś sposób, żeby się odprężyć.

– A tak przy okazji, może także specjalistów od lotów kosmicznych. Przecież nie będziemy mogli poprzestać wyłącznie na skądinąd wspaniałej Elisabeth Malory – wtrącił z naciskiem Mac Namarra.

Żeglarka z kolei przyznała, że będzie musiała zabrać na pokład wszystkich pozostałych sterników jachtowych, którzy pracowali wraz z nią nad projektem w komórce „Nawigacja”.

– Jedyna rzecz, jaka nie wydaje mi się niezbędna, to politycy, żołnierze i księża – oświadczył Adrien Weiss. – Możemy mieć nadzieję, że uda nam się zbudować pierwsze społeczeństwo bez administracji, armii i religii. Władza, przemoc i wiara to trzy formy zależności – stwierdził.

Ponieważ liczba pasażerów była ogromna, stanowiąc równowagę prowincjonalnego miasta, Yves Kramer zaproponował, aby rekrutacja odbyła się na całym świecie. Jego asystentka zamieściła więc ogłoszenie w kilkudziesięciu krajach:

Szukamy młodych, zdrowych osób bez rodzinnych zobowiązań do nowego przedsięwzięcia. Wysokie wynagrodzenie. Konieczna motywacja.

Zgłosiło się milion siedemset tysięcy kandydatów, z których większość przyciągnęła informacja „wysokie wynagrodzenie”.

Po pierwszym odsiewie tych, którzy nie odpowiadali podstawowym kryteriom, na liście oczekujących pozostało dziewięćset trzydzieści dwa tysiące osób.

Adrien Weiss przeglądał fiszki, siedząc w swoim gabinecie w komórce psychologicznej.

– Teraz trzeba wybrać tych najbardziej niezależnych, najbardziej zdolnych do życia w społeczeństwie i mających najsilniejszą motywację – powiedział Yves.

– Mam już najlepsze kryterium, żeby wyłapać tych z najsilniejszą motywacją – oznajmił Adrien. – To bardzo prosty test sprawdzający dla przyszłych agentów tajnych służb. Będziemy wzywać kandydatów do różnych ośrodków i kazać im czekać całe godziny bez żadnego wyjaśnienia. W ten sposób zdołamy się przekonać, którzy z nich mają silne nerwy, a którzy nie.

Satine uznała, że to rozsądny pomysł.

– I powiemy im o projekcie?

– Oczywiście, że nie. Chodzi o to, żeby mieli motywację do wymyślonemu projektowi, którego nawet nie znają.

Wszystkie ośrodki wezwały zatem na ósmą rano dziewięćset trzydzieści dwa tysiące kandydatów, kazać im czekać w salach gimnastycznych i innych dużych pomieszczeniach aż do dwudziestej pierwszej. Już po pierwszej godzinie odpadła jedna czwarta. Pod koniec trzeciej godziny pozostała zaledwie połowa, czyli czterysta trzydzieści trzy tysiące kandydatów.

22. FAZA KLAROWANIA

Pustynny wiatr dmuchał gwałtownie.

Chmury gnały po niebie niczym w wyścigu.

Ukończywszy fazę selekcji, twórcy projektu „Ostatnia Nadzieja” przeszli do fazy tak zwanego klarowania.

Adrien Weiss zbudował nowe miasto obok właściwego ośrodka. Miało ono kształt koła i znajdowało się nad daszkiem litery „T”.

Ponieważ pierwsze miasto, to, w którym mieszkali inżynierowie i które leżało w lewej części daszka, nosiło nazwę Miasta – Motyla, drugie ochrzczono Miastem – Gąsienicą. W ten oto sposób dano do zrozumienia, że ci, którzy będą się dobrze sprawować w Mieście – Gąsienicy, pewnego dnia przeprowadzą się do Miasta – Motyla.

Cały obszar Miasta – Gąsienicy został naszpikowany kamerami, a wszyscy psychologowie, których było trzydziestu dwóch, wraz ze swoimi asystentami siedzieli na zmianę przed ekranami monitorów, obserwując życie czterystu trzech tysięcy kandydatów. Na ulicy, w grupie, ale również w domach.

Przypominało to gigantyczny *reality show*.

Wszyscy kandydaci mieli świadomość, że są śledzeni i filmowani. Wszyscy dokonujący przesiewu mieli świadomość, że większość kandydatów może udawać kogoś, kim nie jest.

Ale czas pokaże.

Adrien wychodził z założenia, że nie da się oszukiwać otoczenia w nieskończoność. Muszą być takie chwile, kiedy człowiek odsłania prawdziwą twarz.

Odbyło się klarowanie. Na początku rada złożona z trzydziestu dwóch decydentów odrzuciła wszystkich ludzi przejawiających jakiegokolwiek skłonności do przemocy.

Wszystkich choleryków.

Wszystkich niewrażliwych na cudze problemy.

Wszystkich przejawiających zachowania aspołeczne.

Wszystkich podążających wyłącznie za głosem przywódców bez posługiwania się wolną wolą.

W ciągu jednego tygodnia z czterystu trzydziestu trzech tysięcy zrobiło się trzysta

dziesięć tysięcy.

Satine Vanderbilt zachowywała ostrożność.

– Istnieje niebezpieczeństwo, że na koniec zostaną nam sami najlepsi spryciarze. Najbardziej uzdolnieni w oszukiwaniu otoczenia.

Adrien Weiss nie podzielał jej punktu widzenia.

– Zaufaj upływowi czasu, w końcu maski kiedyś opadną. Kiedy człowiek chodzi na palcach, żeby wyglądać na wyższego, w końcu się zmęczy.

Po dwóch tygodniach było ich dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Po miesiącu dwieście osiemnaście tysięcy.

– Najwyższy czas dołożyć do ognia, żeby przyspieszyć gotowanie, a co za tym idzie odparowanie tych najłżejszych – oznajmił po prostu Adrien Weiss.

Powiadomiono więc kandydatów, że misja „Ostatnia Nadzieja” to zajęcie na całe życie. Jeśli się go podejmą, do końca swoich dni nie będą już mogli robić nic innego.

Liczba spadła natychmiast do stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy.

– Dołączmy więcej.

Następnie oświadczono im, że wynagrodzenie ulegnie obniżeniu. Odeszli więc wszyscy ci, których jedyną motywacją stanowiły pieniądze.

Pozostało już tylko sto czterdzieści pięć tysięcy osób.

Odrzucono więc ostatni tysiąc „wątpliwych”, aby uzyskać wreszcie idealną liczbę stu czterdziestu czterech tysięcy.

Wszystkie te osoby podpisały umowy.

Dopiero wówczas poinformowano je o projekcie „Ostatnia Nadzieja” i o istnieniu statku kosmicznego z napędem słonecznym.

Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, wybrani rozpoczęli przygotowania do nowej pracy.

Każdego ranka sto czterdzieści cztery tysiące potencjalnych kosmonautów musiało przechodzić specjalny trening, aby móc podołać fizycznie życiu w kosmosie. Po południu zaś, po dietetycznym obiedzie, uczyli się, jak działa *Gwiezdny Motyl* i w jaki sposób najlepiej rozdzielić zadania, ledwie ich miasto w przestrzeni międzygwiazdnej będzie się nadawało do życia.

Od tej pory kwartet miał sto czterdzieści cztery tysiące współników.

Mieli nadzieję, że w tym osobliwym stadzie istot ludzkich nie będzie zbyt wielu czarnych owiec.

23. FAZA ROZKŁADU

Nie dało się utrzymać tego bez końca w tajemnicy. Start rakiety *Gwiezdny Motyl IV* został namierzony przez rządowe radary wojskowe.

Nawet jeśli można było uznać kilka rakiet za rozrywkę jakiegoś amatorskiego klubu, to fakt, że urządzenie wysokości dwunastu metrów wzniosło się aż na orbitę okołoziemską, nie mógł nie zwrócić uwagi obserwatorów z zewnątrz.

Politycy wzmogli czujność.

Satelity zaczęły fotografować bazę „T”.

Rozesłano szpiegów.

W końcu udało im się odkryć tajemnicę: otóż gdzieś z dala od ludzkich siedzib, w samym środku pustyni, jakiś ekscentryczny miliarder realizował właśnie osobisty projekt aeronautyczny.

Kiedy jednak wywnioskowano, że zamierza zbudować olbrzymi statek kosmiczny, który może pomieścić ponad sto tysięcy osób, sprawa przybrała inny obrót.

Po szpiegach do ośrodka „Ostatnia Nadzieja” ruszyli dziennikarze.

Podejrzewano, że Gabriel Mac Namarra zwariował i że w przyływie megalomanii chce stworzyć jakąś apokaliptyczną sektę.

Podejrzewano, że zamierza ze stu tysięcy ludzi uczynić niewolników. Oddać się jakimś nieludzkim eksperymentom.

Na miejsce wysłano zatem komisję śledczą, aby przesłuchała sto czterdzieści cztery tysiące osób. Nie zdołała ona jednak postawić żadnych konkretnych zarzutów. Kwestia, czy można pozwolić, aby przeciętna jednostka porwała się na zdobywanie kosmosu, pozostała nierozstrzygnięta.

W końcu sprawa straciła swój lokalny charakter.

Narody Zjednoczone zażądały od rządu dostarczenia pełnej dokumentacji oraz ujawnienia działalności miliardera.

Najbardziej oburzone były kraje najbiedniejsze, często rządzone przez dyktatorów. Domagały się one, aby ONZ przejęła kontrolę nad projektem i aby w skład załogi weszli przedstawiciele wszystkich krajów. Następnie swoje zdanie wyrazili duchowni. Zaszokowani faktem, że na sto czterdzieści cztery tysiące osób nie ma żadnego kapłana, oni także zażądali, aby

wśród załogi znalazł się reprezentant każdej religii. Potem przyszła kolej na feministki, które domagały się równości mężczyzn i kobiet. Skoro jednak ta już istniała, przestały się upierać.

Na koniec politycy zażądali jednakowej liczby przedstawicieli dla każdego ruchu politycznego. Zaczęto mówić o demokratycznym wyborze pasażerów. Albo o losowaniu ich. Albo wreszcie o poddaniu ich egzaminom.

Media miały prawdziwe użyczenie; „tajny” projekt „Ostatnia Nadzieja” oraz jego prototyp rakiety *Gwiazdny Motyl* stały się ulubionym tematem reportaży.

Fakt, że ośrodek leżał na uboczu, jego istnienie zaś trzymano przez długi czas w sekrecie, dodawał całemu wydarzeniu pikanterii.

Aby utrzymać z daleka paparazzich, którzy zlecieli się na pustynię, Gabriel Mac Namarra zdecydował się zatrudnić ochronę liczącą prawie sto osób. Sam ośrodek zaś otoczono podwójnym płotem.

Napięcie stale rosło, toteż Gabriel Mac Namarra postanowił złożyć oświadczenie dla tych, których określał prywatnie mianem „przedstawicieli starego świata”.

24. FAZA WAPNIENIA

Z tej okazji skropił się perfumami o zapachu drzewa sandałowego.

Znalazłszy się sam na podium, mały człowiek w skórzanych spodniach i modnej marynarce wypił szklankę wody i odchrząknął, gotów do odczytania napisanego przez siebie tekstu. Chociaż siedząca wokół setka przedstawicieli narodów przyglądała mu się z surowością, i tak był zdecydowany wygłosić to, co miał do powiedzenia.

Odwróciwszy się ku mikrofonom, stanął twarzą do kamer, na których świeciły się czerwone lampki sygnalizujące, że są gotowe do nagrywania.

– Bycie inteligentnym oznacza niepowtarzanie tych samych błędów. – Odkasznął. – To tytuł mojego przemówienia – uściślił.

Gabriel Mac Namarra rozwijał ten temat przez bitą godzinę.

Wyjaśnił, że powielanie tych samych zachowań prowadzi do tych samych ślepych zaułków.

Należy zatem spróbować czegoś innego, w inny sposób i gdzie indziej. Na żądanie, by na statku znaleźli się reprezentanci wszystkich narodów, odpowiedział, że dla niego nie istnieją kraje, narody, granice czy religie, tylko po prostu istoty ludzkie, gatunek rojący się na skorupie ziemskiej.

Nie ma zamiaru zmuszać się do zabierania na pokład miernot tylko po to, by przypodobać się takiej lub innej grupie nacisku rządzącej jednostkami słabszymi i bardziej łatwowiernymi.

Odpowiedziały mu gwizdy.

Miliarder czytał jednak dalej.

Osobiście uważa, że wszędzie, we wszystkich ludach, we wszystkich religiach, we wszystkich narodach istnieją geniusze i kretyni, podobnie też nie może się powstrzymać od stwierdzenia, że pewne kultury zachęcają do rasizmu i fanatyzmu i zniechęcają do kreatywności, szlachetności i empatii. I wcale nie zamierza umieścić próbek tych kultur w swoim projekcie tylko dlatego, że stanowią one często większość i mają spore wpływy.

Kolejna wroga reakcja.

Gabriel Mac Namarra oświadczył, że jego zdaniem ma pełne prawo do swobodnego wyboru swoich „pracowników”, tym bardziej że w pełni sfinansował „Ostatnią Nadzieję” z

własnych pieniędzy, nie otrzymując żadnej subwencji od państwa.

Miliarder odczekał po raz kolejny, aż na sali powróci spokój. Teraz jednak porzucił czytanie tekstu.

– Nie mówię tu o szacunku wobec waszych przywilejów, które zdobyliście, wykorzystując ludzki strach, podejrzliwość i głupotę. Nie mówię o waszych tradycjach, polegających na powtarzaniu nieefektywnych, szkodliwych czy niebezpiecznych zachowań pod pretekstem, że wasi ojcowie postępowali tak samo. Mówię tu o przetrwaniu ludzkiego gatunku. Bycie inteligentnym oznacza niepowtarzanie tych samych błędów. Bycie świadomym oznacza nieuleganie naciskom, aby przypodobać się większości, w której siłą rzeczy panuje nietrwała zgoda. Myślicie, że „Ostatnia Nadzieja” w ogóle by powstała, gdybyśmy musieli pytać wszystkich o zdanie, technokratów i polityków? Tym, którzy mają krótką pamięć, przypominam, że projekt ten został wymyślony przez inżyniera o nazwisku Yves Kramer i z miejsca odrzucony przez jego zwierzchników z Agencji Kosmicznej. Cechą naprawdę nowatorskich projektów jest to, że nie interesują *one* skostniałych umysłów. Obudziliście się dopiero teraz?! Kiedy zdążyliśmy odwalić całą robotę?! To zbyt łatwe!

Tym razem spotkał się z jeszcze bardziej wrogą reakcją, szczególnie ze strony przedstawicieli własnego rządu.

– Przykro mi, ale nie wezmę na mój statek kosmiczny żadnych dupków tylko dlatego, że stanowią oni większość wśród ludzkości i że dzięki temu zyskalibyście poklask wśród waszych stad beczących baranów!

Ogólne wzburzenie.

Mac Namarra odczekał, aż burza ucichnie, zanim dodał, dalej w tym samym tonie:

– Mówię tu o przyszłości ludzkości, a nie o waszych sondażach, popularności ani wyborcach. Nie mówię o waszych przywilejach ani łapówkach. Mówię o waszych horyzontach. Czy choć przez minutę jesteście w stanie spojrzeć dalej niż czubek własnego nosa? Jeśli już nie dla was, to przynajmniej dla waszych dzieci.

Gabriel Mac Namarra skulił ramiona niczym bokser, który zamierza ruszyć na przeciwnika ze spuszczoną głową. Ścisnął obiema dłońmi stojak mikrofonu, jakby to był miecz.

– Tylko czy wy w ogóle kochacie swoje dzieci? Widzę tu przedstawicieli państw, które przyklaskiwały, kiedy ich synowie samobójcy wysadzali się w autobusach pełnych cywili! Widzę tu przedstawicieli państw, które przyklaskiwały, kiedy w metrze wybuchały bomby! Widzę tu

przedstawiciele państw, które zamierzają zbudować bomby atomowe, żeby unicestwić jak najwięcej ludzi! I to oni chcą mi dawać lekcje moralności!

Pomruki i groźby.

– Gdybyście kochali swoje dzieci, gdybyście mieli jakiś projekt dla przyszłych pokoleń, czy zanieczyszczalibyście tak łatwo powietrze i wodę? Żeby mogło kiedyś nadejść lepsze jutro, trzeba je sobie wyobrazić już dziś. Yves Kramer je sobie wyobraził. A ja go wspieram! Skoro więc sami nie potraficie czynić dobra, pozwólcie, żeby inni zrobili to za was! Odwalcie się od nas! Pozwólcie mi dokonać choćby drobnej konstruktywnej rzeczy na moim własnym podwórku, podczas gdy sami siejecie najgorsze zło na oczach wszystkich.

Kiedy zewsząd posypały się obelgi i poleciały papierowe kulki oraz plastikowe butelki, Mac Namarra wpadł we wściekłość.

– Widzę, że większość tego zgromadzenia stanowią jak zawsze umysły zacofane, sądzę więc, że w tym wypadku żadna...

Tym razem podniósł się taki wrzask, że Mac Namarra nie mógł ani dokończyć zdania, ani ponownie zabrać głosu.

Nagle zaczęły padać wokół niego szklane pociski, rozbijając się z trzaskiem.

Jego przemówienie zostało jednak zamieszczzone we wszystkich gazetach i transmitowane przez wszystkie stacje.

„Sądzę więc, że w tym wypadku żadna... „ – brzmiało ostatnie zdanie.

25. ELIKSIR ŻYCIA

Napięcie sięgnęło zenitu.

Wielu szefów państw zażądało ni mniej, ni więcej tylko przerwania „Ostatniej Nadziei”, o ile nie domagali się uwięzienia groźnego maniaka megalomana, który był jej inicjatorem. Prawo do własności prywatnej nie pozwalało jednak zmusić miliardera, żeby porzucił swój projekt.

Prace nad nim posuwały się dalej mimo szpiegów i paparazzich, którzy wdrapawszy się na dźwig, fotografowali wewnątrz ośrodka.

W strefie budowlanej pojawiły się wkrótce szeregi reaktorów w kształcie stożka o kolosalnych wymiarach. Każdy reaktor wznosił się na dwadzieścia metrów, co pozwalało się domyślać, jak wielki będzie przyszły *Gwiezdny Motyl V*.

Właśnie wtedy w głównym hangarze wybuchła bomba zapalająca.

Wystarczyła jedna minuta, żeby całe tygodnie pracy poszły na marne.

Zrodziła się nieufność. Yves Kramer musiał zastąpić kilku podejrzanych inżynierów innymi. Nawet pracownicy ochrony okazali się niegodni zaufania. Wszędzie zapanowała podejrzliwość.

W ośrodku „Ostatnia Nadzieja” miejsce początkowego entuzjazmu zajęło ogromne napięcie.

Druga bomba zapalająca, podłożona tym razem w Mieście – Motylu, zniszczyła kafenię, na szczęście pustą w środku nocy. Przesłanie było jasne: ich wrogowie zamierzali zaatakować maszyny, a jeśli to nie poskutkuje, zaatakują ludzi.

Ponieważ nieszczęścia zawsze chodzą parami, jedna ze stu czterdziestu czterech tysięcy osób zaczęła podżegać innych, aby porzucili pracę.

– Nie możemy walczyć z całym światem – oświadczyła. – Nie możemy bronić projektu jednego człowieka, który sprzeciwia się wszystkim narodom świata.

Udało jej się przekonać dwieście osób do odejścia. Trzeba było więc znaleźć na ich miejsce kogoś innego.

Yves Kramer był przybity, miał wrażenie, że coś, być może początkowy entuzjazm, zostało zniszczone.

Natomiast Gabriel Mac Namarra się nie poddawał. Zaprosił Yves'a na pizzę i kieliszek

wina do odbudowywanej właśnie restauracji.

Tam zaś, siedząc przy stole, który w niczym nie przypominał tego z ich pierwszego spotkania, powiedział:

– Potraktujmy te doświadczenia jako dar od losu. Czego się pan spodziewał? Że wszystko pójdzie jak po maśle? Ten spór pozwoli nam nieco oczyścić całą tę masę kandydatów do lotu. Wyobraża pan sobie, co to by była za katastrofa, gdyby te typy wsiadły na pokład? Te zdarzenia pozwolą nam się przekonać, jaką każdy z nich ma motywację. Proszę mi wierzyć, wszystko, co się nam przytrafia, choćby było nie wiem jak zaskakujące, jest w interesie „Ostatniej Nadziei”.

Kiedy zjedli obiad, Mac Namarra zaprowadził go do okna.

– Wierzę w to. Uda nam się.

Yves sprawiał wrażenie zamyślonego.

– Należy przyswoić sobie pojęcie „paradoks” – powiedział. – Na przykład uważamy, że w dzień widzimy więcej niż w nocy. To nieprawda, za dnia rozróżniamy wydarzenia na odległość zaledwie kilkudziesięciu kilometrów, natomiast na niebie pole widzenia ograniczają nam chmury albo warstwa atmosfery. Za to w nocy... W nocy dostrzegamy gwiazdy znajdujące się miliony kilometrów stąd. W nocy widzimy daleko, widzimy w przestrzeni i w czasie.

Rozbawiony tą uwagą miliarder zapalił cygaro.

– A ponieważ przypadkiem akurat wtedy, gdy ludzie śpią i nie myślą o tym, żeby patrzeć, możemy dojrzeć najwięcej...

Gabriel już miał wybuchnąć gromkim śmiechem, powstrzymał się jednak, tak jak się ściąga cugle koniowi, który zamierza ponieść.

– Co do mnie, posiadam pewną sekretną metodę, która być może nie tłumaczy mojego bogactwa, ale przynajmniej wyjaśnia równowagę umysłową.

– Słucham pana.

– Na swój sposób jestem taki jak pan: korzystam z nocy, żeby „widzieć”. Tuż przed pójściem spać rozmyślałem nad jakąś kwestią. I wiem, że nazajutrz rano będę znał odpowiedź.

Inżynier spojrzał na miliardera inaczej.

– Niegłupie. *Zadaje* pan pytanie swojemu aniołowi stróżowi?

– Albo mojemu chochlikowi, albo podświadomości, albo Bogu, albo wszechświatowi. W każdym razie jasno wyrażam to, co chcę wiedzieć. W czasie snu nie ulegam wpływowi lęku, pragnienia, emocji. Przez chwilę jestem wolny. Nawet strach nie ma do mnie dostępu.

Gabriel Mac Namarra wypuścił kłąb dymu ku gwiazdom.

– Jakie pytanie zada pan dzisiaj przed pójściem spać? – chciał wiedzieć Kramer.

– Jeszcze nie wiem. Przed zadaniem pytania wykonuję inną pracę. Analizuję miniony dzień. Zmuszam się do tego, żeby stwierdzić, gdzie popełniłem błąd, i próbuję w myślach skorygować własne błędy z całego dnia. I wtedy pojawiają się pytania.

– Naprawić błędy? Przecież wieczorem jest już za późno, błędy całego dnia już zostały popełnione.

Gabriel uśmiechnął się zagadkowo.

– Nie, nigdy nie jest za późno. Można posprzątać „potem”. Możemy cofnąć usłyszane lub wypowiedziane obelgi. Możemy wymazać błędnie dokonane wybory. Zupełnie jak głowica magnetofonowa, która kasuje określony dźwięk i zastępuje go innym.

– Myśl silniejsza niż czas i przestrzeń?

– Tak, wierzę w to.

– A więc skoro możemy cofnąć się w przeszłość, żeby posprzątać, możemy wyjść w przyszłość, żeby zapytać. Pańska teoria jest trochę skomplikowana, ale ma tę zaletę, że trzyma się kupy – przyznał z zainteresowaniem Yves.

Taniec krążących po niebie owadów stał się bardziej hałaśliwy. Do lampy podleciała ćma, uderzając o szkło chroniące żarówkę.

– To mój ojciec, Jules Kramer. Odwiedza mnie co jakiś czas, aby powiedzieć, co mam robić.

– Odpowiada na pańskie pytania?

– Lepiej: wskazuje mi pytania, które zapomniałem sobie zadać.

Przeglądali się wspólnie nocnemu owadowi.

Opuściwszy lampę, szaroskrzydły owad przysiadł właśnie na brzegu talerza, jakby chciał powąchać resztki dania, po czym odfrunął ku doniczce z kwiatami. Następnie rozwinął trąbkę i zaczął spijać nektar z samego serca kwiatu.

– Co to oznacza, według pana? Ze należy pomyśleć o przeniesieniu kwiatów do wazonu?

– zażartował miliarder.

– Zadam to pytanie mojemu aniołowi stróżowi, zanim pójde spać – odparł Yves, pragnąc dowieść, że pojął sens jego idei.

26. SKŁADANIE CZĘŚCI

Poruszenie. Krzątania inżynierów w niebieskich kombinezonach i białych hełmach.

Jeżdżące w tę i z powrotem ciężarówki załadowujące i rozładowujące coś, co przypominało olbrzymie kawałki przestrzennej układanki.

Po wielu miesiącach wyteżonej pracy w nowych, dobrze chronionych pomieszczeniach, w ogromnych hangarach zaczynał właśnie nabierać życia znajdujący się w częściach *Gwiezdny Motyl V*.

W ustalonym dniu części zostały złożone, tworząc statek kosmiczny.

W okazałej niczym budynek maszynie była jakaś dysproporcja.

Tysiąc metrów – tyle wynosiła wysokość pierwszego segmentu cylindra, który sam składał się z trzydziestu dwóch segmentów. Pięćset metrów średnicy.

Zaintrygowane ptaki krążyły wokół wierzchołka. Stukrotnie wyższy, potężniejszy i cięższy niż jakakolwiek rakieta wystrzelona dotąd w kosmos, *Gwiezdny Motyl V* zdołał utworzyć na pustyni strefę cienia.

Wreszcie każdy mógł zobaczyć cały statek kosmiczny nowej generacji. Prawdziwy pomnik z czystego metalu. W jego dolnej części, czyli w „brzuchu”, znajdował się pierwszy poziom wyposażony w trzydzieści gigantycznych reaktorów w kształcie stożka, tworzących krzyż, niczym usterzenie strzały.

Kolejny poziom o mniejszych rozmiarach również zawierał około dziesięciu reaktorów formujących krzyż.

Na trzecim poziomie, który stanowił kadłub wysokości jednego kilometra, w formie ogromnego cylindra, toczyło się właściwe życie.

I wreszcie nad cylindrem była umieszczona strefa pilotażu, czyli głowa motyla. Cechą charakterystyczną tej narośli było to, że miała po bokach dwie wielkie przezroczyste kule, tworzące dwoje wylupiastych oczu.

Yves Kramer pokazał sponsorowi swoje dzieło.

– Tutaj, w prawej kuli, jest stanowisko pilotażu ziemskiej części rakiety. A tutaj, w lewej kuli, stanowisko pilotażu żagli słonecznych. Z tym że część obsługująca start naziemny może się zmienić w stanowisko nawigacji równoległej podczas lotu.

– Sprytne. A tam, w szerokiej strefie szyi, która łączy głowę z kadłubem?
– Strefa tranzytowa, gdzie posadzimy załogę w chwili startu, oraz komora, w której znajduje się wahadłowiec do lądowania na obcej planecie.

– Rakietą?

– Nie, ten mały statek posiada napęd chemiczny, a następnie fotonowy, podobnie jak *Gwiezdny Motyl*. Satine wpadła na pomysł, żeby nazwać go *Muszką*.

– A, Satine Vanderbilt to naprawdę doskonała asystentka – odrzekł odruchowo.

Gabriel Mac Namarra podziwiał olbrzymi statek. Yves wyjaśnił mu następnie, że na całym obwodzie pojazdu zostały umieszczone ekrany słoneczne, które zakrzywiono, aby idealnie pasowały do kształtu cylindra. Zwrócił uwagę na położone między ekranami słonecznymi lśniące wstęgi, utworzone przez szyby, które służyły jako bulaje.

– Brawo, Yves, nawet pan sobie nie wyobraża, z jaką niecierpliwością czekałem na ten dzień. Od tej chwili nie jest pan już zwykłym inżynierem, tylko wynalazcą. Wynalazł pan tę gigantyczną maszynę.

Gabriel poklepał go przyjacielsko po plecach.

Pracownicy ośrodka „ON” skupili całą swoją energię, kiedy tylko zdołali ujrzyć *Gwiezdnego Motyla*.

W Mieście – Gąsienicy przyspieszono czynności przygotowawcze do budowy wewnętrznego wyposażenia cylindra i kontroli nad nim. Chociaż odkryto kilku sabotażystów, nikomu to już nie przeszkadzało. Traktowano ich teraz jak burze, drobne zjawiska atmosferyczne, które są wprawdzie irytujące i niebezpieczne, ale i tak nie zdołają powstrzymać zbiorów.

Nawet wybuch, który zniszczył jeden z hangarów, nie wpłynął ujemnie na morale.

Tymczasem jednak pojawił się nieoczekiwany problem. Otóż Satine, pokłóciwszy się z Adrienem z powodów „osobistych”, postanowiła opuścić ośrodek i porzucić program. Utrata asystentki dała się wszystkim we znaki. W ciągu kilku miesięcy młoda kobieta stała się bowiem cennym ogniwem łączącym techników i pasażerów.

Poza tym stanowiła most pomiędzy Yves'em Kramerem a Elisabeth Malory. Od samego początku okazała się najlepszą podporą dla Adriena Weissa w tworzeniu spójnego świata ekologicznego.

Gabriel Mac Namarra błagał, żeby została, proponując nawet, że podwoi jej pensję.

Ponieważ jednak zatarg z psychologiem głęboko ją zranił, wołała uciec, prosząc jednocześnie, by nikt nie próbował się z nią skontaktować.

Przyrzekła, że nie wyjawি nic z tego, co wie o projekcie „ON”.

W następstwie odejścia Satine Adrien popadł w całkowite przygnębienie, a nawet apatię, która zakończyła się jednym wielkim podrywem.

Rzecz jasna, przedmiot jego łowów stanowiły najmłodsze kobiety. Brodę zredukował do wąsów. Porzucił fajkę na rzecz gumy, którą żuł bez przerwy. Ciągłe ubierał się na sportowo.

I wreszcie, gdyż nieszczęścia zawsze chodzą parami, Gabriel Mac Namarra miał atak serca. Trzeba było natychmiast zawieźć go do szpitala na operację, po czym wartość jego akcji na giełdzie spadła. Inwestorzy, którzy zdawali sobie sprawę, że imperium Mac Namarry trzyma się przede wszystkim dzięki charyzmie i zdrowiu swojego jedyne go przywódcy, stopniowo tracili zaufanie. Zaczęło brakować pieniędzy, które jak dotąd zawsze wystarczały na opłacenie przyszłych kosmonautów, inżynierów i ochroniarzy oraz na zakup części czy surowców.

Gwoździem do trumny stał się następny zamach – wybuch samochodu-pułapki, który zburzył wejście do ośrodka i w którym zginął strażnik.

Po raz kolejny czynnik ludzki wszystko popsuł.

Wątpliwości powróciły ze zdwojoną siłą.

Ktoś wypowiedział zdanie:

– Ten projekt jest pechowy.

Prace zaczęły się opóźniać. Na domiar złego rozpętała się burza, która nadeszła od pustyni, pokrywając wszystko beżowym klejącym pyłem.

Wówczas Elisabeth postanowiła udać się do gabinetu Yves’a Kramera.

– Sądzę, że teraz musimy porozmawiać w cztery oczy – oświadczyła bez ogródek, opierając kule o fotel, na który opadła z bolesnym westchnieniem.

27. RAFINACJA SOLI

Wzrok utkwiony w oczy przeciwnika.

Długo się w siebie wpatrywali, zanim rozpoczęli rozmowę.

Wynalazca był tak samo poruszony jak pierwszego dnia, gdy ujrzał rozsierdzoną żeglarke siedzącą na ławie oskarżonych.

Ciągle jeszcze miał w pamięci jej krzyki, wycelowany w siebie palec, jej płonące turkusowe oczy i burzę rudych włosów, którymi podrzucała piętnując człowieka określanego przez nią samą mianem „niszczyciela” albo „mordercy”.

Na zewnątrz, wśród ustawionych wokół *Gwiezdnego Motyla* dźwigów, wyl wiatr, z okna swojej willi zaś mógł zobaczyć, jak cylindryczna wieża statku i potężne reaktory pokrywają się powoli beżowym pyłem.

– Proszę mi dać coś do picia – powiedziała wreszcie.

Rzucił się, żeby nalać jej białego wina, ona jednak zażądała czegoś mocniejszego.

– Cóż, na początek muszę się przyznać, że nadal pana nie cierpię. Nienawidzę pana od chwili, kiedy pana ujrzałam. W pewnym momencie miałam nawet ochotę pana zabić. Potem uznałam, że śmierć jest czymś zbyt szybkim, chciałam więc pana torturować. Aż wreszcie stwierdziłam, że skoro najwyraźniej potwornie gryzie pana sumienie, być może najlepszą torturą będą niedające spokoju wyrzuty.

Kramer niedostrzegalnie skinął głową.

– A później pańska asystentka przyszła do mnie do domu i wszystko potłukła. To z pewnością nie przyczyniło się do polepszenia pańskiego wizerunku. Ale zdążyła wspomnieć o projekcie. O *Gwiezdnym Motylu*. Co mnie podkusiło, żeby jej posłuchać? Co mnie podkusiło, żeby go sobie wyobrazić? Ledwie sobie uzmysłowiłam, czym mógłby być taki „gwiazdny żaglowiec”, nie przestałam o nim marzyć. Wbrew własnej woli zrobiłam w ten sposób krok w pańskim kierunku. Powinnam była odmówić. O tak, powinnam była odmówić. Dałam się nabrać własnej skłonności do mrzonek. Zawsze dawałam się nabrać ludziom, którzy usiłowali mi wcisnąć przez telefon w pełni urządzonej kuchnię albo podwójnie przeszklone drzwi. Musiałam trzy razy wymieniać i jedno, i drugie. Człowiek nigdy nie nabierze rozumu.

Upiła łyk alkoholu. Spojrzawszy na nią, stwierdził, jak bardzo schudła podczas pobytu w

ośrodka „Ostatnia Nadzieja”. Straciła sporo kilogramów, jej rude włosy znów były puszyste i falujące, niebieskie oczy pojaśniały.

Najbardziej jednak zbijał go z tropu jej zapach. Czuć ją było „kobietą awanturnicą” – była to mieszanina przypraw korzennych i potu.

Uważał, że jest piękniejsza niż kiedykolwiek.

„Myśli mogą wszystko. Można wymazać przeszłość przez samo to, że się tego chce” – powtarzał sobie.

– W końcu pokochałam tę „Ostatnią Nadzieję”. Ocalić ludzkość, wysyłając w kosmos statek... Trzeba być naprawdę stukniętym, żeby to zrobić. Ale ja lubię wyzwania. Teraz, kiedy się w to zaangażowałam, nie pozwolę panu tego rzucić. A poza tym, moim zdaniem, plany *Gwiezdnego Motyla IV* są wspaniałe. Według mnie ten słoneczny żaglowiec to najpiękniejszy środek do przemieszczania się, jaki kiedykolwiek było mi dane oglądać. A muszę panu powiedzieć, że widziałam mnóstwo łodzi prujących fale i statków przecinających powietrze.

Przyjrzał się jej dokładnie.

– Dzisiaj – mówiła dalej – wszystko zdaje się iść źle. To tak, jakbyśmy wyczerpali cały kapitał szczęścia. – Zamilkła na chwilę. – Rzecz polega na tym, że nienawiść do pana to luksus, na który nie mogę już sobie pozwolić. Nie wybaczyłam panu i nigdy nie wybaczę, ale chciałabym, aby pan wiedział, że w tych trudnych chwilach, cóż... jak by to ująć... mimo wszystko... jestem z panem.

Opróżniła szklaneczkę jednym haustem.

– Dziękuję – powiedział.

– Nie, proszę mi nie dziękować, to normalne. Jak już mówiłam, kocham ten projekt. A ja nie mam zwyczaju załamywać rąk, kiedy pojawiają się trudności. To kwestia osobistej moralności.

– Dziękuję – powtórzył.

– Widzę przeciwnie wiatry. Odejdzie Satine, kłopoty zdrowotne Gabriela, spadek zainteresowania ze strony Adriana, akty sabotażu, groźby, zmniejszenie budżetu, jak również najróżniejsze problemy wśród stu czterdziestu czterech tysięcy... Co tydzień Adrien jest zmuszony zwolnić co najmniej stu z nich i zatrudnić następnych...

– Wiem. Statek tonie.

– Zabraniam panu tak mówić. Nie wolno zapominać, jak narodził się ten projekt i jakie

przyświecają mu cele – oświadczyła.

Nagle na jej twarzy pojawił się nieznany grymas, jakby poczuła ból w miednicy.

– Nie możemy się teraz poddać.

W tym „my” było coś tak nieoczekiwanego, że wołał się nie odwracać.

– Jesteśmy wyczerpani. I nic dziwnego, bo harowaliśmy jak woły. Teraz musimy złapać drugi oddech, żeby dobiec do mety.

Chwila, na którą czekał od tak dawna, wprawiła go w zakłopotanie.

– Zaszliśmy za daleko, żeby zawrócić. Jeżeli załamamy ręce, nigdy sobie tego nie wybaczymy. Nie mamy wyboru. Musimy iść dalej naprzód.

Niemal z przyzwyczajenia unikał jej wzrokiem, próbowała więc znaleźć sposób, by go zmusić do reakcji.

– Zauważył pan? Od niedawna potrafię chodzić o kulach. Lekarze nigdy nie wierzyli, że mi się to uda. Nawet kiedy mówili, że wszystko będzie dobrze, sami w to nie wierzyli. A ja nie wiedziałam, że to niemożliwe, więc... to zrobiłam. To zupełnie jak z tym projektem. Nie wiedzieliśmy, że to niemożliwe, dlatego właśnie go realizujemy.

Yves Kramer przełknął ślinę.

– Dlaczego zmieniła pani opinię na mój temat? – zapytał.

– Z powodu kilku wypowiedzianych przez pana zdań, które ciągle nie dawały mi spokoju, dopóki na zawsze nie zapadły w pamięć.

Zmieniła pozycję, ponieważ poprzednia zaczęła jej sprawiać ból.

– Na przykład?

– „Ostatnią nadzieją jest ucieczka” albo: „Pewnego dnia ludzkość osiedli się gdzie indziej i najlepiej w inny sposób”, a na koniec było, zdaje się, zdanie Gabriela. Któregoś wieczoru powiedział, że „wszystko jest paradoksem i że prawdziwa mądrość polega na dostrzeganiu tych paradoksów”.

Mówiła o ich wspólnym przyjacielu tak, jakby już nie żył. Było to dla wynalazcy nieco krępujące, rozumiał jednak, co Elisabeth ma na myśli. Stanowiło to raczej hołd niż nekrolog.

– W końcu zaczęłam się zastanawiać, czy mój wypadek nie jest „paradoksalnie”... czymś dobrym.

Roześmiała się nerwowo, jakby usiłowała naśladować śmiech Mac Namarry albo wmówić samej sobie kłamstwo.

– Strasznie się pani wycierpiała z mojego powodu. To nie może być nic dobrego, to katastrofa – odparł lakonicznie wynalazca.

Przygryzła wargę.

– Kto wie? Uwięziwszy moje ciało, być może uwolnił pan mój umysł. Czym byłoby moje życie, gdyby nie ten wypadek? Nawet sława przemija. W końcu przestałabym zwyciężać, przestałabym uprawiać żeglarstwo. Zamieszkałabym z jakimś przystojnym, nadzianym playboyem i zanimbym zdechła ze starości, miałabym kupę najlepszych w klasie dzieciaków. Tak właśnie potoczyłoby się „normalnie” moje życie. Sposób myślenia w ogóle by mi się nie zmienił. Dbałabym wyłącznie o własne przyjemności i wygody. Tymczasem... dzięki naszemu spotkaniu i pańskim szalonym pomysłom być może zdołam ocalić ludzkość i odkryć jakąś nową planetę.

– Żadnemu z nas się to nie uda – uciął Yves. – Podróż potrwa co najmniej tysiąc lat.

Machnęła ręką, żeby pominąć ten szczegół.

– W takim razie przynajmniej zapewnię moim dzieciom możliwość zbudowania lepszego świata w innym miejscu.

Przez długą chwilę milczeli daleko od siebie.

– Gabriel powiedział, że wieczorem przed zaśnięciem człowiek może zadać pytanie swojemu aniołowi stróżowi i że rano będzie znał odpowiedź.

Yves’owi wydało się dziwne, że jego sponsor porusza w rozmowach z Elisabeth te same tematy co z nim.

– Zadałam przed zaśnięciem pytanie i dostałam rano odpowiedź.

– Jakie pytanie?

Udała, że nie słyszy, i mówiła dalej:

– Gabriel zwrócił mi też uwagę, że wieczorem, tuż przed zaśnięciem, człowiek może obejrzeć jak na filmie całe swoje życie i wymazać niektóre fragmenty, przeprogramować je i rozsypać węzły. Wczoraj wieczorem wróciłam do przeszłości i rozsypałam węzły.

– Nie da się zmienić przeszłości. Co się stało, to się nie odstanie. Nie można skleić tego, co się stłukło.

– Kto wie. Potęga myśli nie zna granic. Niech pan tylko popatrzy: odzyskałam władzę w nogach. Czego panu trzeba, jeśli nie zwycięstwa umysłu nad materią?

Mówiąc to, pragnęła mu pokazać, że potrafi chodzić bez kul. Po kilku pewnych krokach

przewróciła się.

28. WPROWADZENIE ZBĘDNEGO SKŁADNIKA

Sztandary z błękitnym motylem na czarnym tle w otoczeniu białych gwiazd łopotały pod wpływem gwałtownych powiewów chłodnego wiatru.

Chociaż ośrodek „Ostatnia Nadzieja” zwolnił tempo, wszyscy jego mieszkańcy przygotowywali się bez ustanku do życia w cylindrze.

Po okresie wygadywania rozmaitych bzdur na temat *Gwiezdnego Motyla* media w końcu w ogóle przestały się nim interesować.

Poza nielicznymi wyjątkami wszyscy dziennikarze ekscytują się danym tematem równie szybko, jak czują się nim znużeni.

Brakowało im czegoś, w co mogliby wbić zęby, i właśnie nadarzyła się okazja, bo oto wyjątkowo gwałtowne trzęsienie ziemi zmiotło z mapy jedno z przybrzeżnych miast wraz ze wszystkimi mieszkańcami. Jednocześnie pewien dyktator, będący jednym z najzagorzalszych przeciwników projektu „Ostatnia Nadzieja”, oświadczył, że jego kraj właśnie zakupił broń atomową i że zamierza ją wykorzystać, aby unicestwić swojego najbliższego sąsiada z powodów religijnych. Nagle wzrosło napięcie na całej planecie. Zupełnie jakby historia dostała przyspieszenia.

Nad wielkimi stolicami unosił się nieustannie smog gęstej bursztynowej mgły. Mieszkańcy z trudem oddychali ciężkim powietrzem. Zamachy terrorystyczne stały się tak częste, że gazety już nawet nie zadawały sobie trudu, by o nich wspominać. Do ulubionych celów należały metro i autobusy.

Nowy wirus przenoszony przez ślinę siał spustoszenie, lecz naukowcy nie potrafili sobie z nim poradzić.

Tymczasem w ośrodku „Ostatnia Nadzieja” ukończono montaż statku. *Gwiezdny Motyl IV* praktycznie był gotów do lotu. Pozostało jedynie dopieszczenie wyposażenia wewnętrznego.

Powróciwszy do ośrodka „Ostatnia Nadzieja”, Gabriel Mac Namarra stopniowo odzyskiwał siły, czerpiąc z projektu motywację do szybkiej rekonwalescencji.

Adrien Weiss zamieszkał wspólnie z pewną inżynierką z ośrodka, Caroline Toledano,

specjalizującą się w astronomii. Dzięki wstawiennictwu kochanka włączono ją do zespołu kierowniczego na miejsce Satine Vanderbilt. Ta młoda, raczej energiczna brunetka o artystycznej duszy udowodniła bez trudu, że jest przydatna.

Elisabeth Malory i Yves Kramer spotykali się teraz regularnie, opracowując wspólnie systemy kontroli obu wielkich skrzydeł *Gwiezdnego Motyla*.

Rozmawiali wyłącznie o sprawach technicznych, unikając wszelkich tematów osobistych.

Do uruchomienia żagli słonecznych Yves Kramer opracował cały system okablowania, który miał wiele wspólnego z olinowaniem starego trójmasztowca. Elisabeth Malory wynalazła z kolei mechanizmy bloczków, które umożliwiały jak najlepsze przystosowanie kształtu żagla do strumienia fotonów nadchodzących z tyłu lub z boków.

Pewnego dnia żeglarka wręczyła inżynierowi prezent.

Ten zaś potrząsnął ze zdziwieniem pudełkiem owiazanym wstążką, po czym zerwał papier ozdobny. Następnie wyjął z kartonu jedwabistą, włochatą, biało-czarną miauczącą kulę, z której pyszczka wystawał długi, różowutki i szorstki języczek. Dwumiesięczne kocię.

– Zawsze mam na jachcie kota – powiedziała dla wyjaśnienia. – Żeglarze uważają, że koty przynoszą szczęście. Zwyczaj ten pochodzi, zdaje się, z czasów, kiedy w ładowniach dużych żaglowców panowała plaga szczurów, które pożerały zapasy żywności. Koty były wtedy obrońcami.

Wynalazca pogłaskał kociaka, który zaczął natychmiast mruścić.

– To samiec czy samica?

– Nie mam pojęcia: w tym wieku niewiele widać, musimy jeszcze trochę poczekać.

– Przyjmuję go, ale trzeba mu dać jakieś imię – oznajmił inżynier.

– Skoro jest biało-czarny, nie pozostaje nam nic innego, jak nazwać go Domino. A poza tym to imię pasuje i do samca, i do samicy.

Wynalazca przyjrzał się zwierzęciu, które nie przestawało mruścić.

– To będzie nasza maskotka. Jestem pewien, że dopóki Domino pozostanie z nami, szczęście nas nie opuści.

Od tej pory Yves Kramer nabrał zwyczaju przechadzania się po korytarzach z kociakiem Dominem, który siedział mu na prawym ramieniu niczym papuga pirata.

W Mieście – Gąsienicy załogi przystąpiły do wykonywania kolejno wszystkich czynności z listy, prowadzących do startu.

Elisabeth i Mac Namarra zauważyli, że ich zdrowie uległo poprawie, zupełnie jakby postępy w realizacji projektu wywołały proces rekonstrukcji biologicznej.

29. FAZA GOTOWANIA NA DUŻYM OGNIU

Po okresie wichrów nastąpiła spiekota, która działała na wszystkich wyczerpująco i hamowała pracę. W pracowniach konstruktorskich unosił się odór potu, rozgrzanego metalu, plastiku i kurzu.

Ludzie zostawali dłużej w kafeterii, niektórzy zasypiali przy miejscu pracy.

Ośrodek „Ostatnia Nadzieja” pogrążył się w powolnym odrętwieniu.

Nawet owady zaczęły się mniej rzucać w oczy.

Wystarczył zwykły artykuł w prasie, żeby wszystko się zatrzęsło.

Dziennikarz z pewnej poważnej gazety tak oto zatytułował swój wstępniak: A JEŚLI JUŻ WSZYSTKO STRACONE? A JEŚLI PROJEKT „OSTATNIA NADZIEJA” JEST RZECZYWIŚCIE OSTATNIĄ NADZIEJĄ NIE TYLKO DLA KILKU NAWIEDZONYCH, ALE DLA CAŁEJ LUDZKOŚCI? Bez wątpienia redaktorek miał atak depresji albo paranoi i przez przypadek wpadł mu w ręce stary reportaż na temat *Gwiezdnego Motyla*.

Artykuł nie wnosił nic nadzwyczajnego, żadnych rewelacji, stanowił po prostu „zabawny kawałek”, ponieważ zaś ukazał się tuż po szczególnie tragicznym trzęsieniu ziemi i tuż przed trudnymi wyborami prezydenckimi, jego wydźwięk był piorunujący.

Prezydent, który zawsze starał się odwracać uwagę od bolączek gospodarczych i społecznych państwa, pod wpływem artykułu rozpoczął kampanię pod hasłem: „Nie pozwólmy, żeby egoiści uciekli bez nas”.

Słowo zostało głośno wypowiedziane. Egoiści.

Od tej pory ludzi odpowiedzialnych za projekt „Ostatnia Nadzieja” zaczęto określać jako zgraję egoistów, którzy myślą tylko o tym, żeby ocalić własną skórę w świecie chylącym się ku zagładzie. W pierwszej chwili Gabriel Mac Namarra zbagatelizował całą sprawę. W końcu media zaatakowały projekt nie po raz pierwszy. Znacznie bardziej obawiał się ataków sabotażu ze strony szpiegów niż słów dziennikarzy i polityków.

Nie docenił jednak siły, z jaką potrafią one szkodzić.

Manifestacje przeciwko *Gwiezdnemu Motylowi* wybuchły spontanicznie. Spalono portrety

twórców ośrodka „ON”, a także sztandary przedstawiające niebieskiego motyla na tle gwiazd.

– Kto może nas aż tak nienawidzić, żeby występować przeciwko nam? – zdumiał się Yves, oglądając dziennik telewizyjny.

– Reakcjoniści. W jednej chwili staliśmy się nowym obiektem nienawiści. Motłoch zawsze musi mieć kogoś, kogo będzie mógł nienawidzić. Taki miliarder na przykład denerwuje. A słynna żeglarka budzi zawiść.

– Ja nie mam żadnych osiągnięć.

– Zwolniony z pracy inżynier... pewnie, że nie. Taki nie budzi nienawiści. Ale istnieją dwie kategorie jednostek, których ludzie nie lubią. Ci, którym się wiedzie, i ci, którym się nie udaje. – Czy to jeszcze jedna z pańskich teorii?

– One wynikają z doświadczenia. Cała nasza trójka stanowi kwintesencję tego wszystkiego, co doprowadza do ostateczności stado beczących baranów, które pędzą na oślep ku przepaści. Na dodatek mamy wspólny plan: wydostać się ze stada, żeby je ocalić. Nie można być już bardziej „wywrotowym”.

Wybuchnął tym swoim gromkim, urzekającym śmiechem.

– To prawie cud, że cała ta wrogość nie spadła na nas wcześniej. Sam się pan przekona: nie znalazł się nikt, kto by nam pomógł, kiedy byliśmy w potrzebie. I nie znajdzie się nikt, kto by nas obronił teraz, kiedy nas atakują.

– Zasada trzech wrogów, co? Tych, którzy chcą zrobić to samo, tych, którzy chcą zrobić coś przeciwnego, i tych, którzy nie chcą nic robić? – przypomniał sobie Yves Kramer. – Najlepiej się nie wychylać.

Mac Namarra wzruszył fatalistycznie ramionami i dodał:

– Po prostu trzeba zachować zimną krew i nie zbaczać z kursu. Tydzień później Zgromadzenie Narodowe głosowało nad uchwałą, żeby uznać projekt „Ostatnia Nadzieja” za niezgodny z prawem z powodu „nieudzielenia pomocy osobom w niebezpieczeństwie”.

Właśnie to było najbardziej zdumiewające: od tej pory deputowani, bez względu na to, jaką reprezentowali opcję polityczną, zaczęli traktować „Ostatnią Nadzieję” jak rozwiązanie dla zbiorowości.

Paradoksalnie z największą zaciekłością określali go mianem „megalomańskiego” ekolodzy. Jak zwykle, ledwie ktoś wydepta! ścieżkę, wszyscy pędzili nią bez namysłu. Artykuły prasowe rozpełtały nagonkę. Prześcigano się w niedomówieniach, w przypisywaniu innym

nieprawdziwych intencji, w oczernianiu określonych osób, którym dziennikarze zarzucali z jednej strony to, że nie są poważne i wiarygodne, z drugiej zaś to, że ośmieliły się osiągnąć sukces bez ich udziału. „Ostatnia Nadzieja” godziła w biednych jako projekt bogatych. „Ostatnia Nadzieja” irytowała bogatych jako projekt, z którego ich wykluczono. „Ostatnia Nadzieja” nie podobała się lewicy, prawicy, duchowieństwu, ale wkrótce także ateistom, którzy sugerowali, że nadzieja na znalezienie innej planety nadającej się do zamieszkania związana jest z wiarą.

Według sondaży osiemdziesiąt trzy procent ludzkości odnosiło się z wrogością do kontynuacji budowy statku, i to ze sprzecznych powodów. Wiele krajów zaczęło wywierać naciski na rząd, aby położył kres tej „maskaradzie”.

Najpierw myśli, potem słowa, na koniec czyny. Zgromadzenie przegłosowało ustawę zakazującą „ucieczek w kosmos bez pozwolenia”. Jednocześnie wydano oświadczenie, że od tej pory ośrodek „Ostatnia Nadzieja”, podobnie jak rakieta i wszystkie przedmioty znajdujące się na obszarze ośrodka, zostają objęte nacjonalizacją i podlegają ministrowi obrony.

Oddział żandarmerii, składający się z pięciuset ludzi z elitarniej jednostki, wyposażonych w małe opancerzone pojazdy i lekkie czołgi, otrzymał rozkaz przejęcia ośrodka kosmicznego należącego do człowieka, którego większość mediów zdążyła już ochrzcić mianem „szalonego miliardera”.

30. BIAŁY DYM

Temperatura nie przestawała rosnać. Z tego powodu w suchym powietrzu panowała duchota.

Gabriel Mac Namarra polecił swojej ochronie, żeby stawiała opór, jak długo się da, nawet gdyby użyto broni palnej. Prawie połowa strażników porzuciła jednak pracę z chwilą, gdy usłyszeli, że nadciąga pluton żandarmerii.

Druga połowa, nie czując się na siłach, by w pojedynkę stawić czoło uzbrojonemu oddziałowi, czym prędzej poszła w ich ślady. Przemysłowiec patrzył z rezygnacją na opuszczające go zastępy.

– Nie należało się spodziewać cudów po najemnikach. Dobrze zrobiliśmy, nie zabierając na pokład wojskowych.

Yves Kramer pokiwał głową w zamyśleniu.

– Jak można być pewnym, że ma się rację, skoro cały świat wrzeszczy, że się mylisz?

Adrien Weiss udał, że nic nie słyszał, i kontynuował swój raport:

– Mija tydzień, odkąd umieściłem wszystkich sto czterdzieści cztery tysiące ludzi w odosobnieniu, nie mają żadnego dostępu do aktualnych informacji. Nic nie wiedzą o ostatnim drobnym „kłopotcie”. Ale wkrótce zaczną się w końcu czegoś domyślać.

– Co pan proponuje?

– Chociaż nie należymy do wojska, mimo wszystko jesteśmy liczni i zdeterminowani. Być może zdołamy stawić opór. Mam cały arsenał broni, którą schowałem na wypadek jakichkolwiek problemów, i zaraz ją rozdaję.

– To niepotrzebne – wtrącił Yves Kramer. – Te sto czterdzieści cztery tysiące ludzi zostało wybranych właśnie ze względu na brak skłonności do przemocy. Będą z nich bardzo słabi wojownicy.

– Co więc robić? Teraz nie możemy ustąpić.

– Nie walczyć, tylko uciec – ucięła Elisabeth Malory. – Czy nie tak brzmi dewiza projektu? „Ostatnią nadzieją jest ucieczka”?

– Ona ma rację – stwierdził Gabriel Mac Namarra. – Kiedy będziemy gotowi do startu?

Yves Kramer połączył się przez komputer z centralą, po czym przyjrzał się wielu

schematom i szeregom liczb.

– Na upartego, jeśli nie będziemy wszystkiego sprawdzać, jesteśmy gotowi. Możemy startować jutro.

– A kiedy ma przyjść tutaj żandarmeria?

Adrien Weiss wszedł do Internetu, pokonawszy zaś liczne blokady wymagające hasła, dostał się do samego serca centrum decyzyjnego ministerstwa obrony.

– Jutro – oznajmił.

Twórcy projektu „Ostatnia Nadzieja” spojrzeli po sobie, rozumiejąc się bez słów. To było tak, jakby los rzucił im wyzwanie.

– Dobra – powiedział Mac Namarra, zapalając cygaro. – Bądźmy dokładni: kiedy najwcześniej możemy wystartować i o której godzinie oni mają tu być?

Adrien Weiss przejrzał kilka stron internetowych.

– Ze względu na to, że spowalniają ich opancerzone pojazdy, prawdopodobnie będą tu jutro przed południem, około jedenastej.

– A my o której godzinie moglibyśmy wystartować, Yves? Teraz z kolei wynalazca wcisnął kilka klawiszy i sprawdził parę cyfr w komputerze.

– Jutro wieczorem, około dwudziestej.

– Za późno. Głupio by było wszystko zawalić z powodu kilku godzin opóźnienia...

Wynalazca wyłączył komputer i odwrócił się twarzą do pozostałych.

– Dobrze, będziemy pracować całą noc. Musimy wystrzelić *Gwiezdnego Motyla* jutro o świcie.

– Niemożliwe – odparła Caroline Toledano, która nadzorowała prace wykończeniowe nad projektem.

– Albo tak, albo się okaże, że dokonaliśmy tego wszystkiego na próżno – obwieścił Mac Namarra, bezradnie rozkładając ręce.

Wynalazca przygryzł wargę.

– Zgoda – przystał Yves Kramer – wysyłam wszystkich do roboty. I jeszcze jedno... Czy mam im wszystkim zaproponować, żeby wsiedli na statek?

– Oczywiście.

– Tylko że wielu z nich nie spełnia kryteriów dobrego zdrowia, młodego wieku, niezależności, niezazywania leków...

– Niektóre zasady ustala się po to, żeby się do nich ściśle nie stosować. Jeśli tylko odpowiadają kryterium motywacji, to wystarczy za całą resztę.

Porozumiewawcze uśmiechy grupy.

– Co do mnie, zamierzam zaproponować wszystkim trzydziestu dwóm psychologom do spraw rekrutacji, żeby się do nas przyłączyli – dodał Adrien Weiss.

– Jest jeszcze ze dwudziestu wojskowych, którzy zostali – przyznała Caroline Toledano. – Przepuszczalnie z powodu miłości do projektu.

– Z tego wynika, że powinniśmy się wystrzegać szufladkowania, bo wszędzie zdarzają się porządni ludzie... – dokończył Adrien Weiss.

– Jednym słowem: wszystkie osoby, które tam teraz są, mogą wsiadać na statek – uciął niecierpliwie Mac Namarra.

– Nie po to tak długo z nami pracowały, żebyśmy mieli je teraz zostawić na pastwę losu. A poza tym lepiej by było, żeby jak najmniejsza liczba osób mogła udzielić informacji na temat technologii naszego *Gwiezdnego Motyla*. Nie należy pozwolić, żeby próbowali go sabotować na odległość albo wysłali jakiś pojazd, który by nas zaatakował.

Yves Kramer popatrzył na niebo w oddali, zdające się go wzywać. W ciągu najbliższych godzin miał się rozstrzygnąć jego los, a może nawet los całej ludzkości.

Wtem poczuł czyjąś obecność. Rozpoznał zapach, ale się nie odwrócił.

– Teraz wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Nie ma już odwrotu. Albo nam się uda, albo zdechniemy.

– A jeśli zdechniemy?

– Przynajmniej próbowaliśmy... – ucięła Elisabeth Malory.

31. FAZA SUBLIMACJI

Po morderczych upałach niebo przysłoniły ciemne chmury z zachodu. Niespodziewana burza. Błyskawica przecięła horyzont, po czym zadrżała ziemia wraz z budynkami. Temperatura nagle spadła. Zupełnie jakby w ciągu jednej nocy letni skwar ustąpił miejsca lodowatemu prądowi powietrza. Rzadko zdarzają się tak szybkie zmiany klimatyczne.

Wszyscy byli wyczerpani. Mimo to nikt nie wyobrażał sobie powrotu do normalnego życia.

Spełniali marzenie Yves'a Kramera: „Pewnego dnia ludzkość osiedli się gdzie indziej i najlepiej w inny sposób”.

O czwartej rano długa kolejka, licząca sto czterdzieści cztery tysiące ludzi, weszła do gigantycznego statku kosmicznego. Każdy w skafandrze kosmonauty, trzymając w ręku walizkę. Usiedli w przedziale podróżnym i zapięli pasy bezpieczeństwa.

Pioruny ustąpiły miejsca gradowi, który bombardował raketę ze stukotem piłeczek pingpongowych uderzających o pustą rurę.

O szóstej wprowadzono zwierzęta, które miały stanowić część ekosystemu. Począwszy od tych najmniejszych, czyli owadów, a na tych największych, czyli krowach, skończywszy. Następnie wniesiono samochłodzącą się szafę wraz z silnikiem na baterię jądrową. Znajdowały się w niej próbki z zamrożonymi zarodkami zwierząt, które Gabriel Mac Namarra uważał za niezbędne dla odtworzenia na nowej planecie fauny i flory podobnych do tych na Ziemi.

O szóstej trzydzieści napełniono oba zbiorniki-cysterny na powietrze i wodę, które stanowiły dolne piętra cylindra, a także te na paliwo potrzebne do startu.

O szóstej czterdzieści pięć ani w Mieście – Motylu, ani w Mieście – Gąsienicy nie było już nikogo. Cały ośrodek „Ostatnia Nadzieja” opustoszał.

O siódmej grad zamienił się w gęsty deszcz.

– Wygląda na to, że pogoda też się sprzysięgła przeciwko nam. Czy to nie zakłóci startu?
– zapytała Caroline, spoglądając na warstwę czarnych chmur.

– Tak czy inaczej nie mamy wyboru. Będzie to pierwszy start rakiety w deszczu – oświadczył wynalazca.

O siódmej czterdzieści pięć Yves, Gabriel, Elisabeth, Adrien i Caroline, po

przeprowadzeniu ostatniej kontroli, weszli na najwyższą kładkę, tę łączącą wysoką ruchomą wieżę centrum kontroli z prawym okiem na głowie *Gwiezdnego Motyla*.

O ósmej wszystkie trzydzieści silników zaczęło się rozgrzewać, Elisabeth zaś przystąpiła do wstecznego odliczania od stu pięćdziesięciu.

Kiedy na ekranie pojawiła się liczba sto trzydzieści, obraz z kamer zewnętrznych połączonych z wnętrzem kokpitu pokazał, że pluton żandarmerii przybył znacznie wcześniej, niż przewidywali.

– Trzeba natychmiast startować – westchnął Gabriel Mac Namarra. – Odłączcie kładkę.

Nagle Yves odpiął pas bezpieczeństwa i wstał na oczach zdumionych towarzyszy podróży.

– Zapomniałem o czymś! – zawołał.

– Za późno! – rzucił Adrien, łapiąc go za ramię.

Yves wyswobodził się jednym szorstkim ruchem.

– Nie, nie polecę bez niego.

Wynalazca już zdążył otworzyć drzwi i zbiegł po kładce. Przemysłowiec nie wierzył własnym oczom.

– Zaraz wszystko schrzani!

– Pomogę mu! – oświadczyła Elisabeth, odpinając swój pas. – Nie przerywajcie wstecznego odliczania, zaraz wracamy. Domyślam się, czego on szuka, i tylko ja wiem, gdzie to jest.

Tymczasem w centrum kontroli Yves Kramer szukał Domina w miejscu, w którym widział go po raz ostatni.

Burza zatrzęsała ośrodkiem. Niebo za oknami było tak ciemne, jakby zapadła głęboka noc. Woda ściekała po szybach.

– Schował się pod zlewem – zawołała z daleka Elisabeth. – Zauważyłam, że często to robi.

Rzeczywiście do uszu wynalazcy dotarło ciche miauknięcie dobiegające z okolicy rury odpływowej pod komorą zlewozmywaka. Yves chciał schwytać kota, ten jednak, uznawszy to za sygnał do zabawy, pacnął go pazurami w dłoń, wyskoczył i zaczął pędzić radośnie po pokoju.

– Nie, Domino! Nie teraz! Wracaj!

Z daleka słychać było syreny pojazdów żandarmerii, które sforsowały bramę i wtargnęły

na teren ośrodka „Ostatnia Nadzieja”.

Kociak ukrył się pod jednym z biurek.

– Niech pan da spokój! – zaklinała Elisabeth. – Trudno.

– To nasza maskotka na szczęście, sama pani tak powiedziała!

– Domino! Domino! – zawołała niczym echo Elisabeth, która nagle pożałowała, że zrobiła mu taki prezent.

Spostrzegłszy pędzącego czarno-białego kotka, próbowała go dogonić, potknęła się jednak i upadła.

Yves Kramer rzucił się, żeby pomóc jej się podnieść. Tymczasem hasający w oddali kociak przybierał pozy świadczące o tym, że zrozumiał, że oni przyszli tu specjalnie po to, by się z nim bawić, i że to się dobrze składa, bo jest w wyśmienitym humorze. Słodkim miauknięciem zachęcił ich do dalszej gonitwy.

– Musimy zostawić tego kota, trudno! – wrzasnęła żeglarka. – Tylko w filmach koty są ratowane w ostatniej chwili.

„Tylko w filmach są inteligentne koty” – pomyślała.

– Nie zostawię go!

– Czasem trzeba umieć się odciąć od przeszłości bez względu na to, jak bardzo jest się do niej przywiązany, żeby iść ku przyszłości!

– I właśnie pani to mówi?

Warkot silników, ludzkie głosy i tupot nóg stawały się coraz wyraźniejsze.

– Wracajmy, błagam pana! A poza tym... przesady... przynoszą pecha!

Skrzywiła się z bólu szarpiącego jej nogę. Wziął ją pod ramię, po czym puścili się biegiem, gdy tymczasem odgłosy inwazji żandarmerii zbliżały się coraz bardziej.

– Tędy! – krzyknął czyjś głos przez megafon.

Yves Kramer przewrócił po drodze monitor, który roztrzaskał się z hukiem. Natychmiast też dały się słyszeć głosy:

– Tam są! Szybko!

Żandarmi byli tuż za nimi.

Yves i Elisabeth z trudem posuwali się ku kładce.

Kot, który nie pojmował, dlaczego najpierw zachęcali go do zabawy, a potem porzucili, ruszył radośnie za nimi, gotów dać susa w przeciwnym kierunku, gdyby tylko usiłowali go

schwytąć.

Kiedy wreszcie dotarli do kładki, zdołali dostrzec małe sylwetki żandarmów depczące im po piętach, a wśród nich kotka Domino.

Deszcz uderzający o plastikowo-metalowy pokład robił hałas, do którego dochodził rozdzierający łoskot burzy. Kot zaczął miauczeć.

– Nie powinnam była dawać panu tego kota!

Elisabeth rzuciła się do wnętrza rakiety, za nią zaś Yves.

– Stać, bo strzelał! – zawołał z daleka jakiś głos spośród sylwetek w mundurach.

Yves zdążył wcisnąć guzik zamykający śluzę, ponieważ jednak nie działał, musiał uruchomić dźwignię ręcznie. Truchtający po kładce kot przyglądał się jego wysiłkom, widząc zaś, że śluza się powoli zamyka, zaczął się zastanawiać: z kim by tu się lepiej pobawić? Z nieznanymi ludźmi, którzy właśnie biegli, czy z tymi, których już znał?

Dopuściwszy do głosu jedynie własny instynkt, przyznał pierwszeństwo tym, którzy nieraz napełniali mu już miskę chrupkami.

W samą porę – kot wskoczył tuż przed zamknięciem drzwi. Zablockowawszy zamki, Yves uruchomił mechanizm odczepiający kładkę.

Prześladowcy, którzy zdążyli już na nią wejść, nie mieli innego wyjścia, jak się wycofać.

Kładka została odczepiona, odcinając całkowicie raketę od centrum kontroli.

Tymczasem mężczyźni w mundurach otoczyli *Gwiazdnego Motyla*, jeden z oficerów zaczął zaś ostrzegać przez megafon.

– Wychodzić. Jesteście otoczeni!

W kabinie pilotażu umieszczonej na czubku rakiety Yves, Elisabeth, Adrien, Mac Namarra i Caroline oglądali transmitowany przez kamery obraz tego, co działo się na zewnątrz. Lufy czołgów i karabinów maszynowych w opancerzonych pojazdach były wycelowane prosto w nich.

– Będziemy strzelać!

– Nie ośmiela się – odrzekł Gabriel Mac Namarra. – Jeśli strzelą, wszystko może wybuchnąć. Żaden rząd nie wzięłby na siebie ryzyka, żeby mieć na sumieniu śmierć stu czterdziestu czterech tysięcy nieuzbrojonych osób. Nie przerywajmy.

Yves Kramer chwycił kota, który ruszył właśnie w kierunku kokpitu, i włożył go sobie pod skafander, gdzie malec zwinął się w ciepłą miauczącą kulkę.

Na sufitowym ekranie toczyło się wsteczne odliczanie. Sześćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt cztery, sześćdziesiąt trzy.

– Ośmielą się! – mruknął Adrien. – Zawieść to jedna z najpotężniejszych sił napędowych ludzkości. Oni nie chcą, żeby nam się udało. Wolą, żebyśmy wszyscy zdechli, niż żeby garstka ludzi uciekła.

Wsteczne odliczanie doszło właśnie do czterdziestu dziewięciu, czterdziestu ośmiu, czterdziestu siedmiu. Oficer powtórzył swoją groźbę przez megafon:

– Będziemy strzelać!

– Blefują. Nie ustąpimy – uciął Mac Namarra.

Wsteczne odliczanie doszło właśnie do trzydziestu pięciu, trzydziestu czterech, trzydziestu trzech, żołnierze zaś ustawili się tak, by mieć jak najlepszy kąt strzału.

– Będą strzelać – powtórzyła Elisabeth. – Musieli dostać takie rozkazy.

– Nie – odparła Caroline Toledano – teraz wszystko zależy od psychologii jednego człowieka, tego oficera, który wydaje się nad wszystkim panować i który do nas mówi.

– Będziemy strzelać – obwieścił żandarm.

Yves Kramer uświadomił sobie, że Caroline ma rację: ten człowiek jest rozdarty między posłuszeństwem wobec przełożonych a strachem przed odpowiedzialnością za masakrę. Rozdarty między poczuciem obowiązku a własnym sumieniem. Piętnaście, czternaście, trzynaście, dwanaście...

Deszcz przybrał na sile.

Sto czterdzieści cztery tysiące pasażerów zaniepokojonych dochodzącymi zewsząd odgłosami czekało w strefie podróźnej. Piątka w kokpicie zaciskała zęby. Trzy, dwa, jeden, zero. Dysze wypuściły dym i nagle zamilkły.

– Cholera! – zaklął Yves. – To nie pora na awarię silników!

– Co się dzieje? – zapytał Adrien.

Yves Kramer, który zdążył już się poderwać z fotela, spoglądał na monitory.

Tymczasem na zewnątrz żandarmi, zorientowawszy się, że rakieta nie zdoła wystartować, robili zupełnie co innego. Przyciągnęli wysoki dźwig, który podniósł do góry grupę mężczyzn w mundurach. Kiedy ci znaleźli się na poziomie jednej z dolnych śluz, zabrali się do przecinania metalowych drzwi palnikiem. Obok zaś wyposażony w potężny młot żołnierz walił w zawiasy.

Huk rozległ się w całym statku.

Widok tego człowieka, który za pomocą zwykłego młota mógł zniszczyć cały projekt, miał w sobie coś śmiesznego. Przypominał on miniaturowego dzięcioła stukającego w baobab.

– Zaraz otoczmy pojazd! Otwierajcie w imię prawa albo wejdziemy siłą! – zawołał oficer, ożywiony z powodu znalezienia pośredniego rozwiązania, które nie zmuszało go do strzelania.

– Na litość boską, Yves, niechże pan coś zrobi! – rozzłościł się Mac Namarra, który nie panował już nad swoim gniewem.

– Wszystko zostało zablokowane przez system chłodzenia. Z powodu temperatury na zewnątrz – wyjaśnił wreszcie wynalazca, sprawdzivszy kilka wskaźników. – Jest za zimno. Noc była zbyt chłodna. Paliwo zamarzło w przewodach. Jesteśmy uzależnieni od pogody. Jeżeli się trochę ociepli, być może mechanizm zdoła się odblokować.

Rozległo się walenie młotem. Na monitorach kontrolnych było widać dolną część rakiety oświetloną przez płomień palnika.

– W tej sytuacji – powiedziała Caroline – zastanawiam się, czy nie byłoby najlepiej... się pomodlić.

Złożyła dłonie i zamknęła oczy.

– Nie – odparł Adrien, zagorzały ateista. – Zaufajmy przeznaczeniu.

Yves walczył z dźwigniami, śledząc jednym okiem poziom temperatury na zewnątrz i w silnikach.

Gabriel Mac Namarra w końcu również zamknął oczy i zaczął odmawiać szeptem modlitwę.

– Jeśli jest ktoś, kto mnie słyszy na górze, mój anioł stróż albo Bóg, pragnę mu przypomnieć, że nigdy o nic nie prosiłem. Nigdy nie wygrałem w totolotka ani w gry hazardowe, zawsze dostawałem mandaty za złe parkowanie, zawsze łapałem wszystkie choroby, które krążyły w powietrzu, i nigdy nie spotkałem wielkiej miłości. Dobra, w takim razie może podliczyć wszystkie moje zniżki, a ja je zgarnę.

Elisabeth śledziła z niepokojem monitory kontroli zewnętrznej, gdzie było widać żandarmów, którzy przyprowadzili właśnie kolejny dźwig, aby przebić drzwi do zbiornika paliwa znajdujące się w odwłoku *Gwiezdnego Motyla*.

„Gąsienico, zmień się, przeobraź się w motyla”.

– Jeśli użyją palników, wszystko może wybuchnąć – ostrzegł Yves, jakby chciał

odpowiedzieć na pytanie, którego nie ośmieliła się zadać.

– Na co czeka słońce, żeby wzejść i ogrzać to wszystko?! Słońce, wstawaj! – zawołała żeglarka. – Proszę cię, Słońce, już czas, wychyl się zza horyzontu i przybądź nam z pomocą!

– Przewody ciągle są zatkane – oznajmił nerwowo Yves.

W jego głosie słyhać już było coś jakby rezygnację.

Wrócił na swój fotel i zapiął pas.

– To już nie ode mnie zależy – przyznał.

W tej samej chwili spod skafandra wyskoczył mu kot i zaczął spacerować po klawiaturze kontrolnej. Wynalazca nie zdążył go powstrzymać – zwierzak nacisnął kilkanaście klawiszy.

Jeden z cyferblatów zmienił kolor i nagle wskazówka temperatury silników zaczęła piąć się w górę.

– Ten kot coś odblokował! – wrzasnęła Caroline.

– A niech to – powiedział po prostu wynalazca – zapomniałem o tym! Pewien młody inżynier dorzucił mi ten guzik w zeszłym tygodniu. To automatyczne włączanie pompy właśnie na wypadek mrozu.

Elisabeth nie wierzyła własnym uszom.

Yves ją natychmiast gorączkowo naciskać rozmaite guziki.

– Zaczniemy ponownie wsteczne odliczanie – poleciał.

– Zaczynamy od stu? – zapytał Adrien obserwując na ekranie postępy żandarmów.

– Nie. Teraz już nie. Spróbujmy wystartować natychmiast. Od dziesięciu.

– Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć...

Dysze zaczęły dymić.

Pojąwszy, że rakieta ponowiła próbę, żandarmi biegiem uciekli.

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

– Zero!

Statek uniósł się powoli ponad strefę wyrzutu.

„Motylu, rozłóż skrzydła i leć ku światłu”.

Statek cały czas się unosił, poszerzając strefę, w której dysze wyrzucały płomienie. Żandarmi nie zdążyli się wycofać dostatecznie szybko. Wkrótce wszyscy zostali zamienieni w popiół przez olbrzymią raketę, którą usiłowali przedziurawić.

Ogromne drgania z powodu startu wstrząsnęły ścianami i fotelami. Wszyscy pasażerowie

uczępili się lęklonie poręczy foteli. Drgania utrzymywały się jeszcze przez kilkadziesiąt minut, po czym ustały.

Gwiezdny Motyl oderwał się od ziemi.

Sto czterdzieści cztery tysiące pasażerów w strefie podróźnej trzęsło się ze strachu.

Wtedy to właśnie Gabriel Mac Namarra, otarłszy czoło lśniące od potu wywołanego lękiem, wypowiedział historyczne zdanie:

– W porządku, gotowe.

II

WIOSKA W KOSMOSIE

32. FAZA DESTYLACJI

Po podmuchu odrzutu przyszła kolej na wzlot w całym tego słowa znaczeniu.

Gigantyczny statek kosmiczny wznosił się w powietrze, ciężko dysząc. Tylne reaktory wyrzucały z siebie strumienie ognia, od których drżało powietrze i wszystko wokół.

Pierwszy człon odpadł, gdy rakieta przekroczyła połowę grubości atmosfery.

Olbrzymia, wypełniona istotami ludzkimi wieża nadal wznosiła się, przecinając warstwy powietrza z ogłuszającym rykiem.

Drugi człon odwłoka oddzielił się wraz z dotarciem do górnej warstwy atmosfery.

Ponieważ oba człony zostały uszkodzone przez palniki żandarmów, Yves Kramer poczuł ogromną ulgę, stwierdziwszy, że wytrzymały ciśnienie.

Teraz *Gwiazdny Motyl* nie miał już odwłoka. Jedynie wielki kadłub i małą głowę.

Pęd powietrza chłostał kuliste prawe oko, gdzie cała piątka trwała na stanowiskach przy pulpitych i ekranach kontrolnych.

Wreszcie statek zwolnił i znieruchomiał na orbicie okołoziemskiej.

Przez bulaje sto czterdzieści cztery tysiące pasażerów siedzących w strefie dla podróżnych widziało swoją rodzinną planetę jako wielką niebieskawą kulę pokrytą plamkami chmur, postrzępionych w zwoje i spirale. Tam, skąd wyruszyli, białe migoczące punkciki oznaczały burze.

– Teraz moja kolej – oświadczyła Elisabeth, odpinając pas.

W pojeździe nie było już grawitacji, toteż natychmiast popłynęła w kierunku kokpitowego sufitu.

Znalazłszy podparcie, ruszyła ku śluzie łączącej prawe oko z lewym. Usadowiła się. Olbrzymi żagiel z mylaru o powierzchni miliona kilometrów kwadratowych był cieniutkiej jak jedna dziesiąta włosa, mimo to jego rozwinięcie okazało się bardzo skomplikowane, poza tym istniało spore niebezpieczeństwo, że się podrze.

W lewym oku znajdowało się obszerne kuliste pomieszczenie ze skórzanym fotelem stojącym naprzeciwko wielkiej szklanej ściany. Umieszczony przed fotelem pulpit i ster z delikatnie rzeźbionego drewna nadawały temu ultranowoczesnemu statkowi staromodny charakter.

To Caroline Toledano uparła się, żeby strefę pilotażu żagli urządzić w starym stylu. Miedziane fotometry wyposażone były we wskazówki, a nie w ciekłokrystaliczne ekrany. Caroline kazała nawet powiesić dwie szerokie zasłony z purpurowego aksamitu wokół całej szklanej ściany, która służyła jako przednia szyba statku.

Elisabeth zaczęła się krzątać nad tablicą rozdzielczą, naciskając rozmaite guziki. Jej ciało pływało w stanie nieważkości, nie wywierając nacisku na bolące miejsca.

Wiedząc, że manewr rozwijania żagli potrwa wiele godzin, Adrien Weiss również odpiął pas, wstał z fotela i opuścił pomieszczenie.

– Idę włączyć „pralkę” – oznajmił, otwierając drzwi prowadzące na niższą część statku.

Uniósłszy się nad fotelem, Yves Kramer, który także się uwolnił, odpowiednio sterując własnym ciałem, wydostał się z prawego oka, aby dołączyć do Elisabeth w lewym oku *Gwiezdnego Motyla*.

Znalazłszy się obok zaafowanej żeglarki, rozpiął skafander i wypuścił kotka, który nie mógł się nadziwić, że łapy nie przywierają mu wcale do podłogi.

Mała włochata kulka obracała się pod sufitem, bijąc powietrze i wydając – z początku pełne przerażenia, później zdumienia, na koniec zaś rozbawienia – miauknięcia.

– Nie powinnam była panu dawać tego kota! – powiedziała Elisabeth, nie odrywając wzroku od aparatury sterującej.

– To on umożliwił nam start.

Wynalazca zakreślił Dominem, po czym zbliżył się do niej.

– Opuszczając statek, o mało pan wszystkiego nie zepsuł. Żandarmi mogli przecież pana zabić!

– Marnie strzelali.

Nacisnęła kilka przycisków i spojrzała na ekrany.

– Baterie przechwytyjące energię z ekranów słonecznych właśnie się ładują. Kiedy będą gotowe, włączymy małe silniczki elektryczne do rozwijania żagli. Pozostaje nam tylko czekać.

Oboje zajęli pozycje przed szklaną ścianą.

– Ładnie wyglądają te czerwone aksamitne zasłony – przyznał Yves. – Człowiek czuje się jak w kinie.

– Uwielbiam ten ster z rzeźbionego drewna.

Doskonale wiedziała, że sam wybrał umieszczony na nim motyw.

Dotknęła złotej tabliczki pośrodku koła sterowego, na której był wryty motyl, wokół niego zaś trzy gwiazdki, a u góry motto projektu:

OSTATNIĄ NADZIEJĄ JEST UCIECZKA.

Yves'owi przypadło do gustu umeblowanie. Zielona wykładzina przypominająca trawnik, pulpity także z rzeźbionego drewna, miedziane cyferblaty, kolejne trzy fotele wyściełane czerwoną skórą. Caroline w swojej dbałości o szczegóły nie zapomniała nawet o roślinach.

– To są palmy, a tamte to bambusy – powiedziała żeglarka, potrząsając długą czupryną rudych włosów.

– To pierwsza rakietka umeblowana i urządzona przez kobietę – przyznał inżynier.

Yves Kramer skierował się ku pulpitemi kontrolnemu. Każdy z ekranów był obramowany rzeźbionym i pozłacanym drewnem w starym stylu. Caroline posunęła się nawet do tego, że na każdym urządzeniu kazała umieścić ich logo: błękitno-srebrnego motyla otoczonego trzema gwiazdkami.

– To prawda, w kilkutygodniowych podróży dekoracje nie mają specjalnego znaczenia, ale jeśli mowa o całych wiekach, wtedy już zaczynają być ważne – stwierdziła żeglarka.

– To zmiana po kokpitach w stylu techno, z pulpitemi i zielonymi ekranami jak te w prawym oku.

– Zupełnie jak z ludzkim mózgiem: jest półkula poetycka i półkula matematyczna, analogowa i cyfrowa, marzycielska i techniczna.

Wpatrywali się w Ziemię zafascynowani.

Yves włączył muzykę klasyczną, jakąś głośną i majestatyczną symfonię wznoszącą się falami.

Nagle po policzku żeglarki popłynęła łza. Po chwili zmieniła się w lśniącą perłę.

Otarła ją jednym ruchem dłoni.

– Co się stało? – zapytał Yves.

– To... – powiedziała wzdychając głęboko. – To tam, gdzie mieszkaliśmy.

– To było nasze więzienie, z którego się wyswobodziliśmy.

– To była nasza kolebka.

– Kiedy dziecko dorasta, opuszcza gniazdo – odparł powściągliwie Yves. – Nasz gatunek spędził tam dzieciństwo, a teraz *musimy* stać się dorośli. Tak czy inaczej, gdyby nam się nie

powiodło, spróbowaliby tego inni, a po nich następni, aż wreszcie komuś by się udało.

– Zdaje się, że ciągle jeszcze do mnie nie dotarło, czego właśnie dokonaliśmy. Odpowiednia grawitacja, odpowiednie światło, odpowiednie powietrze. W gruncie rzeczy dobrze nam było na Ziemi – przyznała.

– Porzucenie świata znanego dla nieznanego to logiczny proces ewolucji.

Wynalazca poprawił okulary.

– Wyobraża pan sobie pierwszą rybę, która wyszła z wody, żeby pęłzać po lądzie? To musiały być straszne emocje. Ledwie wyszła z wody, na pewno chciała tam wrócić. Zresztą wiele z nich to zrobiło – oznajmiła.

– A mała część przystosowała się do tego nowego, zaskakującego środowiska.

– Jak pan sądzi, które z nich?

– Te niezadowolone. Te, które nie czuły się dobrze w wodzie. Żyjąc w komforcie, nie mamy żadnych powodów, żeby chcieć to zmienić. Tylko cierpienie nas budzi i skłania do tego, żeby przewrócić wszystko do góry nogami.

Patetyczna muzyka wypełniała całą kabinę pilota.

– Myślę, że możemy ewoluować, nie cierpiąc – powiedziała.

– Mam nadzieję, ale jeśli się przyjrzymy dziejom ludzkości, stwierdzimy, że zawsze towarzyszyło jej cierpienie... To przyzwyczajenie.

– Można zmienić przyzwyczajenia.

– Miło jest w to wierzyć.

Zabrała się do naciskania rozmaitych przycisków i sprawdzania ustawień, gdy tymczasem Yves wpatrywał się w Słońce, które zachodziło bez końca.

Wtem dołączył do nich Gabriel Mac Namarra, który unosił się na plecach z rękami na brzuchu, odpychając się nogami, jakby pęłnął.

– Być może udało nam się popełnić potworne głupstwo! – oświadczył z szerokim uśmiechem.

Po czym wybuchnął swoim gromkim śmiechem, który przynajmniej raz nie zakończył się kaszlem. Następnie dodał, jakby rozmawiał sam ze sobą:

– Dowiemy się tego, tylko jeśli wytrwamy. Tak czy inaczej, wszyscy kiedyś zdechniemy, zdobądźmy więc przynajmniej jakieś niezwykle doświadczenia.

Wyciągnął spod skafandra piersiówkę.

– Wiem, że to zabronione. Ale ten alkohol produkują moi przyjaciele, a poza tym po tych wszystkich emocjach, które dotąd przeżyliśmy, możemy się chyba trochę odprężyć.

On również nie mógł się powstrzymać, żeby nie zakręcić unoszącym się w przestrzeni kotem, który tym razem jednak sposobem miauczenia dał do zrozumienia, że jeśli tak dalej pójdzie, podrapie każdego, kto go tylko dotknie. Wówczas przemysłowiec wpadł na pomysł, żeby wypuścić w powietrze kroplę alkoholu, która utworzyła małą, przezroczystą, pomarańczową kulkę.

Zaintrygowany kot zaczął się szamotać, by jej dosięgnąć. Ledwie ją jednak pacnął, alkoholowa kulka rozprysła się na wiele drżących cząsteczek, wprawiając w ogromny zachwyty zwierzaka, który właśnie odkrył nową zabawę.

– Wolę poczekać, aż żagiel się rozwinie, a cylinder zacznie obracać – odrzekł Yves, wskazując butelkę. – Nie lubię świętować zwycięstwa przed zakończeniem bitwy.

Elisabeth i Gabriel zawahali się, przypomniawszy sobie jednak, że to Yves był inicjatorem projektu, nie chcieli mu się sprzeciwiać.

Przemysłowiec kręcił z rozbawieniem kotem, który uganiał się teraz za kroplami alkoholu jak za zdobyczami.

– Zastanawiam się, czy ten kot nie jest kompletnym idiotą – oznajmiła żeglarka.

Stwierdziwszy, że baterie słoneczne są całkowicie naładowane, Elisabeth włączyła silniki rozwijające żagle i ustawiła je na minimalną moc.

Na ekranach wideo kontrolujących to, co się działo na zewnątrz, mogli zobaczyć, jak lewy żagiel zaczyna się rozprostowywać niczym cienka srebrna chustka wydobywająca się z dłoni magika.

33. TRZECI KOCIOŁ: ALEMBIK

Rytmiczna muzyka. Ostre światła. Szelest pomiętych skafandrów.

Wydawszy polecenie, żeby sto czterdzieści cztery tysiące ludzi ze strefy podróźnej odpięło pasy, Adrien Weiss kazał im się ustawić w szeregu, w dziesięcioosobowych grupach, tak jak ich nauczono, i czekać.

Caroline uruchomiła mechanizm wyciągania wszystkich trzydziestu dwóch cylindrów.

Statek rozsunął się niczym składana luneta. Za każdym razem gdy kilometrowy segment dojeżdżał do końca, rozlegał się suchy szcęk, oznaczający, że nastąpiło zatrzaśnięcie.

Sto czterdzieści cztery tysiące pasażerów czekało przed drzwiami prowadzącymi do cylindra.

Wszyscy czuli lęk przed odkryciem nowego miejsca do życia.

Wreszcie drzwi się otworzyły, odsłaniając cylinder długości trzydziestu dwóch kilometrów i pięciuset metrów średnicy.

Chwilowo jego koniec spowijały ciemności.

Tuż za progiem rozciągał się obszerny, wyłożony marmurem taras. Był umieszczony pośrodku pierwszego cylindra niczym grzęda. Prowadziły doń podwójne schody: jedne z góry, drugie z dołu. Tu także, aby uzyskać efekt stylu retro, Caroline uparła się, żeby zdobiły go cztery posągi podtrzymujących go olbrzymów.

Kiedy sto czterdzieści cztery tysiące pasażerów weszło do środka, rozdzielili się, tworząc coś na kształt chmar owadów unoszących się najpierw ponad marmurowym tarasem, potem wokół niego.

Podczas gdy Elisabeth pozostała w lewym oku, aby przypilnować stopniowego rozwijania pierwszego żagla *Gwiezdnego Motyla*, Yves, Gabriel i Caroline dołączyli do Adriena.

W ślad za nimi podążył Domino prowadzony na sznurku, który pełnił funkcję zaimprovizowanej smyczy. Kociak, którego futro było miejscami mokre od alkoholu, unosił się nad nimi niczym balon.

Z głośników na tarasie płynęła muzyka klasyczna. Na dany znak Adrien zaczął przebierać palcami po klawiaturze laptopa.

Włączył lampy jarzeniowe, które miały służyć jako sztuczne słońce.

Lampy zapalały się segmentami, odsłaniając wnętrze cylindra tak daleko, jak tylko sięgał wzrok. Poza bezkresem to, co ujrzeli, nie miało w sobie jednak nic nadzwyczajnego. Ściany pierwszego z trzydziestu dwóch cylindrów pokrywały płyty z białego plastiku, które z kolei były przymocowane linami, mającymi za zadanie przytrzymać ziemię i rośliny na czas startu. Pozostałe segmenty były nagie – po prostu zwykłe metalowe cylindry.

Adrien uruchomił sztuczną grawitację. Wszystkie ściany zaczęły drżeć, jakby pod wpływem wichury i burzy.

Kiedy przebiegł palcami po klawiaturze, ściany się poruszyły – dało się wyraźnie odróżnić ruch okrężny.

Pasażerowie poczuli grawitację, która zaczęła się tworzyć w kadłubie *Gwiezdnego Motyla*.

Im bardziej się obracali, tym mocniej przyciągały ich okrągłe ściany.

Adrien śledził na ekranie laptopa wzrost sztucznej grawitacji.

Powinni osiągnąć 1G, czyli grawitację zbliżoną do ziemskiej, inaczej ludzie, zwierzęta i rośliny będą pływać w cylindrze niczym ryby w akwarium.

Wskaźnik grawitacji zaczął rosnąć: 0,08G, następnie 0,13G. Kiedy dotarł do 0,38G, nagle przyspieszył do 0,54G.

Przy 0,81G sto czterdzieści cztery tysiące pasażerów położyło się na ścianach jak suche liście opadające na ziemię. Mimo to wpatrzony w ekran laptopa psychobiolog uświadomił sobie, że zaraz będą mieli problem. Otóż za sprawą bezwładności cylinder obracał się coraz szybciej. 1,23G. Kilka osób, które stały, przewróciło się i wylądowało na czworakach. 1,52G. Wszyscy poprzewracali się na brzuch. 1,73G. Wszyscy przyłgnęli do plastikowych płyt albo rozplaszczyli się na przezroczystych ścianach.

Adrien podniósł się z trudem i zaczął wciskać klawisze, aby zwolnić ruch, ale cylinder był zbyt ciężki, żeby mógł zareagować od razu. Grawitacja przestała rosnąć i ustabilizowała się na poziomie 2,12G, uniemożliwiając wszystkim powstanie.

Adrien ponownie zmienił ustawienia i grawitacja zaczęła wreszcie się obniżać. Zrozumiał, że należy to robić o wiele wcześniej, nim osiągnie się właściwą grawitację, zwolnił obroty silnika. Udało mu się w końcu uzyskać 0,91G, co było dla niego wielkością do przyjęcia – nie chciał ponownie unieruchomić silnika i przekroczyć 1G z obawy, że zniszczy cały mechanizm.

- Przy tej wielkości będziemy ociupinkę lżejsi niż na Ziemi, tylko tyle – oświadczył.
- Za to rośliny będą wyżej rosły, nie? – zapytała z zainteresowaniem Caroline.
- Tak, a zwierzęta będą się szybciej przemieszczać. Ale różnica jest minimalna.

Najważniejsze, że „pralka” działa.

– Nie – rzekł Yves. – Musimy dojść dokładnie do jednego.

– Dlaczego?

– Z powodu jeziora. Jeśli zamierzamy je napęlić, woda nie może się przelewać.

Wobec tego zrywami, przechodząc od 0,91 do 1,12, następnie od 0,98 do 1,02, Adrienowi udało się w końcu odtworzyć idealną grawitację wynoszącą 1,01G.

– Przy nadwyżce jednej setnej woda nie wystąpi z jeziora. W porządku. Tylko że... trochę później przy takim ciśnieniu ludzie będą się pewnie rodzić mniej.

Udało im się tak doskonale odtworzyć grawitację, że nawet nie czuli, iż się obracają. Z tego, że statek się kręci, zdawali sobie sprawę dopiero wtedy, gdy spoglądali na światła gwiazd prześlizgujące się po oszklonych okrągłych ścianach. Pasażerów bawiło chodzenie po plastikowych płytach, mogli bowiem patrzeć bez końca, jak to, co było najpierw na dole, po chwili jest na górze.

Nigdy jeszcze pojęcie względności w przestrzeni kosmicznej nie nabrało tak głębokiego sensu. Bez względu na to, gdzie się znajdowali, pasażerowie mieli wrażenie, że gdy zjeżdżają „w dół”, ci, którzy przebywali ponad ich głowami, są na „górze”. Wszyscy napawali się widokiem małych ludzików poruszających się na wspak, niczym mrówki w wiadrze z proszkiem do prania.

– W porządku, to też jest gotowe – powiedział z zachwytem miliarder.

Tylko kot wyglądał na zawiedzionego, że nie może już robić piruetów w powietrzu. Turlał się, miaucząc, po podłodze.

Teraz, gdy poruszali się przy niemal normalnej grawitacji, Adrien Weiss podszedł do jednego z pulpitów na przedzie tarasu i przemówił do mikrofonu.

– Faza pierwsza: oświetlanie, zakończona. Faza druga: grawitacja, odtworzona. Możemy przejść do fazy trzeciej: zmiany dekoracji.

Zgodnie z tym, do czego się przygotowali w Mieście – Gąsienicy, sto czterdzieści cztery tysiące pasażerów ustawiło się w kolejce z przodu cylindra i zabrało się do odczepiania lin podtrzymujących płyty.

Wówczas oczom oczarowanego Yves’a i jego przyjaciół ukazały się sztuczne dekoracje

pierwszego segmentu: wzgórze, las, koryto rzeki, szeroka równina i rzecz jasna, niecka, która miała pomieścić jezioro. Caroline szczególnie zadbała o wystrój wnętrza. Skorzystała z pomocy ogrodników, geografa i specja od dekoracji filmowych.

Adrien nie skonstruował żadnego domu, uznał bowiem, że własnoręczne zbudowanie w kosmosie miasta, w którym będą mieszkać, to dobre zajęcie dla stu czterdziestu czterech tysięcy pasażerów. Na końcu cylindra, w części najbardziej oddalonej od tarasu, znajdowało się zatem coś w rodzaju ziemi niczyjej, na której zgromadzono materiały budowlane: drewniane lub aluminiowe belki, cementowe lub betonowe sięgacze, szklane ściany, cegły, a nawet elementy zdobnicze: obrazy, tkaniny i wykładziny, rzeźby, meble.

Kiedy wszystkie płyty w pierwszym segmencie zostały zdjęte (co zajęło o wiele mniej czasu, niż to było przewidziane, gdyż nie mogli się doczekać, by zobaczyć nowe miejsce, w którym mieli mieszkać), Yves Kramer, uległszy naciskom Mac Namarry, obwieścił, że zaraz wygłosi przemówienie inauguracyjne.

Wszyscy zebrali się w dolnej części tarasu. Ustawiono mikrofony i wyregulowano nagłośnienie. Wreszcie wszyscy umilkli w oczekiwaniu na pierwsze historyczne słowa twórcy projektu „Ostatnia Nadzieja”.

Yves Kramer przełknął ślinę, po czym rzekł:

– Jako naukowiec nie jestem zbyt dobry w wygłaszaniu mów, ale ze względu na tę wyjątkową chwilę zrobię co w mojej mocy. Przede wszystkim dziękuję za to, że jesteście tu i teraz.

Wziąwszy pod uwagę okoliczności i trudne doświadczenia, które przywiodły ich aż tutaj, zdanie to, przypominające nieco okrzyki gwiazd rocka podczas koncertów, zabrzmiało tak komicznie, że wśród tłumu zaczęły się rozlegać nerwowe śmieszki. Były one zaraźliwe. Wkrótce sto czterdzieści cztery tysiące ludzi wybuchnęło chóralnym śmiechem, dając upust całemu zgromadzonemu napięciu.

Zbity z tropu Yves Kramer przez chwilę pomyślał, że z niego kpią, po czym nie bardzo wiedząc, co począć, postanowił również się roześmiać.

– Wystartowaliśmy! Wszyscy uważali, że to niemożliwe, a jednak to zrobiliśmy. Do licha, zrobiliśmy to!

Podniósł pięść.

W tej samej chwili ze stu czterdziestu czterech tysięcy piersi wznosił się potężny okrzyk.

– Tak, wspólnie, mimo strachu, wbrew powszechnej opinii, zrobiliśmy to! Pragnę szczególnie podziękować jednemu człowiekowi, który wspierał nas od samego początku: Gabrielowi Mac Namarrze.

Gromkie oklaski. Kramer oddał mikrofon przyjacielowi.

– Cóż – zaczął przemysłowiec – mogę się wam do tego przyznać: zrobiłem to przede wszystkim... dla zabawy.

Śmiech tłumu.

– Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że nie jesteśmy tu po to, żeby się nudzić, proponuję więc urządzić jeszcze dziś wieczorem małe przyjęcie, aby to uczcić. Wbrew opinii Adriena przemyciłem po cichu kilka butelek alkoholu. A zatem dziś wieczorem w cylindrze jest impreza. Trudno, Adrienie, na tym statku będą starcy, ja, chorzy, a niedługo także alkoholicy.

Kolejne brawa.

– Pragnę przypomnieć, na wypadek gdyby dla niektórych to nie było jasne: nie ma już odwrotu. Wszyscy tutaj umrzemy. Po to, żeby nasi potomkowie mogli rozpocząć wszystko od zera gdzie indziej, jeśli wszystko pójdzie dobrze, na czystej planecie, niezatrutej z powodu ludzkiej bez troski.

Tym razem owacje były nieco cichsze.

– Tutaj, w *Gwiezdnym Motylu*, budujemy właśnie nowe społeczeństwo. Wierzę w potęgę słów. Trzeba myśleć pozytywnie. Od samego początku nazywaliśmy ten projekt „ON”, co znaczy „Ostatnia Nadzieja”. Określenie to doskonale pasowało do sytuacji, jaka panowała na Ziemi. Tylko że teraz to już nie jest Ostatnia Nadzieja. Od tej chwili to nowa przygoda. Nowa Nadzieja. Nawet gdyby teraz wszystko miało się skończyć, to i tak by niczego nie zmieniło. Odważyliśmy się, sami przeciw wszystkim, zrobiliśmy to!

Oklaski.

– Doprowadziliśmy do końca przedsięwzięcie, które ma na celu znalezienie nowych rozwiązań dla starych problemów. Uważajmy ten statek za miejsce szczęścia, budowy, odnowy. Proponuję zatem, żebyśmy nazwali przyszłe miasto, które zbudujemy, MIASTEM – RAJEM. Albowiem jak mawiali zawsze nasi przodkowie, „raj nie znajduje się na Ziemi”. To logiczne. Nie wiedzieli oni jednak pewnej rzeczy, a mianowicie, że raj wkrótce tu będzie. I że sami go zbudujemy własnymi rękami i za pomocą narzędzi. Proponuję, żeby urządzić to miasto na nizinie, która otacza przyszłe sztuczne jezioro.

Ku ogromnemu zdziwieniu wszystkich woda nie była niebieska, lecz lśniła fiołkowo-różowymi refleksami. Fiołkowo-różowe jezioro pośrodku jasnozielonej trawy i beżowych skal oferowało oryginalną harmonię barw.

W tym wypadku Yves również zdawał sobie sprawę, że to Caroline zadbała o ten obraz wraz ze swoim specem od dekoracji filmowych. Niektórzy pasażerowie już popędzili ku jezioru. Dotarłszy na brzeg, ściągali ubrania i wskakiwali nago do wody. Pływali w rym sztucznym basenie zawieszonym nad atmosferą. Wszyscy zaczęli się chlapać.

Właśnie w tej chwili zamigotały czerwone światła alarmowe, na całym statku zaś rozwyły się syreny.

34. PODNIEŚĆ POKRYWKĘ

Elisabeth Malory przybiegła do nich na taras.

– Żagiel się zablokował! – oświadczyła.

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza. Jeśli nie zdołają tego naprawić, nie będą mogli opuścić orbity okołoziemskiej, stając się co najwyżej jeszcze jedną stacją kosmiczną krążącą bez końca wokół Ziemi.

Spostrzegłszy awarię na monitorach kontrolnych, Yves Kramer oczyma duszy już widział ironiczne miny swoich dawnych kolegów, nie mówiąc o dziennikarzach, którzy z pewnością nie przepuściliby takiej okazji, żeby z nich zadrwić. Już widział nagłówki: „*Gwiezdny Motyl* nawet nie odleciał. Krąży wokół Ziemi jak owad wokół żarówki”.

Wynalazca gotował się ze złości, szukając w pamięci nazwisk możliwych winowajców.

– To ja się pomyliłam – oznajmiła Elisabeth. – Opierałam się na systemach rozwijania bawełnianych i plastikowych żagli na statkach. Powinnam była wziąć pod uwagę delikatność mylaru. On się łatwo gniecie, a wtedy zaczyna się płątać. Jeśli silnik nadal będzie go rozciągał, żagiel dosłownie zamieni się w supły.

– Pani jest naprawdę beznadziejna! – rzucił Yves Kramer. Elisabeth przysunęła się bliżej.

– Teraz, kiedy panu wybaczyłam, robi mi pan wymówki?

– Zniweczyła pani wspólny wysiłek.

– To co innego. Zawsze pan uważał, że jestem najlepsza w swojej dziedzinie: w żeglarstwie. Podobnie jak uważał pan, że sam jest najlepszy w pańskiej: w astronautyce. Związek najlepszych, prawda? To zaś, że mogłam się pomylić, psuje cały pański system „komplementarności znakomitości”.

– Nie. To nie to! – burknął, uderzając pięścią w ścianę.

– Ależ tak. Czuje się pan zawiedziony, że nie jestem najlepszą żeglarką, taką, która pomyślała zawczasu o wszystkim.

Wtem wśliznął się niepostrzeżenie Domino, który wskoczył na pulpit i już szykował się do spaceru po klawiaturze, Elisabeth chwyciła go jednak i zamknęła w korytarzu, gdzie zaczął miauczeć.

– I dobrze, zaraz panu udowodnię, mój drogi, że jeszcze nie powiedziałam ostatniego

słowa. Będę postępować tak jak na własnym żaglowcu, kiedy spinaker albo fok się zaklinują.

Godzinę później niepomna na jakiegokolwiek ostrzeżenia Elisabeth włożyła skafander do wychodzenia na zewnątrz wyposażony w małą butlę tlenową na plecach. Z kabiną łączył ją przewód.

Sto czterdzieści cztery tysiące ludzi mogło śledzić na umieszczonym nad tarasem wielkim ekranie ewolucje kosmonautki w próżni, rejestrowane przez kamery kontrolne, którymi była naszpikowana ściana zewnętrzna.

Dotarłszy do pokrowca żagla, Elisabeth zaczęła się uwijać, żeby rozwiązać rodzaj pogniecionego supła, mającego wiele wspólnego z kulami papieru, które wyciąga się z drukarek. Musiała się wykazać sporą zręcznością, żeby uwolnić mylar, jednocześnie go przy tym nie rozdzierając.

Była zmuszona zaczynać wszystko kilka razy.

– Niech pani wraca! – zawołał Kramer do mikrofonu połączonego z jej słuchawkami. – Zużyła pani cały zapas tlenu.

– Zanim zaczęłam żeglować, uprawiałam nurkowanie głębinowe – odrzekła kobieta. – W najgorszym razie będę ciągnąć na bezdechu.

Mimo że minęło kilka długich minut, główny węzeł wciąż pozostał nierozplątany.

– Proszę natychmiast wracać, to rozkaz! – krzyknął Yves.

– W kwestii żagli nikt nie będzie mi rozkazywał. To ja jestem sternikiem i ja decyduję, jakie mogę podjąć ryzyko.

– Ja nie żartuję. Wracaj natychmiast!

Skoro zwrócił się do niej „ty”, odparła, używając tej samej formy:

– Słuchanie cię męczy mnie, a teraz potrzebne mi są wszystkie siły.

– Ale za chwilę zginiesz! Jesteś nam potrzebna! Przecież nie możesz być aż tak głupia, żeby tego nie rozumieć! Lepiej żeby żagiel się nie rozwiązał, ale żebyś ty żyła, niż żebyś zginęła przy rozwiniętym żaglu. Zawsze możesz wyjść drugi raz.

– Prawie mi się udało.

– Nie, wcale nie!

– Wkurzasz mnie, Yves, zawsze miałeś dar wkurzania mnie. Pozostałym pasażerom klótnia w takiej chwili wydawała się niestosowna.

– Przerwywam połączenie. Mówienie zabiera mi tlen, a w tej chwili potrzebuję całego

zapasu powietrza.

– Nie! Posłuchaj mnie!

Nastąpiło kliknięcie oznaczające przerwanie połączenia. Mimo że Elisabeth wyczerpała cały zapas tlenu, ciągle jeszcze nie udało jej się rozplatać węzła.

– To czyste samobójstwo – mruknął Adrien Weiss.

Wkrótce ruchy żeglarki stały się wolniejsze. Spoglądając na ekran, wszyscy uświadomili sobie, że każdy gest wymagał ogromnego wysiłku. Elisabeth zaczęła drżeć, po czym znieruchomiała. Dłonie stopniowo puściły żagiel, ciało zaś uleciało w próżnię, podtrzymywane jedynie przewodem bezpieczeństwa.

– Ona się dusi! Zaraz umrze! – wrzasnęła Caroline.

– Skaranie boskie z tą kobietą! – wściekał się wynalazca. – Ograniczona i uparta jak osioł!

Jednocześnie włożył skafander, po kilku minutach śluza się otworzyła, on zaś wyruszył jej szukać, nie przestając mrużyć przekleństw pod nosem.

35. NIE ZAPOMNIEĆ O PODŁĄCZENIU PRZEWODU

Słyszał ogłuszający odgłos własnego oddechu rozbrzmiewający w hełmie skafandra. W piersiach czuł bicie serca. Pot ścieka! mu po plecach.

Yves Kramer nie poczyna! żadnych przygotowań do wyjścia w kosmos. W przyływie złości i zniecierpliwienia zapomniał przymocować do kadłuba przewody bezpieczeństwa.

Chybiwszy celu, zaczął się oddalać od *Gwiazdnego Motyla*, machając rękami niczym klaun, jakby miał nadzieję, że te ruchy pozwolą mu wrócić do statku kosmicznego. W próżni nie ma żadnego punktu oparcia, nawet w formie gazu, toteż jego gesty wcale się nie przyczyniły do zmiany trajektorii. Oddalał się od statku coraz bardziej.

Znajdujący się w cylindrze tłum złożony ze stu czterdziestu czterech tysięcy pasażerów wstrzymał oddech.

Jeśli Yves polecą w przestrzeń, posiadając tylko zapas tlenu, jaki zmieścił mu się na plecach, wkrótce zamieni się w... asteroidę. Jego trup, rozpędzony siłą wyjściową, przefrunie przez wszechświat.

Na szczęście jednak Yves zmierzał ku żeglarce.

Wszystko działo się w zwolnionym tempie.

Widoczne na czarnym tle kosmosu dwie jasne sylwetki spotkały się.

Yves usiłował chwycić hełm Elisabeth. Ponieważ był kulisty, jego palce zsunęły się po śliskiej powierzchni i chybiły celu. Ręce znów zaczęły mlócić gwiazdną przestrzeń. Napięcie wśród tłumy pasażerów sięgnęło zenitu.

– On naprawdę jest strasznie niezręczny – mruknął Adrien, przygryzając wargę.

Z zawieszonoego nad nimi głośnika dobiegały wyszukane przekleństwa dobywające się ze skafandra Kramera. W innych okolicznościach sytuacja ta byłaby komiczna.

Kiedy przepłynął obok na w pół rozwiniętego słonecznego żagla, stopa uwięzła mu w środku. Wreszcie zdołał się połączyć ze statkiem. Wykonując drobne, ostrożne ruchy, ze świadomością, że w ciągu tych kilkudziesięciu sekund ważą się losy ludzkości, wynalazca popłynął wzdłuż żagla i dopadł do kadłuba.

Czepiając się nierówności na powierzchni statku, zdołał wreszcie dotrzeć do miejsca, w którym był przymocowany przewód Elisabeth.

Yves Kramer przygryzł wargi i mocno ścisnął przewód, chcąc dopłynąć do nieruchomej żeglarki.

– Moim zdaniem jest strasznie niezdarny, ale ma szczęście – westchnął Adrien Weiss.

– Wszechświat go lubi – dodał Mac Namarra, który przypomniał sobie następną teorię: „Wszechświat ma swoje plany i wykorzystuje nas, żeby je urzeczywistnić”.

Przez zamgloną szybę hełmu Yves stwierdził, że Elisabeth jest sina i że ma ściśnięte nozdrza.

Jedną ręką szarpnął linę, drugą zaś złapał swą przyjaciółkę za kark niczym mistrz pływacki, który ratuje tonącego.

Ledwie przeciągnął ją przez śluzę, zdjął jej hełm i wykonał oddychanie usta-usta zgodnie z tym, co przypominał sobie mgliście z kursu pierwszej pomocy w liceum.

Jednakże Adrien, który ukończył studia medyczne, odepchnął go, mówiąc, że to nie najlepszy pomysł. Położywszy obie dłonie na jej klatce piersiowej, zaczął uciskać rytmicznie.

Ciało żeglarki ani drgnęło.

Wtedy podbiegł do nich kolejny lekarz, z torbą, z której wydobyl jakieś urządzenie elektroniczne. Podłączył ją do elektrokardiografu, który pokazał na ekranie linię ciągłą. Następnie zaaplikował jej wstrząsy. Serce kobiety nie zaczęło jednak bić. Po paru seriach kolejnych wstrząsów lekarz przecząco pokręcił głową.

– Musi pan kontynuować – wyjąkał posiniały Yves.

– Przykro mi. To już nie ma żadnego sensu. Ona nie żyje – oświadczył lekarz.

– Nie! Niech pan nie przestaje!

Kiedy lekarz zaczął chować defibrylator, Kramer wyrwał mu go z rąk i ustawiwszy napięcie na maksimum, przyłożył do piersi kobiety i zaaplikował jej wstrząs elektryczny.

Caroline i Adrien chwycili go tymczasem za ramię, żeby przestał się pastwić nad trupem.

W tej samej chwili Domino wskoczył na Elisabeth i z całej siły ugryzł ją w ucho.

Wtedy elektrokardiograf zrobił „ping”, na linii ciągłej zaś widniejącej na ekranie pojawiło się załamanie. Lekarz natychmiast przystąpił do działania i za pomocą wstrząsów zdołał nadać linii regularny kształt.

36. POZWOLIĆ, ŻEBY NAPEŁCZNIĄŁO

Otworzyło się jedno oko.

Pierwsze zdanie, jakie wypowiedziała żeglarka po odzyskaniu przytomności, brzmiało:

– Czy żagiel jest rozwinięty?

Gabriel Mac Namarra pomógł jej wstać i podprowadził ją do okna, na którym widać było cienką materię nadal pomiętą i splątaną.

– Może uda mi się to zrobić za pomocą serwomotorów ratunkowych – powiedział Kramer, który bał się, że ona znów wyjdzie na zewnątrz. – Zapomniałem, że umieściłem małe boczne silniczki pomocnicze, nie mówiąc ci o tym. W danej chwili nie zamierzałem ich uruchamiać, ale możemy spróbować je włączyć.

Żeglarka spiorunowała go wściekłym wzrokiem.

– O tym też zapomniałeś?

Po czym zasnęła wyczerpana.

Nie było żadnych bocznych silniczków, za to wielu kosmonautów połączyło swoje siły, żeby ręcznie rozwinąć zaklinowany żagiel.

Kilka godzin później trójkąt lewego skrzydła został całkowicie rozpostarty, co stuczterdziestoczwartotysięczny tłum pasażerów, zgromadzonych pod tarasem i wpatrzonych w wielki ekran, powitał oklaskami.

– W porządku, to też gotowe – skwitował obojętnie Gabriel Mac Namarra, ocierając spocone czoło. – Ile to czasu można stracić na „formalności”...

Po chwili dołączyła do nich ciągle jeszcze zmęczona Elisabeth.

– Nie chodzi o to, że zabrałaś się do tego źle – powiedział Yves, jakby nagle odsunął od siebie lęk, że ją utraci – tylko o to, że byłaś niecierpliwa. Rozwinimy drugie skrzydło *Gwiezdnego Motyla* z szybkością trzy razy mniejszą. Nie szkodzi, że pozostaniemy na orbicie okołoziemskiej trochę dłużej. W gruncie rzeczy, cóż znaczy jeden dzień więcej przy tysiącu lat podróży?

Kiedy zanurzył dłoń w jej długich rudych włosach, poczuła, jak bardzo się bał.

Kot także przyszedł się przytulić do jej nóg i zaczął się domagać pieśczot.

– Czy są jakieś inne systemy bezpieczeństwa, które zainstalowałaś, ale zapomniałaś

powiadomić resztę załogi, jak działają? – zapytała żeglarka.

Zamiast odpowiedzieć, Kramer zaproponował, żeby uruchomić mechanizm rozwijający drugie skrzydło.

Kiedy skrzydło wysunęło się do końca, dwie cienkie złociste błony rozpościerały się od kadłuba statku kosmicznego niczym u prawdziwego motyla olbrzyma.

Liczące milion kilometrów ożaglowanie było tak szerokie, że nawet z Ziemi dało się dostrzec gołym okiem oba skrzydła i długi korpus.

– Można by sądzić, że to jakiś gigantyczny owad latający nad atmosferą – powiedział jeden z gapiów, podnosząc wzrok.

– Jest ogromny!

– Latawiec wielkości miasta!

– Państwa albo nawet kontynentu. Patrzcie, potrafi rzucać mały cień na słońce.

Obserwatoria astronomiczne również śledziły go z zainteresowaniem.

Dawni koledzy z agencji uznali, że Yves Kramer doszedł w swym szaleństwie aż do końca. Występujący w telewizji eksperci od astronautyki zapewniali, że skoro wszystkie próby, jakich dokonano z żaglowcami słonecznymi, skończyły się fiaskiem, istnieją niewielkie szanse, żeby ta się powiodła.

Koncern Mac Namarry splajtował, ale nikt się już tym nie przejmował.

Dla przytłaczającej większości ludzi *Gwiezdny Motyl* był niczym więcej jak tylko ekstrawaganckim eksperymentem, który spowoduje śmierć stu czterdziestu czterech tysięcy niewinnych osób, wystarczająco naiwnych, żeby spełnić mrzonki szalonego naukowca.

Najbardziej ciekawscy zastanawiali się jednak, co też dzieje się tam, na górze.

37. WYJŚĆ Z OGNIA

Wszyscy byli na stanowiskach.

Stojąc w lewym oku motyla, Elisabeth i Yves wpatrywali się w monitory kontrolne.

– Żagiel z mylaru jest wypełniony fotonami i zaczyna ciągnąć. Powstrzymują nas jedynie reaktory zewnętrzne pchające do tyłu, które służą jako hamulce. Jestem gotowa do opuszczenia orbity okołoziemskiej – oznajmiła.

– Doskonale, w takim razie naprzód – odrzekł Yves Kramer. Zamilkła na chwilę.

– A tak przy okazji mam jeszcze jedno pytanko. Chętnie polecę „naprzód”, tylko... dokąd?

– Tam – pokazał palcem Yves Kramer. – Wystarczy, żebyśmy kierowali się stale ku tamtej konstelacji w kształcie trójkąta. Jeśli pewnego dnia odejdę albo będzie ze mną źle, pamiętaj, że naszym celem jest tamten trójkąt światła.

Elisabeth ustawiła się na linii, aby dokładnie zobaczyć kierunek, jaki wskazywał czubek jego palca. – Tam?

– Nie, bardziej w lewo, tutaj. Tamto duże światło i dwa mniejsze.

– To nie do wiary, że mając do dyspozycji całą współczesną optykę, nadal wyznaczamy kierunek palcem! Puścił tę uwagę mimo uszu.

– Hm, tak między nami, dlaczego chciałeś zachować w tajemnicy dokąd lecimy?

– Jeśli chcesz, porozmawiamy o tym później, dobrze?

Sprawdziła, czy wszystko jest w porządku. Monitor kontrolny pokazywał tłum pasażerów zgromadzonych przed tarasem, nad którym umieszczono podwójny ekran: na jednej jego połowie widać było Ziemię, na drugiej zaś przestrzeń kosmiczną przed *Motylem*.

– Wszyscy gotowi? – powiedział do mikrofonu Yves.

– Procedura uruchomiona – odparła Elisabeth.

Odłączyła kolejno wszystkie reaktory utrzymujące statek na orbicie okołoziemskiej.

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... start!

Tymczasem długi niebieski cylinder, ciągniony przez dwa olbrzymie złote trójkąty, nawet nie zaczął drżeć, przemieszczając się prostopadle do orbity okołoziemskiej.

Ze stu czterdziestu czterech tysięcy piersi wyrwał się potężny ryk.

Widoczna na podzielonym ekranie kula ziemską zaczęła maleć.

Wynalazca machnął nieznacznie ręką w kierunku przezroczystej ściany.

– Do widzenia... planeto – mamusiu.

– Żegnaj – powiedziała żeglarka.

38. UKRYĆ TAJEMNE SKŁADNIKI

Dwa złote skrzydła napęczniałe od światła.

Olbrzymi *Motyl* naszpikowany istotami ziemskimi sunął powoli przez nieznaną gwiazdną otchłań.

Zaczynał niepostrzeżenie przyspieszać.

Elisabeth potrząsnęła długą rudą czupryną i odwróciła się do Yves'a Kramera.

– A więc trzy gwiazdy. A kiedy już znajdziemy się całkiem blisko, skąd mam wiedzieć, dokąd lecieć?

– Te trzy światelka to nie są gwiazdy, tylko odległe galaktyki. Kiedy się do nich zbliżymy, ujrzymy pośrodku następny świecący punkt. Będzie to gwiazda wielkości naszego Słońca. Na razie nie możemy jej zobaczyć gołym okiem. Właśnie wokół tego słońca namierzyłem planetę, która może się nadawać do życia.

– Skoro nie można jej zobaczyć, to jak ją namierzyłeś?

– Za pomocą radioteleskopu w Centrum Badań Kosmicznych. Skierowałem go na pewną konkretną strefę, którą badam od dawna, gwiazda po gwieździe. I w końcu znalazłem. Ale nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

– A dlaczego inni jej nie widzieli?

– Pewnie ją widzieli, ale nigdy nie przyszło im do głowy, żeby na nią polecieć.

Wydało się to Elisabeth podejrzanie.

– A jak się nazywa ta twoja gwiazda?

– Na razie jej naukowa nazwa brzmi „jot wu dziesięć trzydzieści sześć osiemdziesiąt trzy”.

– A planeta? Też ją namierzyłeś radioteleskopem?

– Prawdę mówiąc, połączyłem kilka przyrządów, których zazwyczaj nie stosuje się jednocześnie. W ten sposób zdołałem wydedukować, jaka jest budowa tych znajdujących się poza układem słonecznym planet. Jest ich dużo wokół „jot wu dziesięć trzydzieści sześć osiemdziesiąt trzy” i same mają wiele satelitów. Według mnie, jedna z nich ma odpowiednią wielkość, odpowiednią temperaturę, odpowiednią atmosferę i odpowiednią odległość w stosunku do gwiazdy, która służy jej jako słońce, żeby życie na niej nie uległo ani spaleni, ani

zamrożeniu.

– Przestań się bawić w tajemnice. Gdzie więc jest ta twoja planeta?

Yves Kramer uśmiechnął się zagadkowo.

– Jeszcze za wcześnie, żeby to wyjawić. Niech to będzie niespodzianką aż do ostatniej chwili. Nie chcę, żeby ludzkość poleciała ją zanieczyścić, jeśli nie jesteśmy jeszcze gotowi. Ukryłem jej nazwę. Tutaj. Na tym statku.

Elisabeth zmarszczyła brwi, dochodząc do wniosku, że Yves naczytał się stanowczo za dużo opowieści o poszukiwaczach skarbów, typowych dla młodych, zamkniętych w sobie chłopców.

– Prawdę mówiąc, zanotowałem jej dokładne położenie na mapie, którą umieściłem w sejfie.

– Nie do wiary, gra toczy się o los ludzkości, a tymczasem ty się bawisz w tajemnice, skarby i zagadki. Ile ty masz lat, Yves?

Wynalazca wyglądał na wyjątkowo zadowolonego ze swojego podstępu.

– Sam sejf da się otworzyć dopiero za tysiąc lat. W środku jest umieszczony zegar.

Żeglarka przyjrzała mu się uważnie.

– Ja chyba śnię. Podróżujemy w kosmosie w sto czterdzieści cztery tysiące osób i dopiero w ostatniej chwili dowiemy się, dokąd właściwie lecimy!

– Zachowałem wyjaśnienie ostatecznego celu podróży dla ostatniego pokolenia pasażerów *Gwiezdnego Motyla*. Tylko oni z tego skorzystają, o ile okażą się godni.

– A skąd będziesz wiedział, że są „godni”? – zapytała przedrzeźniając go.

– Obmyśliłem prosty test na inteligencję. Łatwą zagadkę. Dzięki temu testowi znajdą sejf, w którym jest ukryta mapa z miejscem przeznaczenia. Zawiera on kombinację liter, które otwierają sejf.

– A co to za „łatwa” zagadka?

– Zapisałem ją na tablicy, aby mieć pewność, że nikt jej nie zapomni.

Mówiąc to, pokazał widniejące nad ekranami, wypisane małymi literami trzy zdania, które żeglarka odczytała na głos z niedowierzaniem.

To jest na końcu poranka.

To jest w samym środku nocy.

I można to zobaczyć, spoglądając na księżyc.

– Na litość boską, na dodatek astronomiczna zagadka. No to jesteśmy w domu. A gdzie jest ten cały sejf?

– Niedaleko. Naprawdę niedaleko. W rzeczywistości na wprost twoich oczu.

Wskazał głową ster. Podążając wzrokiem w tym kierunku, Elisabeth spostrzegła metalową tabliczkę z motylem, trzema gwiazdkami i dewizą OSTATNIĄ NADZIEJĄ JEST UCIECZKA.

– Chyba nie zamierzasz mi powiedzieć, że to jest „w” sterze? Yves Kramer skinął głową.

– W sterze, kierunek, jaki należy obrać. Ściślej mówiąc, w wydrążonym kole sterowym.

Elisabeth Malory szarpnęła metalową tabliczkę, jakby chciała wyrwać ją paznokciami. Na próżno.

– Kazałem wykonać ten mały sejf z najtrwalszego metalu. Składa się on z nałożonych na siebie warstw stali, tytanu i ceramiki. Nie dałabyś rady go otworzyć nawet palnikiem. A gdyby się tak nieszczęśliwie złożyło, że jakiś spryciarz mimo wszystko zdoła pokonać zamek elektroniczny, umieściłem mechanizm samoniszczący.

– Wtedy wszystko będzie stracone. Cały projekt „Ostatnia Nadzieja” na nic się nie przyda. Nasze przedsięwzięcie zależy od drobiazgu.

– Wolę, żeby wszystko było stracone, niż żeby jacyś nieodpowiedzialni ludzie powtórzyli gdzie indziej te same błędy. Jeśli mamy robić to samo albo coś gorszego, to lepiej dać sobie z tym wszystkim spokój.

– Twoim zdaniem, najlepszy sposób, żeby się przekonać, czy ostatni pasażerowie *Motyła* będą lepsi od nas lub od naszych rodziców, to zagadka, w której trzeba odnaleźć jedno słowo?

Zrobił zachwyconą minę dziecka, które obmyśla niezłego psikusa.

Elisabeth wzruszyła ramionami.

– A jeśli się pomyliłeś, jeśli twoja planeta okaże się z bliska wroga?

– Na pierwszy rzut oka w tym układzie słonecznym jest co najmniej pięć dużych ciepłych planet. Jeśli żadna z nich nie może stanowić rozwiązania tymczasowego, cóż, minie kolejne tysiąc lat i pięćdziesiąt pokoleń, zanim dotrą do sąsiedniego układu. Wtedy będą musieli przeczekać jeszcze tylko jedno milenium.

Żart ten wcale jej nie rozbawił.

Elisabeth śledziła ekran, na którym jedna z liczb nie przestawała rosnąć.

– Dziękuję za wsparcie w kosmosie – powiedziała.

Wpatrywali się w horyzont na niebie wraz z trzema światełkami, które miały im wyznaczać kierunek.

– Nigdy nie zobaczymy przybycia na miejsce – szepnął.

– My nie, ale nasi potomkowie pewnie tak.

Dostrzegł w tych słowach coś jakby zachętę. Przysunął się bliżej.

– Tylko że trzeba ich jeszcze spłodzić... Zrobił jeszcze jeden krok.

– Naprawdę całkowicie mi wybaczyłaś? – zapytał.

– Nie, nie całkowicie, wybaczyłam ci w siedemdziesięciu pięciu procentach. Kiedy miednica przestanie mnie budzić w nocy, wybaczę ci całkowicie.

– Co mogę zrobić, żeby z siedemdziesięciu pięciu procent przejść do siedemdziesięciu sześciu?

– Zdziw mnie. Ciągłe zaskakuj. Mogę wszystko wybaczyć oprócz jednego: nudy.

Yves przysunął się jeszcze bliżej, a wówczas ich wargi dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Pochylił się nad nią. Elisabeth odsunęła się niedostrzegalnie. Znieruchomiał, zaglądając jej głęboko w oczy. Teraz to ona zbliżyła się nieco. Przysunął się ponownie i tym razem ona się nie odsunęła.

Oddała mu pocałunek, który trwał kilkanaście minut, rozszerzając Domino do tego stopnia, że z całej siły ugryzł wynalazcę w łydkę.

39. POZWOLIĆ, BY CIŚNIENIE ROSŁO

„Szybciej, mocniej.

Dalej, wciąż dalej”.

Elisabeth, stojąca samotnie za sterem, który skrywał tajemnicę ich miejsca przeznaczenia, śpiewała, fałszując, twarzą do gwiazd.

Spojrzenie jej turkusowych, superwrażliwych oczu nauczyło się rozróżniać światelka rozświetlające nieustannie podniosłą panoramę. Wszystko to, co stanowiło dla niej dotąd jedynie białe punkty na niebie, zwane „gwiazdami”, jawiło jej się teraz niczym rodzaj dżungli, której niebezpieczeństwa i zalety: galaktyki, grupy galaktyk, chmury gwiazdne, chmury gazowe, gwiazdy, gromady gwiazd, meteoryty, supernowe, superstruny, ale także czarne dziury, białe dziury musiała znać... Przy czym obie te anomalie kosmiczne można było dostrzec nie gołym okiem, tylko za pomocą małego radioteleskopu znajdującego się na pokładzie *Gwiezdnego Motyla*.

Nawet pola magnetyczne i wiatry słoneczne nie miały już tajemnic przed młodą żeglarką przestrzeni kosmicznej.

Mgławice tworzyły rzeźby wykonane z połyskliwego pyłu.

Na dalszym planie odcinała się bezkresna linia widocznej częściowo galaktyki.

Elisabeth Malory śledziła na fotometrach siłę wiatrów światła gwiazdnego, które przenikało do obu ogromnych trójkątnych żagli. Ponieważ bezustannie się zmieniały, uregulowała na maksimum napięcie liny za pomocą zdalnie sterowanych serwosilników elektrycznych.

Tuż przed nią znajdował się ster wraz z logo w kształcie motyla i straszną dewizą: OSTATNIĄ NADZIEJĄ JEST UCIECZKA.

Nad klawiaturą zaś widniała zagadka, która wydawała się łatwa, ale której nadal nie potrafiła rozwiązać. *To jest na końcu poranka.*

To jest w samym środku nocy.

I można to zobaczyć, spoglądając na księżyc.

Zorza?

Gwiazda Południa?

Odbicie Słońca? Nie, to musi być jakiś chwyt. Doszła do wniosku, że Yves to dziecko. Niezdarne i niezrównoważone dziecko, posiadające jednak wystarczająco śmiałą wyobraźnię, by zbudować tę ogromną zabawkę i zabrać na jej pokład sto czterdzieści cztery tysiące osób.

Istnieją ponadto te sto czterdzieści cztery tysiące ludzi, którzy są dostatecznie głupi, żeby podążyć za tym niedorosłym dzieckiem. A wśród nich ona sama.

Żeglarka roześmiała się w samotności, zdumiona tym osobliwym mimetyzmem, za sprawą którego Mac Namarra zaraził ją swoim śmiechem.

Śmiech w stylu Mac Namarry był sportem, co się zowie, który rozwijał mięśnie klatki piersiowej i krtani, aktywnością w pełnym tego słowa znaczeniu, która oczyszczała organizm.

W tej samej chwili na ekranie pokazała się asteroida sunąca prosto na nich.

Elisabeth natychmiast chwyciła za ster, żeby zbroczyć z kursu. Był to manewr tak powolny i łagodny, że żaden z pasażerów się nie zorientował, iż zmieniła kierunek. Ona jednak umiała (było to zresztą jej główne zadanie przy sterze) omijać asteroidy. Podobnie jak kiedyś potrafiła omijać góry lodowe, wieloryby i rafy.

Śledziła ciało niebieskie na ekranie kontrolnym.

Kiedy znalazło się dostatecznie blisko, wyjęła lornetkę i zaczęła obserwować lot ogromnej skały, która otarła się niemal o prawy żagiel. Następnie pokręciła drewnianym sterem, aby ustawić żaglowiec słoneczny z powrotem na kursie trzech światełek. Za nią zaś, w cylindrze, organizowało się życie.

Sto czterdzieści cztery tysiące pasażerów bardzo szybko uporało się z „umeblowaniem” pozostałych trzydziestu jeden segmentów.

Rozsypali piasek i tłuczeń, a następnie posiali trawę i zasadzili drzewa pochodzące z hangaru w głębi, żeby zgodnie ze wskazówkami Caroline stworzyć coś, co określano mianem „reszty dekoracji”. Wygenerowali w ten sposób kolejne wzgórza, kolejne doliny, kolejne rzeki, kolejne lasy.

Posiadali od tej pory trzydzieści dwa kilometry sztucznej ziemi, po której mogli spacerować w przód, w tył, w górę i w dół.

Zespół murarzy budował właśnie pierwszą wioskę, której nadano imię Miasta – Raju, a która wznosiła się częściowo na palach nad jeziorem o różowo-fioletowych refleksach.

Kiedy wszystkie minerały, rośliny i domostwa zostały właściwie rozmieszczone, Yves zaproponował, żeby uwolnić zwierzęta.

Zaczął od wypuszczenia owadów. Od najmniejszych do największych. Od mrówek po skarabeusze, przez pająki, pszczoły i rzecz jasna, motyle. Każdy z nich miał naturalnego wroga – takie są zasady.

Następnie postąpili tak samo ze światem wodnym, od alg po mięczaki, od kijanek po szczupaki.

Potem przyszła kolej na największe zwierzęta: płazy – żaby i salamandry, gryzonie – szczury i wiewiórki, roślinożerne – owce i krowy, mięsożerne – lisy i dzikie koty.

Yves wołał trochę zaczekać przed wypuszczeniem potencjalnych szkodników człowieka: komarów, pijawek, much. Tym bardziej proponował jeszcze zaczekać z tymi niebezpiecznymi: skorpionami, węzami, niedźwiedziami, tygrysami, lwami, hienami.

Te ostanie pozostawały nadal w postaci zapłodnionych jajeczek w probówkach i zamkniętych chłodniach, na wypadek gdyby następne pokolenia zechciały, żeby się narodziły. Było zupełnie naturalne, że pragnęli przechadzać się po cylindrze bez obawy natknięcia się na rozwścieczone dzikie zwierzę.

Spółród stu czterdziestu czterech tysięcy ludzi ci, którzy nie uczestniczyli w robotach budowlanych, pracowali na polach przy zasiewie tego, co miało stać się pierwszym zbiorem. Jeszcze inni wypasali stada bydła. Wszyscy mieli świadomość, że zapasy żywności, powietrza i wody przewidziano zaledwie na pół roku i że potem sami będą musieli produkować te trzy niezbędne do życia składniki.

Obowiązki rozdzielono według zasady dobrowolności: „Co chcesz robić?” Co do najcięższych zadań Adrien Weiss obmyślił inny system rozdzielnictwa. Osoby, które się na nie decydowały, musiały pracować jedynie przez kilka godzin dziennie. Taka była reguła: „Im gorsze zajęcie, tym krócej pracujesz”.

Na razie działało.

Gdyby nie słońce (centralna lampa neonowa dająca sztuczne białe światło) i nie fakt, że spoglądając na niebo, widziało się równiny, lasy i pochyłonych ludzi, niektórzy mogliby się poczuć jak na Ziemi.

Temperaturę, która najpierw była zbyt niska, później zbyt wysoka, ustawiono w końcu na dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza w dzień i dziewiętnaście w nocy, co odpowiadało latu w strefie umiarkowanej.

Co dwadzieścia cztery godziny specjalny zegar odtwarzał sztuczną zorzę i sztuczną noc.

40. FILTROWANIE SIARKI

Każdy zdawał sobie sprawę, że podróż będzie długa i że nigdy nie doczeka jej końca.

Uporawszy się z problemami decydującymi o przetrwaniu: ciężeniem, powietrzem, wodą, pożywieniem, schronieniem, pasażerowie zaczęli się skupiać na innych, mniej niezbędnych zajęciach: rozrywkach, sztuce, działalności rozmaitych stowarzyszeń, które pojawiały się spontanicznie w Raju.

W samym środku świeżo powstałej wioski pewien komik o imieniu Gilles zaproponował własne przedstawienie.

– Rzecz dzieje się podczas manifestacji przeciwko „Ostatniej Nadziei”. Spotyka się dwóch manifestantów i jeden z nich mówi: „Dlaczego jesteś przeciw temu projektowi? – Bo to jest projekt tchórzów, którzy nie mogą znieść życia na naszej planecie. A ty? – Bo chciałbym do nich należeć”.

Śmiech.

– Wiecie dlaczego żandarmi nie strzelali do rakiety w chwili startu? Bo myśleli, że ma napęd węglowodorowy, że cały kadłub wypełniony jest zbiornikami i jak będą strzelali, wszystko wybuchnie.

Śmiech. Gilles zaczynał się rozgrzewać. Należało stworzyć nowy rodzaj humoru dla nowego życia. Yves zdawał sobie jednak sprawę, że żartowanie ze wspólnej przygody jest niezbędne do zachowania powszechnego dobrego nastroju.

– Dwie mieszkanki Raju rozwijają trawniki w dolinie trzydziestu dwóch segmentów. Jedna mówi: „Jak sądzisz, jaka moda będzie panowała w *Motylu* przez tysiąc następnych lat? – Bo ja wiem? – odpowiada druga. – W każdym razie zamierzam chodzić cały czas w kostiumie kąpielowym, żeby przyciągnąć uwagę osiłków, którzy budują wzgórze”.

Gabriel Mac Namarra stanowił najlepszą publiczność. Kiedy tylko wybuchał śmiechem, pozostali nie byli pewni, czy śmieją się z Gilles’a czy z niego.

Tak minął pierwszy tydzień.

Kiedy zaczęło wzrastać napięcie, gdyż nikt nie miał ochoty na wykonywanie najcięższej pracy, Yves Kramer zdołał tak ustawić jedną z anten radiowych na *Gwiezdnym Motylu*, aby złapać wiadomości telewizyjne z Ziemi. W końcu przecież fale telewizyjne rozchodzą się we

wszystkich kierunkach, w tym także w kosmosie.

Adrien Weiss postanowił zainstalować w centrum Miasta – Raju wielki ekran wysokości pięciu metrów.

Pasażerowie *Motyła* zamarli na widok tego, co zobaczyli. Wiadomości stanowiły jeden długi ciąg okropieństw: z odległości zaczęli nabierać coraz większego przekonania, że wszyscy szefowie państw zjednoczyli się, by ograniczyć wolność narodów i zmusić je do dokonania jedyne­go możliwego wyboru: podporządkować się albo umrzeć z głodu.

Z obecnej perspektywy nawet konflikty między narodami czy wyznawcami różnych religii wydawały im się nagle niczym innym jak tylko grą przywódców, mającą na celu uspienie ich lub przeciągnięcie na swoją stronę.

Dyktatorzy sprawiali wrażenie, jakby pragnęli zburzyć demokrację. Prezydenci kłócili się między sobą albo z fanatykami, w gruncie rzeczy jednak przywódcy polityczni, ekonomiczni, wojskowi lub religijni robili wszystko, żeby ograniczyć pole działania i myślenia jednostek za pośrednictwem strachu.

Dziennikarze odpowiednio nagłaśniali wszystko, aby lęk przenikał do umysłów. Pokazywanie zwłok dzieci, manifestantów nawołujących do zabijania i wymachujących nożami albo strzelających w powietrze z karabinów maszynowych, przerażające niedomówienia pozwalały na uzyskanie pewnej jednomyślności.

„Na Ziemi, pod wpływem emocji powstałych w wyniku telewizyjnej manipulacji, wszyscy myślą tak samo” – taki oczywisty wniosek nasunął się stu czterdziestu czterem tysiącom. Yves Kramer pojął, że pokazywanie wiadomości z Ziemi to znacznie lepszy sposób na podtrzymanie entuzjazmu i gotowości stu­czter­dziesię­to­czter­o­ty­się­cz­nej wspólnoty niż wszelkie długie i nudne przemówienia.

Wielu z nich odnosiło wrażenie, że nie należą już do tego samego gatunku, który rozszarpał się wzajemnie na wielkim ekranie.

Elisabeth porzuciła na chwilę ster, aby również popatrzeć na zmieniające się gwałtownie obrazy nadawane przez całodobowy kanał informacyjny. Trafiła akurat na migawkę o *Gwiezdnym Motylu*.

Jakiś specjalista od astronautyki objaśniał właśnie, że sto czterdzieści cztery tysiące pasażerów nie ma żadnych szans na przeżycie przez tysiąc lat, ponieważ ich zapasy nieodwoalnie się wyczerpią.

– Zupełnie jakby chcieli nas nadal oczerniać, chociaż znajdujemy się daleko od nich. Ciągłe nas nienawidzą... – stwierdził wynalazca.

– Może się domyślają, że ich słyszymy, i chcą nas wystraszyć.

– Jak człowiek może być pewien, że ma rację, skoro cały świat bez przerwy powtarza, że się myli? – powiedział Yves.

– Jesteśmy jak te łososie, które płyną rzeką pod prąd. Dowiemy się dopiero wtedy, gdy dotrzemy do końca drogi.

W dalszej części wiadomości podano, że bieguny topnieją wskutek dziury ozonowej. Podniesienie się poziomu wód spowodowało falę tsunami, która zatopiła liczne miasta nadbrzeżne. Nowy zmutowany wirus, który przeniósł się z ptaków na ludzi, wywołując śmiertelną gripę, siał spustoszenie. Nie istniało żadne antidotum. Obawiano się setek milionów ofiar śmiertelnych.

– Urodziliśmy się w najgorszych czasach. Nigdy jeszcze nie było tyle przemocy, chorób ani takiej dewastacji środowiska.

Elisabeth wzruszyła ramionami.

– Tak właśnie musieli myśleć ludzie wszystkich epok. Twoim zdaniem, w przeszłości, kiedy były dżuma, cholera, wojny światowe, niewolnictwo, ludzie tak nie uważali? Każde pokolenie żywiło przekonanie, że kiedyś było lepiej i że będzie lepiej potem. Ale pewnie w gruncie rzeczy zawsze jest tak samo. Po prostu teraz jesteśmy lepiej poinformowani i to nas przeraża. Trzeba zachować zimną krew.

Na ekranie przewijał się nieprzerwany korowód potworności.

– Może powinniśmy byli zostać – mruknął Yves.

– Przecież sam to wszystko zorganizowałeś, a teraz mówisz, że powinniśmy byli zostać?!

– Mam wątpliwości. Czyż ucieczka nie jest tchórzostwem?

– W takim razie co znaczy, według ciebie, odwaga?

– Zostać i walczyć.

– Człowiek walczy, jeśli ma szansę zwyciężyć. Zostając na Ziemi, przegralibyśmy, a potem moglibyśmy się tylko biernie przyglądać, jak ludzkość dokonuje samozagłady.

Wynalazca przygryzł policzek.

– Może nie wypróbowaliśmy wszystkich środków.

– Nie bądź głupi, Yves. Jak możesz jeszcze wątpić? Postąpiłeś słusznie. To oczywiste.

Wszyscy postąpiliśmy słusznie. Nie mieliśmy żadnych szans, by cokolwiek zmienić na Ziemi.

Nie da się w ciągu życia jednego pokolenia wymazać sześciu milionów lat złych przyzwyczajęń. Ostatnią – i jedyną – nadzieją jest ucieczka!

Podczas gdy na wielkim ekranie pojawiły się wiadomości sportowe, a wraz z nimi obrazy tłumów skandujących nazwy swoich drużyn, Yves ciągle przygryzał policzek. Właśnie jakiś zwycięzca wymachiwał pucharem, niesiony triumfalnie na ramionach własnej ekipy.

– Nie wszystko na Ziemi było złe – powiedział.

– Czego byś chciał, światowej rewolucji?

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Już za późno. Na własne oczy widziałeś, jak sam fakt, że zbudowaliśmy *Gwiezdnego Motyla*, potrafił skupić całą energię przeciwko nam. Zdeptaliby nas, zanim zdążylibyśmy wywiesić transparent.

Tłum mieszkańców Raju spoglądał w osłupieniu na migawki ze świata, który wydawał im się coraz bardziej obcy.

Po projekcji wiadomości telewizyjnych ze starego świata Adrien Weiss postanowił pokazać na wielkim ekranie to, co było widać przed kokpitem: zapierające dech w piersiach wygwieżdżone niebo.

41. FAZA SYNTEZY

Kilku rzemieślników wpadło na pomysł, żeby wprowadzić szybki środek lokomocji przystosowany do przemieszczania się po cylindrze: rower. Ponieważ w kuźniach można było wytwarzać jedynie ciężką stal, idealną na lemiesz pługów, lecz nienadającą się do produkcji rowerów wyścigowych, zaprojektowali rowery z bambusa. Tylko szprychy kół wykonane były z metalu, opony zaś z kauczuku.

Niebawem więc można było zobaczyć, jak mieszkańcy Raju poruszają się szybciej po cylindrze. Rzecz jasna pojawienie się rowerów pociągnęło za sobą wytyczanie ścieżek, a następnie wąskich dróg, które wiły się wśród pól, lasów i domostw.

Yves Kramer, zaparkowawszy skonstruowany własnoręcznie rower z przodu cylindra, wszedł na górę, do lewego oka statku.

– Chcesz posterować? – zapytała żeglarka.

– Dobrze wiesz, że po „naszym” procesie odebrano mi prawo jazdy na samochody, motocykle i skutery! Nie wydaje mi się, żeby prowadzenie statków kosmicznych było w tym momencie dozwolone.

Elisabeth postawiła go za sterem. Pozwolił sobą kierować. Trzymając ręce na jego dłoniach, pokazała mu, jak pilnować obu wielkich skrzydeł *Motyła*, tak aby żagiel z mylaru pozostawał idealnie naciągnięty, bez ani jednej zmarszczki na całej powierzchni nośnej. Yves miał wrażenie, że jest maleńkim człowieczkiem prowadzącym gigantyczną maszynę.

Wówczas chwyciła go za rękę.

Cofnął dłoń.

– Przestań uciekać – powiedziała. – Przynajmniej nie przede mną...

Zawahał się, po czym wsunął rękę w jej dłoń.

– Pragnę cię – szepnął, spoglądając jej głęboko w oczy.

Uniosła brwi ledwie dostrzegalnie. Po czym w milczeniu wystawiła kota na zewnątrz i zamknęła drzwi do kabiny.

– Bądź delikatny – szepnęła.

Postukał w klawisze, aż znalazł wznoszącą się stopniowo, łagodną muzykę. Następnie wyjął z szuflady świece, które umieścił wokół nich, i zgasił światło.

Tańczyli, całowali się, pieścili, połączyli swoje ciała, po czym wymienili fluidy życiowe.

Znalazłszy się w apogeum rozkoszy, piękna rudowłosa żeglarka w podeksycowaniu wydała z siebie ogromny wyzwolicielski okrzyk, który poniósł się aż do cylindra.

Po czym wydobyła z szuflady pudełko, w którym trzymała coś, co określała mianem „swoich skarbów”. W rzeczywistości były to papierosy i butelki z mocnym alkoholem. Zapalili sobie i wypili.

– Tak bardzo się bałam, że moje ciało nie zareaguje – powiedziała, wydmuchując dym. – Od tak dawna już... – Pocałowała go żarliwie, po czym roześmiała się nerwowo. – Zdaje się, że odblokowałeś mi kości miednicy. Uaktywniłeś na nowo nerwy w strefie, w której nie miałam w ogóle czucia.

Spróbowała wstać, a następnie nago, bez kul, zrobiła kilkanaście kroków, zanim oparła się o ścianę.

– To leczniczy efekt miłości – odrzekł Yves jeszcze mokry od potu.

– Chyba wykupię abonament na twoją terapię – westchnęła, po czym podeszła bliżej, wtuliła wilgotne włosy w jego szyję i obsypała go pocałunkami.

Spletli się znów w uścisku i kochali kilka razy, zanim zasnęli przytuleni wprost na podłodze kabiny.

Wkrótce Elisabeth Malory mogła chodzić tylko o jednej lasce. Po długiej drodze, jaką przebyła, nadawało jej to wygląd pirata.

Adrien i Caroline postanowili rozpocząć budowę domu, aby para twórców projektu mogła wreszcie zamieszkać razem.

Kilka dni później dowiedzieli się o nowej siedzibie. Był to dom na palach nad brzegiem jeziora.

Caroline uczestniczyła w urządzaniu i dekorowaniu wnętrza. Na wszystkich czterech ścianach i suficie sypialni kazała umieścić lustra. Okno bardzo funkcjonalnej kuchni wychodziło wprost na jezioro.

– To na wypadek gdyby Yves miał ochotę łowić ryby z okna i wrzucać je wprost na patelnię – zasugerował Adrien.

W salonie stał telewizor i ogromne kanapy w paski, które idealnie pasowały do bambusowych ścian.

– Zaletą cylindra jest to, że ponieważ nie ma tu ani wiatru, ani deszczu, można budować z

lekkich materiałów – poprzestała na wyjaśnieniu ciemnowłosa astronomka. – Wybraliśmy to miejsce, bo mieszkamy niedaleko – dodał Adrien. – Tuż obok kazaliśmy postawić dom dla Gabriela. Dzięki temu wszyscy będziemy sąsiadami. Na wypadek gdyby któreś z nas chciało pożyczyć krzesło albo obrus.

Naostrzywszy pazury o stojącą pośrodku grubą drewnianą belkę, która podpierała całą budowlę, kot wskoczył na zasłony z białego lnu, po czym zsunął się na dół, orząc pazurami tkaninę.

– Zdaje się, że Dominowi się tutaj podoba – zauważyła Caroline.

Po chwili zjawił się Gabriel Mac Namarra, przynosząc wielki tort.

– Zapisałem sobie, że dziś masz urodziny, Yves – oznajmił.

– O cholera, zupełnie zapomniałem – przyznał się wynalazca.

– To skutek przebywania w kosmosie. Ono zmienia postrzeganie czasu.

Kiedy wszyscy zebrali się w jadalni ich nowego domu, Caroline zapaliła świece. Jednakże gdy przyszło do ich zdmuchiwania, Yves, nie zdążywszy się jeszcze dobrze zapoznać z rozkładem pomieszczeń, popchnął jedną z nich na zasłonę, która natychmiast zajęła się ogniem, zmuszając wszystkich do zabawy w strażaków, tym bardziej że zaczęła już płonąć część bambusowych ścian.

Kiedy incydent dobiegł końca, ustalono, że trzeba będzie postawić na nowo jedną ścianę i zawiesić nową zasłonę. Zaciekawiony wydarzeniem kot nadpalił sobie wąsy i miał teraz białą, poskręcaną na końcach sierść.

– Jedno pytanie – powiedział Mac Namarra, podchodząc do Yves'a. – Zrobił pan to specjalnie czy żeby być oryginalnym?

– Ja... ee... Nie, pewnie dlatego, że jestem trochę nieuważny – odparł z zakłopotaniem wynalazca. Przemysłowiec wybuchnął śmiechem.

– Trudno się spodziewać, że człowiek, który jest autorem największego przedsięwzięcia dla całej ludzkości, to niezdara pierwszej wody!

– Zadowolam się tym, że mam pomysły.

– Nie chciałby pan zostać myślicielem? – zapytał z powagą Adrien Weiss.

– O nie, nic z tych rzeczy. To by oznaczało, że nie mogę się mylić, kłamać ani mówić głupstw. Za bardzo mi zależy na tych trzech wolnościach, żeby je oddać za inne przywileje.

Adrien Weiss uśmiechnął się wyrozumiale.

– Pewnie dlatego projekt „Akwarium” poniósł klęskę, za to *Motyłowi* się uda. Potrafił pan zachować prostotę i skromność, Yves.

Wynalazca się zaczerwienił.

Adrien pochylił się nad nim i szepnął mu do ucha:

– Są chwile, kiedy warto być pokornym, ale są i takie, kiedy człowiek powinien choć trochę zagrać swoją rolę.

Swąd spalenizny zaczął słabnąć, toteż wszyscy zjedli tort, gdy tymczasem Caroline podała kawę, nie pozwalając Elisabeth jeszcze poruszać się w jej własnej kuchni.

Na koniec żeglarka zabrała głos:

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Yves, i dzięki, że pozwoliłeś nam marzyć.

42. SÓL PRZEMIENIONA W CUKIER

Gwiazdny Motyl nieustannie się rozpędzał.

Oderwawszy się od Ziemi przy prędkości wynoszącej pierwszego dnia sto kilometrów na godzinę, w ciągu tygodnia osiągnął dziesięć tysięcy kilometrów, w ciągu dwóch tygodni sto tysięcy kilometrów, a po miesiącu milion kilometrów na godzinę.

Była to wspaniała potęga światła i próżni.

Zgodnie z przewidywaniami Yves'a Kramera nie występowało tarcie powietrza, a więc nie było oporu.

Niczego, co mogłoby ich powstrzymać.

Podobnie jak nie istniała ani grawitacja, która zdołałaby ich przyciągnąć, ani przeszkody zdolne ich spowolnić.

Statek sunął więc po „Wielkiej Kosmicznej Nicości” bez najmniejszych drgań i bez najmniejszego podmuchu prędkości.

Za bulajami pojawił się barwny punkt, który wkrótce okazał się planetą. Jego powierzchnia miała pomarańczową barwę, a oprócz dużych kraterów można było dostrzec wyżłobione przez czas żyły w kolorze ochry.

Z przodu, w lewym oku *Motyła*, przed przyrządami kontrolnymi usadowili się Elisabeth i Yves. Wynalazca sprawdzał na ekranach liczby i obrazy przesyłane przez radioteleskopy na statku.

– Nic tu nie ma – oświadczył.

– To reguła: nigdzie nic – odrzekła Elisabeth, wyjmując lornetkę, aby przyjrzeć się zza szyby powierzchni planety.

Opuściła lornetkę.

– Trzeba specjalnego splotu okoliczności, żeby pojawiło się życie – stwierdził wynalazca.

– Planeta musi mieć odpowiednią wielkość, odpowiednio eliptyczny kształt, odpowiednią temperaturę, odpowiednią grawitację, odpowiedni księżyc...

– A zwłaszcza żeby w taki czy inny sposób dotarły na nią geny życia.

Korzystając z tego, że drzwi do kabiny były niedomknięte, do środka wśliznął się Domino. Lubiał przychodzić do tego pomieszczenia, wyczuwał bowiem, że dzieją się tu dziwne

rzeczy.

– Moim zdaniem życie sprowadziły na Ziemię meteoryty, które przyniosły aminokwasy. Meteoryty są czymś w rodzaju kosmicznych pleśniaków. Ocierają się o planety, żeby je zapłodnić.

– Czyli że planety to jajeczka? Ten pomysł ma tę zaletę, że jest poetycki.

Elisabeth wybuchnęła śmiechem Mac Namarry, którego potrafiła idealnie małpować.

– A skąd, według ciebie, pochodziły te meteoryty ze swoimi aminokwasami? Przecież gdzieś w kosmosie musiał istnieć pierwszy ślad życia, które zaraziło cały wszechświat.

Spojrzeli w dal na gwiazdy.

– Pod warunkiem że życie nie pojawiło się w całym wszechświecie i wyłącznie na Ziemi. To by był jedyny i niepowtarzalny wypadek, związany dokładnie z wielkością, niemal co do centymetra, planety i jej położeniem, też niemal co do centymetra, względem Słońca. Jedyny i wyjątkowy cud.

– W takim razie... to my bylibyśmy pleśniakami kosmosu przenoszącymi życie...

– W ten sposób stalibyśmy się jedynymi śladami życia we wszechświecie i wzięlibyśmy na siebie olbrzymią odpowiedzialność.

– A pozostali szaleńcami, którzy niszczą planetę z przyczyn politycznych i ekonomicznych albo z powodu fanatyzmu religijnego.

– Uwaga! – krzyknął Yves.

Kiedy mijali planetę, spostrzegł jakiś księżyc. Mogli bez trudu zrobić unik, ale ze względu na wielkość żagli powinni rozpocząć manewr dużo wcześniej, jeśli miał się okazać skuteczny.

Elisabeth przekreśliła ster i włączyła silniki, które miały nadać obu skrzydłom *Motyła* inny kierunek.

Statek lekko zmienił kurs – wystarczająco, żeby oddalić się od satelity, który przypominał bilę.

– Będzie dobrze – uspokoiła go żeglarka. – Ależ ty się potrafisz denerwować. Powinieneś się odprężyć, *Gwiazdny Motyl* to solidny statek.

– Zawsze się boję, że jego żagle się uszkodzą, są przecież takie wielkie. – Wziął do ręki lornetkę. – Ta planeta składa się wyłącznie z lodu – oznajmił. – Nie ma żadnych szans, żeby mogło tu być jakieś życie.

Elisabeth odgarnęła na bok burzę rudych włosów i popatrzyła nań swoimi turkusowymi oczami. Wziąwszy na ręce kota, pogłaskała go delikatniej niż jej towarzysza.

– Skąd to przekonanie, że ludzkość zdoła przetrwać tam, dokąd dotrzemy za tysiąc lat?

Wynalazca zmarszczył brwi.

– Mam nosa. Bywają chwile, kiedy należy zdać się bardziej na własną intuicję niż na aparatury pomiarowe.

– A jeśli się mylisz?

– Przynajmniej spróbowaliśmy. Masz wątpliwości?

– Oczywiście. A ty nie?

– Tak, ale staram się z nimi nie zdradzić. To by źle wpłynęło na powszechne morale. Lepiej być stanowczym w błędzie niż wahać się w prawdzie. Nikt nie traktuje poważnie wątpliwych.

– A przecież to oni mają rację, nie? Ten świat jest zbyt skomplikowany, by wzbudzać najmniejszą pewność – rzekła.

– Trzeba więc ufać własnym przekonaniom. Ja mam wewnętrzne przekonanie, że dobrze zrobiliśmy, wyjeżdżając.

Żeglarka włączyła telewizor, który nadawał wiadomości z Ziemi, i ściszyła głos. Na ekranie było widać jakiegoś polityka, który mówił coś do kamery. – Mimo wszystko zastanawiam się nad twoim pomysłem – powiedziała. – Gdybyśmy byli sami we wszechświecie, a nigdzie wokół nie byłoby żadnej formy życia... Co za odpowiedzialność!

Obraz polityka ustąpił miejsca widokowi jakiegoś brodatego przywódcy, który sprawiał wrażenie rozwścieczonego, następnie mężczyzny w mundurze, który zachowywał idealny spokój, na koniec zaś migawce z defilady wojskowej.

– A... ludzie wyprodukowali dostatecznie dużo bomb atomowych, żeby zniszczyć ten unikalny w czasie i przestrzeni klejnot.

– Bomby te powstają w rękach ludzi, którzy są zaślepieni do tego stopnia, żeby chcieć ich użyć dla jakiejś irracjonalnej przyczyny religijnej.

Elisabeth opasała ramionami Yves'a.

– Chwilami wstydzę się, że należę do tego samego gatunku co ci, którzy niszczą naszą Ziemię – wyznał.

Chwyciwszy ją za rękę, mocno ścisnął i pocałował.

– Dlaczego zawsze zwyciężają kłamcy i miernoty? Dlaczego zawsze ci najgorsi dyktują swoje prawa? – Bo ludzie mają mentalność niewolników – odparła Elisabeth. – Domagają się wolności, ale obawiają się tylko jednego: że naprawdę ją dostaną. Natomiast władza i przemoc budzą w nich poczucie bezpieczeństwa.

– To głupie!

– Na tym polega ludzki paradoks. A poza tym strach to najlepszy sposób, żeby manipulować ludźmi.

– Kiedy będziemy mieli dzieci, będziemy musieli im zaszczepić inne wartości.

– Tylko że powinniśmy najpierw zrozumieć, dlaczego do tego doszliśmy.

– Może to kwestia punktu widzenia. Postrzegamy siebie zawsze jako małpy o wyższym stopniu świadomości. Tymczasem jest odwrotnie. Jesteśmy wyższą świadomością zamkniętą... w ciałach małp.

Yves usiadł przy biurku. Wyciągnął pióro i wielką księgę, której kartki wydawały się z pergaminu.

– Prowadzisz dziennik pokładowy? – zapytała żeglarka.

– Zgadza się, ale to jest co innego.

Podeszła bliżej i zajrzała mu przez ramię. Pokazał jej widniejący na okładce tytuł wykaligrafowany pięknym, starannym pismem: *NOWA PLANETA: INSTRUKCJA OBSŁUGI*.

– Co to?

– Wskazówki, co należy zrobić, kiedy się dotrze na miejsce... to znaczy nie dla nas. Dla potomności, za tysiąc lat.

– Już teraz o tym myślisz?

– Wybiegam myślami daleko w przyszłość, ale mam trudności z myśleniem w czasie teraźniejszym.

Ucałował jej dłonie.

– Ale nie wtedy, kiedy ty tu jesteś. Ty mnie odsyłasz w teraźniejszość.

Pocałowała go w policzek, pieszcząc skórę koniuszkiem języka.

– A czy w tej chwili jesteś w teraźniejszości?

– Jestem w teraźniejszości „rozszerzonej” – szepnął, oddając jej długi pocałunek.

Wtem do kokpitu wśliznął się ukradkiem Domino. On także domagał się swojej porcji pieszczot.

43. KOSMICZNE JAJO

Gwiezdny Motyl osiągnął wreszcie odpowiednią prędkość.

Dwa miliony kilometrów na godzinę.

Nieruchomy obserwator w kosmosie na widok olbrzymiego walca z dwoma wielkimi trójkątymi złotymi żaglami napęczniałymi od fotonów odniósłby wrażenie, że mija go bolid.

Z nasion w cylindrze wyrosły rośliny. Z roślin wyrosły liście, kwiaty, warzywa lub zboże.

Teraz Miasto Raj przypominało wiejską osadę. Wiele kóz padło. Za to owce, kury i króliki rozmnażały się znakomicie.

Dziesięć miesięcy później Elisabeth urodziła dziewczynkę, której dali imię Elodie.

– Ma stulone i zaciśnięte dłonie – zauważył Yves.

– Wszyscy rodzimy się ze stulonymi i zaciśniętymi dłońmi – powiedziała Caroline.

– Dlaczego?

– Bo jesteśmy uwolnieni od walki, w wyniku której przyszedliśmy na świat i która każe nam się bić przez następne dziewięćdziesiąt lat.

Obudzone rozmową dorosłych niemowlę zaczęło się wiercić w kołysce.

– I pomyśleć, że Elodie nigdy się nie dowie, co to jest Ziemia – westchnął Adrien.

– A właśnie że się dowie. Z telewizji. Jeszcze długo będziemy odbierać programy – odparła Caroline.

– Tym lepiej. I tym gorzej. Noworodek zaczął fikać nóżkami.

Domino wołał się trzymać z daleka od czegoś, co uznał za zaślinionego, wrzaskliwego i – krótko mówiąc – wysoce podejrzanego potwora.

– Elodie jest pierwszym dzieckiem gwiazd. To pierwszy *homo stellaris*. Nawet jej organizm jest już inny – dodał Adrien Weiss.

– Ponieważ mamy nieco wyższą grawitację niż ziemską, jej kości będą bardziej nabite, powinna być mniejsza – uściśliła Caroline Toledano.

Po chwili zdziwienia na widok tych hałaśliwych ludzi stęskniona za matczynym brzuchem dziewczynka zamknęła oczy i zasnęła, przybierając wielkość dużego jaja.

44. PIANA, KTÓRA POJAWIA SIĘ NA POWIERZCHNI

Cylinder obracał się niczym powolna wirówka. Znajdująca się w środku masa zaczynała twardnieć.

Pokrywająca ściany warstwa ziemi była gruba, pachnąca, napowietrzona. Życie roślinne i zwierzęce na jej powierzchni mrowiło się, wydzielając rozmaite zapachy.

Po Elodie nastąpiło wiele kolejnych narodzin.

Ponad trzy czwarte spośród stu czterdziestu czterech tysięcy osób połączyło się w pary.

Pojawienie się nowego pokolenia wymusiło budowę żłobków.

Ponieważ trzeba było znaleźć jakąś nazwę dla mieszkańców statku, po odrzuceniu takich określeń, jak „ostatni nadziejowicze” czy „cylindrzanie”, kosmiczni podróżnicy postanowili nazywać się „Motylanami”.

Za namową Adriena przystąpiono do tajnych wyborów, aby wyznaczyć koordynatora działań, któremu nadano tytuł „burmistrza Miasta Raju”. Wybrano młodą, wyjątkowo energiczną kobietę: Jocelyne Perez. Jocelyne pracowała już na Ziemi w stowarzyszeniach ochotników i hipisowskich komunach. Wynikająca z własnego doświadczenia znajomość polityki i organizacji życia społecznego pozwoliła jej na rozdzielenie zadań w mieście wreszcie w sposób bardziej „naukowy”.

Motylenie ustanowili zasadę konkubinatu. Bez ślubu. Ludzie mieli swobodnie łączyć się w pary i rozstawać bez żadnych umów oraz zobowiązań.

Jocelyne udzielała swojego błogosławieństwa tym, którzy o to poprosili. Wygłaszała wówczas taką oto formułkę: „Jesteście złączeni, dopóki brak miłości was nie rozłączy”.

Humorysta Gilles dodał w jednym ze swoich skeczy bardziej ironiczne zdanie: „Jesteście złączeni i pozostaniecie wierni, dopóki... jedno z was nie znajdzie czegoś lepszego”.

Nie zamykano drzwi do domów. Wszystko opierało się na zaufaniu. Wystarczyło, że kobieta pożądana mężczyzny lub mężczyzna pożądaną kobiety powiedzieli sobie o tym, a wówczas to drugie przystawało na propozycję lub nie. Nie istniał problem tożsamości dzieci, wszystkie bowiem noworodki uznawano za „dzieci gwiazd” i jako takie wszystkie wychowywała

I opiekowała się nimi wspólnota.

Wszystkie były więc „sierotami mającymi sto czterdzieści cztery tysiące rodziców”.

Zbudowano ogromny amfiteatr, w którym co wieczór odbywało się przedstawienie. Muzyka, teatr, skecze. Jocelyne wiedziała, jak urozmaicać program, żeby nie nużyć.

Motyłańska publiczność łaknęła muzyki klasycznej, która potrafiła łagodzić obyczaje w cylindrze, domagała się jednak także spektakli komicznych.

Gilles, który stał się gwiazdą, znalazł niewyczerpane źródło komizmu w małpowaniu złych obyczajów Ziemi.

Pasazerowie mogli bowiem oglądać wiadomości z Ziemi, transmitowane przez nowo powstałą sieć telewizji wewnętrznej, umożliwiającą każdemu dysponowanie trzema kanałami: jedynką, która nadawała programy ziemskie, dwójką, która nadawała obraz wygwieżdzonego nieba widziany z przodu statku, i wreszcie trójką, która nadawała koncerty, przedstawienia teatralne i kabaretowe z amfiteatru Miasta Raju.

Bardziej niż wiadomości Motylan fascynowały sceny z życia małżeńskiego, jakie mogli oglądać w ziemskich serialach. „Ostrzegam cię, kochanie, jeśli mnie zdradzisz, rozwiodę się z tobą i zabiorę ci wszystkie pieniądze”.

W świecie bez własności prywatnej, a więc bez pieniędzy i instytucji małżeństwa, wywoływało to głośnie salwy śmiechu. Gilles naśladował również deklaracje fanatyków religijnych przed Narodami Zjednoczonymi: „Produkujemy broń jądrową wyłącznie do celów cywilnych”.

Śmiech wśród publiczności cylindra gwarantowany.

Kolejne zdania w ustach komika nabierały odmiennego znaczenia: „Musimy zwolnić część personelu, ponieważ nasze zyski spadają”, „Potępiamy atak, którego dokonała mniejszość nieprzedstawicielska naszej populacji”, „Zamieszki na przedmieściach to dzieło wyłącznie młodych bezrobotnych, którzy usiłują przyciągnąć uwagę mediów” albo „Przykro nam z powodu zanieczyszczenia wód gruntowych kwasem z naszej fabryki, który waliśmy do rzeki”. I na koniec kilka zdań typowych, wygłaszanych przez ministrów gospodarki: „Wszystko będzie dobrze, dopóki konsumpcja będzie stale rosła”.

Podczas oglądania ziemskich programów najbardziej spektakularne napady szaleńczego śmiechu miewał Gabriel Mac Namarra. Wszyscy czuli się przygnębieni faktem, że szerokie rzesze mieszkańców ich dawnej planety dawały się nabrać na ten stek kłamstw, które nie

oznaczały nic innego, jak: „Uważamy was za idiotów, a kiedy wreszcie się połapiecie, będzie już za późno”.

Ze swojej strony Adrien Weiss żywił przekonanie, że zanim się zacznie drwić z Ziemiaków, należy dokładnie przypilnować społeczności cylindra.

On jeden się nie śmiał.

45. FAZA MACERACJI

Pierwszy poważny wypadek był natury chemicznej.

W cylindrze podniósł się gwałtownie poziom dwutlenku węgla, oddychanie stało się trudniejsze, powietrze cięższe.

Kwiaty zaczęły więdnąć, a ludzie i zwierzęta odczuwali niecodzienne zmęczenie.

– Co się dzieje? – zapytał z niepokojem Yves.

Adrien przystosował prawe oko *Motyła* do roli centrum kontroli grawitacji, powietrza, wody i całego wewnętrznego ekosystemu cylindra.

Urządzone przez jego towarzyszkę prawe oko, wraz z dużą ilością roślin zielonych, akwariów z rybkami, terrariów z owadami, pojemników wypełnionych kiełkującymi ziarnami i mnóstwem ekranów kontrolnych, przypominało ogród.

– Cykl gazowo-roślinno-zwierzęcy jest tak delikatny i słaby, że nawet najdrobniejsze zakłócenie od razu powoduje całkowite zachwianie równowagi. To obieg zamknięty. Gdy tylko nastąpi nadmiar lub niedobór jednego z czynników, wali się cały łańcuch życia. Na Ziemi „klatka” jest duża, potrzeba więc czasu, zanim będą widoczne zmiany, ale tu...

Pod tarasem zdążyła się już zebrać grupka manifestantów domagających się lepszego powietrza.

– Ależ oni są małoduszni – stwierdził Adrien, wpatrując się w zamyśleniu w ekran.

– Manifestują w sprawie jakości powietrza, to słuszny powód – zauważył Yves. – Dobra, co możesz z tym zrobić?

Adrien rozłożył kartkę z jakąś listą.

– Nadmiar dwutlenku węgla? Rośliny wydalają go w nocy. Ich sen jest regulowany przez światło. Po prostu wydłużymy okres, kiedy świeci sztuczne słońce, żeby skrócić noc.

Yves przeglądał listy procentowej ilości składników chemicznych.

– To wystarczy?

– Oczywiście. Równowaga jest krucha, ale wrażliwa, wystarczy drobna zmiana, żeby uzyskać wyraźny skutek. Obwieść, że wszystko się ułoży...

– Obwieszczenie? Dlaczego?

– Już mówiłem: to wrażliwa równowaga. Kiedy ludzie są nerwowi, oddychają szybciej i

wydalają więcej dwutlenku węgla. Przy stu czterdziestu czterech tysiącach pasażerów różnica jest naprawdę widoczna. Już samo westchnienie ulgi, które wydadzą, kiedy im powiesz, że wszystko się ułoży, powinno spowodować zmianę atmosfery wewnętrznej.

Wynalazca nie był pewien, czy to żart, ale czuł jednocześnie przerażenie i zachwyt, że równie łatwo wywołać wypadek i panikę, jak powstrzymać ją za pomocą uspokajających słów i krótszych nocy.

Kiedy tylko Yves wygłosił krótkie oświadczenie, transmitowane na żywo przez miejscową telewizję i indywidualne odbiorniki, udał się do psychobiologa.

– Głupio byłoby ponieść klęskę z powodu wewnętrznego zanieczyszczenia, skoro uciekliśmy przez zanieczyszczeniem ziemskim!

Adrien miał wzrok utkwiony w następny ekran, na którym pokazywano reportaż nakręcony przez ziemską telewizję na temat galopującego trzebienia lasów i upustynnienia.

– Jaki gatunek okazał się ostatecznie najbardziej zdolny do przystosowania w twoim eksperymencie „Akwarium 1”?

– O, na to pytanie mogę odpowiedzieć bez trudu i bez wahania: mrówki. Wszystkie duże i średnie zwierzęta wymarły w ciągu kilku miesięcy, tylko mrówki i częściowo tetmity przystosowały się do warunków eksperymentu.

Wynalazca nadal wpatrywał się w ekran telewizora, na którym pokazywano teraz manifestacje. Łobuzy w kominiarkach przewracały właśnie i podpalały samochody.

– Myślisz, że oni... dadzą radę?

– O kim mówisz?

– O Ziemianach. Wygląda na to, że ogarnęła ich jakaś gorączka samozniszczenia.

– Ponieważ wszelkie zjawiska ulegają, jak sam powiedziałeś, rozmyciu w przestrzeni, oni są mniej przerażeni i reagują wolniej niż my. Poza tym nie mogą ani skracać nocy, ani wydać planetarnego „uff!”, które byłoby w stanie wpłynąć na atmosferę...

Na monitorze pojawił się właśnie mężczyzna, którego przedstawiono jako seryjnego mordercę, mającego na sumieniu gwałty, torturowanie i zabójstwa pięćdziesięciu turystek podróżujących z nim autostopem. Mężczyzna, który uśmiechał się przez cały czas, gdy dwóch policjantów zakuwało go w kajdanki, przesłał całusa w kierunku kamery.

Następnie pokazano jego prywatną salę tortur, w której znajdowało się mnóstwo przerażających przyrządów.

– Hm... – rzekł Adrien Weiss. – Może powinniśmy pomyśleć o tym, żeby nie pokazywać całych wiadomości, bo mogą tam być szokujące obrazy.

– Motylanie są zafascynowani tym dziennikiem. To przypomina trochę przystawanie na drodze, żeby obejrzeć wypadek.

– Trzeba wytepić tę chorobliwą skłonność, która ciągle jeszcze występuje u stu czterdziestu czterech tysięcy, inaczej będziemy mieli kłopoty.

Yves pomyślał o Elodie, próbując sobie wyobrazić świat, w którym nie byłoby ani jednego obrazu przemocy, bez względu na to, czy należałby on do rzeczywistości czy też do fikcji.

Podczas gdy jakiś dziennikarz wypytywał seryjnego mordercę o technikę uśmiercania turystek, na ekranie widniała jego radosna twarz.

– Uważasz, że mamy wrodzoną skłonność do przemocy, zapisaną w genach? – zapytał psychologa Yves.

– Nie wiem. Ale uważam, że doświadczenie z *Gwiezdnym Motylem* pozwoli nam się o tym przekonać. Czy bez uwarunkowania do przemocy człowiek staje się do niej zdolny? To dobre pytanie...

Yves wyjął mały notesik.

– Twierdzisz, że w akwarium zwyciężyły mrówki, co oznacza, że za wiele lat to one zostaną zwycięskimi zwierzętami przyszłości.

– Przeżyły nawet promieniowanie po wybuchach bomb atomowych. Chronią je pancerz i podziemny tryb życia.

– A teraz, w cylindrze?

Adrien włączył monitor, na którym widniały tabele przedstawiające w procentach występowanie każdego gatunku zwierząt w cylindrze. Mógł w ten sposób stwierdzić, które gatunki wkrótce wyginą, a które się rozmnożą.

– Mrówki ciągle prowadzą.

– Doskonale, a więc to samowystarczalne społeczeństwo. Może powinniśmy brać u nich lekcje, żeby stworzyć zgodną wspólnotę.

Przeglądając tabelę wyników, psychobiolog zaniepokoił się nagle.

– Mrówki prowadzą, ale szczury też.

– Szczury? Wpuściłeś szczury do cylindra?

– Oczywiście. To znakomici czyściciele. Jedzą wszystko, są niezbędne w procesie rozkładu wielu typów białek. Zresztą tak samo jak mrówki, które są wszystkożerne i wszechobecne.

Wynalazca wyłączył telewizor nadający ziemski program, żeby przetrwać tę informację.

– Mrówki i szczury...

– To dwie naturalne tendencje ewolucji zwierząt społecznych. Solidarność mrówek lub egoizm szczurów. Ludzie znajdują się pośrodku. Prawo przymierza albo prawo silniejszego. Prawo mrówek albo prawo szczurów.

46. DAĆ SOBIE CZAS NA OBSERWACJĘ SUBSTRATU

Krzętały się. Przenosiły jedzenie. Kopały w ziemi. Yves Kramer wpatrywał się w probówkę z mrówkami w środku.

„Ten cylinder także jest probówką. W dosłownym sensie miejscem «próby» – pomyślał. – Nie przeprowadzamy eksperymentu rewolucji, tylko eksperyment ewolucji gatunku w probówce trzydziestodwukilometrowej długości... „

Obrócił przedmiot, chcąc się przekonać, czy mrówki także zmieniają kierunek.

„Ten cylinder jest jak kocioł, atanor, w którym przeprowadza się eksperyment z nową, dojrzałą ludzkością. «Kamień filozoficzny ludzkości». Ludzkość światła. Jesteśmy gąsienicami, wkrótce przemienimy się w motyle, w następnym etapie zaś staniemy się świetlnymi motylami, które posiadają wewnątrz własne źródło światła. Świetlikami?”.

Zanotował swoje pomysły.

Po rozmowie z Adrienem Yves zainstalował we własnym domu mrowisko w akwarium długości jednego metra i często je obserwował. Zachęcił Jocelyne, żeby również im się przyglądała, po czym wyjaśnił, że należy pomyśleć o ukierunkowaniu społeczności cylindra na system społeczny przypominający raczej system mrówek niż szczurów.

– Przyjrzałem się im dokładnie. Nie wszystkie mrówki pracują. Jedna trzecia odpoczywa, jedna trzecia wykonuje zajęcia niepotrzebne i jedna trzecia pracuje wydajnie. Ta ostatnia część koryguje błędy i sprawia, że miasto funkcjonuje.

Jocelyne popatrzyła na mrówki, czując w pierwszej chwili wstręt na widok tych rojących się owadów.

– Myślę, że można by zastosować taki sam podział w stosunku do społeczności Motylan – powiedział.

Po krótkim wahaniu Jocelyne pozwoliła się poprowadzić naturze, jak proponował Yves, i również zainstalowała u siebie w domu mrowisko długości jednego metra.

Z obserwacji tego zwierzęcego miasta wyciągnęła wnioski, jak zarządzać miastem ludzkim.

I rzeczywiście, jedna trzecia, która pracowała, potrafiła wyprodukować żywność i domy dla wszystkich.

Następnie, kierując się logiką, Jocelyne ustanowiła system zmianowy. Nie pracowali ciągle ci sami. Zmieniali się co miesiąc. Ci, którzy pracowali wcześniej, teraz odpoczywali lub zajmowali się czym innym. I tak dalej.

Zasadę trzech części zastosowano również w produkcji.

Jedna trzecia w rolnictwie.

Jedna trzecia w przemyśle.

Jedna trzecia w twórczości artystycznej.

W Raju nie było pieniędzy. Nie było także administracji ani ustanowionych szefów czy ich zastępców. Przy określonych przedsięwzięciach pojawiali się spontaniczni przywódcy, którzy z powrotem stawali się anonimowi tuż po ich zrealizowaniu. Dopóty, dopóki kolejne przedsięwzięcie tego typu nie wymagało ich doświadczenia czy wyjątkowej charyzmy.

Na potrzeby ogółu Jocelyne wprowadziła hasło: „Nie ma wydajności bez gorliwości”.

Do niewdzięcznych, lecz niezbędnych zajęć, takich jak sprzątanie domów czy niektóre wyczerpujące prace w polu, opracowała system losowania, aby wszyscy mieli równe szanse.

Wówczas Yves Kramer zrobił coś, na co dawno już sobie nie pozwalał. Udał się na spacer. Przepełniony lękiem o start, miłością do Elisabeth, następnie zajęty ojcowskimi obowiązkami, które zmuszały go do wstawania w nocy, żeby przygotowywać butelki z mlekiem i śpiewać kołysanki noworodkowi, nigdy nie pomyślał o tym, żeby obejrzeć swoje dzieło. Ciągle krążył tylko między oknem *Motyła* a domem na palach, pokonując drogę na drewnianym rowerze. Kochał ten cichy świat szybkiego ruchu.

Postanowił więc przejść się po okolicznych wsiach, aby obejrzeć zakątki, których nie miał zwyczaju odwiedzać.

Zaczął od samego Miasta Raju. Wzdłuż niewybrukowanych ulic stały niewielkie trzypiętrowe domy z drewna, w różnym stylu, otoczone ogródkami, w których rosły kwiaty, warzywa i owoce.

Przy pomocy swojej towarzyszkii Adrien Weiss opracował ekologiczny dom funkcjonujący w obiegu zamkniętym, gdzie śmieci i ścieki służyły jako kompost dla roślin, a w wyniku ich fermentacji powstawał metan wykorzystywany do prądnic, które zapewniały domowi prąd.

Na peryferiach wioski znajdowały się place budowy, gdzie każdy pracował w swoim rytmie. Mieszkańcy pomagali sobie wzajemnie przy wznoszeniu domów. Uwagi wynalazcy nie uszła też motylańska moda, która narodziła się zupełnie spontanicznie. Noszono ubrania w żywych kolorach: czerwonym, niebieskim, żółtym, zielonym. Barwy fukcji, fiołkowo-różowe i złote, były bardzo w cenie. Rzadko zdarzał się ktoś ubrany na czarno, biało czy w kolory pastelowe.

Tak jakby każdy chciał mieć pewność, że zostanie zauważony. Na tkaninach występował często motyw kwiatów, ptaków, ryb.

Moda w cylindrze obejmowała także dość sporą biżuterię przedstawiającą motyle w różnych formach.

Komik Gilles napisał nawet skecz na ten temat. Otóż twierdził, że mężczyźni ze statku kosmicznego uważają się za motyle, a kobiety za kwiaty. I że w ciągu tysiąca lat zjawisko to może wywołać mutację gatunku. Pojawią się wówczas mężczyźni-motyle, którzy będą spijać nektar z kobiet-kwiatów.

Podniósłszy z ziemi jabłko, które spadło z nieba, Yves wbił w nie zęby, natychmiast musiał je jednak wypluć, ponieważ było robaczywe. Zapomniał o tej drobnej niedogodności przyrody, polegającej na tym, że jej owoce nie są przeznaczone wyłącznie dla istot ludzkich. Po spożywaniu przez całe życie napromieniowanych, pokrytych pestycydami jabłek zaczął wierzyć, że jabłka nie mają robaków i nie gniją.

Obejrzał uważnie owoc, odrzucił część zamieszkaną przez robaki i zjadł resztę.

Nagle z jednego z domów dobiegł dźwięk strojonej harfy.

Yves odetchnął głęboko, napawając się zapachami typowymi dla Miasta Raju.

Mijając sklep zielarski, poczuł zapach tymianku, szaławii i cząbrku. Doszli przynajmniej do tego, żeby nie zależeć więcej od lekarstw, tylko kurować się roślinami rosnącymi w cylindrze. Do przeprowadzania trudniejszych zabiegów, tych z dziedziny stomatologii i chirurgii, urządzono mały szpitalik.

Na widok pędzącego po ulicy szczura Yves pomyślał przez chwilę, że odtworzył stary świat, natychmiast jednak zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że z obu światów, starego i nowego, wzięli to co najlepsze.

Z piekarni unosił się aromat gorącego chleba. Tutaj chleb stawał się twardy w ciągu jednego dnia. Jak dawniej. Kuźnia wydzielala zapach żaru i żelaza i chyba tylko nad garbarnią

krażyły mniej przyjemne wyziewy. Podążał w górę rzeki tak czystej, że dało się zobaczyć pstrągi i żaby przemykające wśród włóknistych wodorostów, które pojawiły się samoistnie po starcie statku.

Wzdłuż rzeki można było dostrzec najróżniejsze przejawy życia. Pachniało lawendą. Jedne kobiety prały bieliznę, inne tkwały na wielkich krosnach. W Mieście Raju mieli teraz wystarczająco dużo jedwabników, żeby produkować własny jedwab, który artyści chętnie malowali na jaskrawe kolory.

Na polu jakiś mężczyzna, zmęczony zanurzeniem w ziemi lemiesza od pługa ciągniętego przez wołu, został zastąpiony przez przyjaciela, który podał mu właśnie manierkę, żeby mógł się napić. Mężczyzna usiadł z boku i zabrał się do czytania jednej z książek, które zapełniały ogromną bibliotekę na statku.

„Piękny świat dla Elodie, dziecka gwiazd” – pomyślał.

Idąc przez las, stwierdził, że Adrien musiał wpuścić do cylindra nowe gatunki zwierząt, wśród gałęzi drzew dostrzegł bowiem wiewiórki, na korze jaszczurki, motyle i oczywiście mrówki taszczące na zmianę obcięte liście, które zanosily w łapkach aż do kopców z gałązek.

Wówczas przypomniał sobie zdanie wypowiedziane przez Adriena:

„W odległej przyszłości ludzkość będzie musiała dokonać wyboru między życiem na podobieństwo szczurów a życiem na podobieństwo mrówek”.

Kiedy mijające go na drewnianych rowerach długowłose dziewczynki pomachały mu na powitanie, także je pozdrowił.

Nieco dalej pole słoneczników przyciągało chmary pszczół, które również się zmieniały, żeby zapylać kwiaty i robić miód.

Yves Kramer doskonale pamiętał, jak po raz pierwszy skosztował słynnego miodu „wykonanego w Raju”. Miał inny smak niż ten, który znał. W rzeczywistości smakował gorzej, ale to był „ich” miód.

Zerwał słonecznik i powąchał. Kwiat ten od początku wskazywał mu rozwiązanie.

„Odwracać się ku światłu”.

Wszedł na wzgórze, gdzie rzeka miała swoje źródło, stamtąd zaś mógł podziwiać panoramę Miasta Raju.

„Jest tak samo dobrze jak na Ziemi” – pomyślał.

Podążając wzrokiem za małym maskonurem, spojrzął w górę, aż na cylindryczne słońce,

a nawet poza niebo.

Wówczas spostrzegł następne pole słoneczników, ale odwrócone do góry nogami. Następny las do góry nogami. Następnych ludzi, którzy jechali na drewnianych rowerach, nie zwracając nań najmniejszej uwagi, i którym wcale nie opadały włosy.

„Jest lepiej niż na Ziemi”.

Nawet nie tęsknił za wiatrem ani za prawdziwym Słońcem.

Odsunął na bok przeszłość. Nie lękał się już przyszłości. Osiągał właśnie tę idealną, poszerzoną teraźniejszość. Wtem czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu. Obejrzał się.

Był to komik Gilles.

– I co, szefie, zwiedzamy więzienie i machamy skazańcom na powitanie?

– Dzień dobry, Gilles. Odprężasz się? – zapytał, wskazując butelkę z alkoholem, którą komik trzymał w ręce.

– Robienie za błazna to wyczerpująca praca, trzeba więc czasem trochę odpocząć.

– Jesteś tutaj szczęśliwy?

– Chce pan prawdy? Nie. Jak dla turysty, może być. Żarcie jest dobre, dziewczyny milutkie i mają „otwarte umysły”. Ale jako komik się nudzę. Tak naprawdę nie mogę się z pana śmiać – jest pan za mało karykaturalny. Nie ma dość kryzysowych sytuacji, żebym mógł rozwinąć cały mój dowcip. W rzeczywistości wszystko idzie aż za dobrze. My, komicy, jesteśmy po to, żeby stanowić przeciwwagę dla lęku, ale skoro nie ma lęku, na co możemy się przydać? Żywo! Dajcie jakąś porządną wojnę, żebyśmy się pośmiali i żebym poczuł się potrzebny.

Yves zmarszczył brwi, po chwili jednak pojął, że to żart. Pełen wątpliwości, roześmiał się z przymusem. Odpowiedziawszy mu kuksańcem, Gilles oddalił się do pobliskiego lasu.

Wynalazca pozostał na szczycie wzgórza przez cały dzień, aby podziwiać postępujący stopniowo zachód sztucznego słońca, któremu towarzyszyło pojawienie się pierwszych świetlików. Powiedział sobie, że dla większego autentyzmu brakuje tylko porannej rosy.

Chwilowo na centralnym neonie gromadziła się tylko odrobina pary, która zaczęła się skraplać.

47. RYZYKO KARMELIZACJI

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Od samego rana na rynku Caroline prowadziła gimnastykę grupową. W takt rytmicznej muzyki wykonywała ruchy mające na celu wzmocnienie wszystkich mięśni oraz regulację oddechu i rytmu serca.

Yves Kramer usiłował dosyć nieudolnie ją naśladować, ale raczej bez powodzenia.

Nagle zaczęło mrugać czerwone światelko i włączyła się syrena alarmowa. Ostatni raz wyła wtedy, gdy zaklinował się żagiel, stawiając start pod znakiem zapytania.

Na ekranie telewizora ukazała się pogrążona w smutku twarz Jocelyne, aby ogłosić straszną wiadomość.

W Mieście Raju doszło do zbrodni.

Yves wsiadł na rower i popędził do ratusza, gdzie siedzieli już w głównej sali Gabriel Mac Namarra, Adrien Weiss i Jocelyne Perez.

– To było zbyt piękne, żeby mogło trwać zbyt długo – stwierdził z goryczą Gabriel. Ktoś nie wytrzymał.

Gdy zasięgnęli języka, okazało się, że to sprawa uczuciowa. Zdradzany mąż, podpiwszy sobie, odnalazł w alkoholu dość siły, żeby chwycić za kuchenny nóż i dźgnąć swoją byłą konkubinę.

– Alkohol i zazdrość wystarczyły, żeby zburzyć spokój w rajku – stwierdziła Jocelyne, która sprawiała wrażenie najbardziej poruszonej tym wydarzeniem.

Tak oto brak dostępu motylańskiej społeczności do broni okazał się za małą przeszkodą, aby zapobiec zbrodni. Zwykły nóż kuchenny wystarczył, by popełnić coś nieodwracalnego.

– Chyba nie skonfiskujemy wszystkich ostrych noży i nie zastąpimy ich nożykami o zaokrąglonych czubkach, jak dla dzieci...

Yves Kramer przypomniał sobie słowa swojego ojca, Jules'a:

„Miłość nie jest drogą, którą należy podążać. Człowiek może zabić z miłości, może dopuścić się niecných czynów w imię kochania. Jedyna droga, jaką trzeba podążać, to światło”.

– Co zrobić z winowajcą? Wsadzić do więzienia? Zabić? Wybaczyć w imię powszechnego spokoju?

– Jak to się stało, że nie wykluczyliśmy niszczycielskiego potencjału u tego faceta podczas rekrutacji? – zapytał Mac Namarra.

– To czarujący, pracowity i pełen zapału facet, który od samego początku podróży zachowywał się całkowicie zgodnie z regułami życia społecznego. Poza tym posiada szczególne uzdolnienia.

– To piekarz – dodał Adrien Weiss. – I to nie byle jaki, ale najlepszy piekarz w Mieście Raju.

Na myśl o wybornych rogalikach, którymi zajadał się każdego ranka, Yves doznał jeszcze większego zawodu. Gdyby usunęli piekarza poza nawias, musiałyby jeść gorsze rogaliki.

– Tylko tego brakowało... Mówiłem, że najtrudniejszy do opanowania jest czynnik ludzki. Do licha ciężkiego, dlaczego? Dlaczego!?

Nie mogąc się powstrzymać, porwał ze stołu szklanę z wodą i rąbnął nią z całej siły o ścianę, aż roztrzaskała się w drobny mak.

Kiedy złość mu minęła, wszyscy popatrzyli po sobie z niepokojem.

– Musimy dać przykład! – oświadczył. – Żeby to się więcej nie powtórzyło. Gdzie jest teraz ten piekarz?

– Siedzi zamknięty w domu. I płacze.

– Nie możemy go wypuścić na wolność i mu przebaczyć. To by oznaczało, że w Mieście Raju można bezkarnie mordować.

– Ani go zabić, bo to by oznaczało, że wyznajemy zasadę „oko za oko, ząb za ząb”. – Może moglibyśmy go zmusić, żeby pracował więcej, na przykład w nocy? – zaproponował pojednawczo Yves.

Zaraz jednak ugryzł się w język, pojawiając, że palnął głupstwo, bo przecież piekarze i tak rozpoczynają pracę przed wschodem słońca.

Jocelyne Perez wpadła na pomysł powołania sądu ludowego. Dwunastu osób wyłonionych w losowaniu.

Tak też zrobili. Proces był szybki, gdyż nikt nie wiedział, od której strony ugryźć problem. Trybunał głosował za karą więzienia. Motylanie musieli czym prędzej zbudować jakieś miejsce odosobnienia, w którym można by zamknąć skazańca.

Ta pierwsza zbrodnia zburzyła jednak przeświadczenie o zbiorowej niewinności. Była to pierwsza czarna plama na nieskazitelnie białej powierzchni.

Wieczorami przebywający w więzieniu piekarz wykrzykiwał czasem imię zamordowanej nieboszczki. – Kochałem cię, Lucindo! Kochałem cię!

Jocelyne Perez odwiedziła Yves'a Kramera akurat wtedy, gdy karmił z butelki Elodie.

– Teraz znów staliśmy się społeczeństwem ludzkim, takim jak inne. Jestem tak bardzo zawiedziona. Wystarczył jeden kretyn, żeby wszystko schrzanić.

– Nie. To wspaniałe.

– Zbrodnia jest wspaniała?

– A czego się pani spodziewała? Stu czterdziestu czterech tysięcy świętych? To wspaniałe, że nie mieliśmy kłopotów wcześniej. Pozostaje pytanie: jak osiągnąć sprawiedliwość, nie wywołując jednocześnie niechęci?

Jocelyne Perez nie potrafiła pojąć, dokąd zmierza wynalazca.

– Naprawdę wierzyła pani w podróż, która trwałaby tysiąc lat bez ani jednej zbrodni? – zapytał.

– Chyba nie powinniśmy byli pozwolić na zabranie alkoholu. Przecież zakazaliśmy go przed wylotem.

– Produkują własny sok z owoców, żeby otrzymać z niego pokątnie alkohol przez destylację. To normalne. Od czasu do czasu muszą się odstresować. Nawet zwierzęta mają swój „odprężacz”.

Mówiąc to, pokazał na Domino, który zjadał właśnie kocimiętkę i wydawał się pijany ze szczęścia.

– Powinniśmy byli ogłosić całkowity zakaz – upierała się Jocelyne.

– Wtedy znaleźliby coś innego. Paliliby trawę, liany, konopie.

– Tego też zabronimy.

Yves oparł córeczkę na swoim ramieniu, żeby jej się odbiło, po czym położył ją w łóżeczku.

Jocelyne Perez przyglądała się gaworzącemu niemowlęciu.

– Dla pełnego spokoju powinniśmy zakazać mnóstwa rzeczy. Tylko że wtedy wkroczylibyśmy w dyktaturę. Na dodatek sprawilibyśmy, że staliby się dziećmi. Nie tak wyobrażam sobie *homo stellaris* przyszłości.

– Na litość boską! – zawołała Jocelyne. – Dlaczego oni nie potrafią się zachować? Myślałam, że zostali odpowiednio dobrani.

– Nie ma co liczyć na cuda. Mimo najlepszego nawet castingu to tylko ludzie, za nimi zaś są miliony lat zbrodni. Mamy to we krwi, nie da się tego tak łatwo wymazać.

Do pokoju weszła właśnie Elisabeth Malory, wyczerpana koniecznością wyminięcia asteroidy i naprowadzenia statku z powrotem na właściwy kurs. Niemowlę natychmiast zaczęło gaworzyć inaczej, przyzywając mamę, oraz otwierać i zaciskać dłonie.

– Co proponujesz, Jocelyne? – zapytała żeglarka, od razu włączając się do rozmowy.

– Uważam, że najwyższy czas jasno przedstawić reguły gry, które do tej pory były przemilczane. Rozumie się samo przez się, że lepiej powiedzieć to głośno.

Mała Elodie została wyjęta z łóżeczka, wzięta na ręce, ucałowana i wyściskana przez matkę.

– Będziemy musieli stworzyć konstytucję. Nazwać po imieniu to, co zakazane. Określić sankcje za każdą zbrodnię i każde przestępstwo.

– Sankcje? A kto będzie je nakładał?

– Policja. Potrzeba nam policji. Nie możemy dłużej ponosić ryzyka trzymania ludzi w ryzach tylko za pomocą entuzjazmu. Trzeba dodać do tego strach przed karą, inaczej wszystko się zawali, kiedy zaś nastąpi koniec niewinności, stoczymy się powoli w barbarzyństwo.

Elisabeth Malory, całując dzidziusia, jakby chciała go naładować miłością, odwróciła się ku nim.

– Czego się spodziewałaś, Jocelyne? Że będziemy się do siebie uśmiechać bez najmniejszego zgrzytu przez tysiąc lat?

– Miałam taką nadzieję. Oczywiście licząc na poczucie obywatelskie każdego z nas, łudziłam się, że bez pieniędzy, bez własności prywatnej, bez instytucji małżeństwa, bez alkoholu, bez podatków i bez rządu nam się uda.

– Najwyższy czas... Miałam zamiar powiedzieć: „wrócić na ziemię”, ale powiedzmy raczej: „wrócić do rzeczywistości”. Jesteśmy tylko istotami ludzkimi.

Elodie znów zaczęła gaworzyć. Wszyscy troje popatrzyli po sobie, lecz Elisabeth ucięła:

– To dziecko gwiazd, ale jego pokolenie nie zdobyło jeszcze przewagi liczebnej. Jesteśmy przede wszystkim „Starymi z Ziemi”, a nie „Nowymi z Kosmosu”.

Jocelyne zrobiła zawiedzioną minę. – Trzeba powołać Zgromadzenie Mędrców, żeby zredagować konstytucję. Nie damy rady tego zrobić w pięcioro.

Położywszy dziecko do łóżeczka, Elisabeth zaproponowała Jocelyne bez zastanowienia

kieliszek alkoholu, pani burmistrz jednak stanowczo odmówiła.

– A więc Zgromadzenie Ustawodawcze Mędrców. Co jeszcze? – zapytał wynalazca.

– Trzeba zbudować więcej cel więziennych. Może sto. Będą następne zbrodnie.

Yves wypowiedział w zamyśleniu zdanie, którego wolałby nigdy nie mówić:

– Czy sam fakt istnienia pustych cel nie zachęca do tego, żeby je zapełnić... – Ugryzł się w język. – Mam wrażenie, że kroczę starą ścieżką, która zawsze wiodła donikąd. Czy nie ma innego wyjścia?

– To zło konieczne, ale mniejsze zło. Gorzej by było, gdyby istniały zbrodnie bezkarne, bo wtedy zmierzalibyśmy ku anarchii – ostrzegła Elisabeth.

– Byłem anarchistą. Zawsze marzyłem o świecie bez policji i rządu – odrzekł Yves.

– To utopia. W rzeczywistości prawna próżnia sprzyja oszustom i drobnym gangsterom, którzy widząc, że nie ma żadnych sankcji, narzucają przemocą własne reguły – przypomniała mu jego towarzyszką.

– A zatem będziemy musieli utworzyć „rząd”.

Wymówił to słowo tak, jakby wymieniał nazwę jakiejś obrzydliwej potrawy.

– Nie widzę innej możliwości – przytaknęła Jocelyne Perez.

Yves Kramer uderzył pięścią w bambusową ścianę.

– Dlaczego zawsze musimy powielać te same schematy?

– Człowieka nie da się tak łatwo zmienić – odparła Elisabeth, kołysząc córeczkę.

– Wszyscy przejęliśmy od innych paranoiczny *system* postrzegania. Rodzice, szkoła, miejsce pracy i telewizja urabiały nas przez całą naszą młodość. Niełatwo się z tego wyzwolić. Nawet wieloletnia podróż w kosmos nie może zmienić tak głębokiego programowania. Chyba że zrobilibyśmy Motyłanom pranie mózgu, aby zapomnieli. Aby stali się czysti, wolni od przemocy, którą widzieli i której zaznali. Aby w niczyjej pamięci nie pozostał ani jeden klaps otrzymany w dzieciństwie. Ani jeden strach przed ciemnością czy przed wilkami.

– Ja wierzę w następne pokolenie – zapewniła Elisabeth, całując Elodie. – Trzeba być cierpliwym. Co do nich, spróbujemy ich tak zaprogramować, żeby nabrali ochoty do szczęścia.

– To nie będzie proste – przyznał Yves. – Jeśli bowiem dobrze zrozumiałem, wystarczy jedna czarna owca zarażona wirusem przemocy, żeby zakazić całe stado.

Jocelyne Perez nałapała sobie w końcu kieliszek alkoholu i wypła jednym haustem.

– Właśnie to sprawia, że nasze przedsięwzięcie jest unikatowe. Po raz pierwszy mamy

możliwość spróbować zmienić stare zasady. Ale w tym celu musimy na początek zachować kilka z nich. Należą do nich konstytucja i prawo. A także rząd i policja. Trzeba poczekać, aż wszyscy staniemy się doskonali i będziemy umieli żyć bez przywódców.

48. ROZKŁAD

Pogrzeb żony piekarza odbył się na odsłoniętym płaskowyzu, który Jocelyne określiła mianem cmentarza.

Zgodnie z sugestią Adriena Weissa, jak zawsze troszczącego się o ekosystem cylindra, ciało młodej kobiety nie zostało ubrane, lecz złożone nago, wprost do wykopanego w ziemi dołu, aby mogło ulec recyklingowi za pośrednictwem robaków, a więc tym samym integracji z „przyrodą” cylindra.

Kiedy zwłoki zasypywano piaskiem, obecny przy pochówku tłum zaintonował spontanicznie pieśń żałobną.

Pieśń ta nie miała słów.

Była to po prostu melopeja, która narastała bez końca i stawała się coraz głośniejsza.

Na grobie, znów za namową psychobiologa, posadzono gruszę. Zamiast mowy pogrzebowej Adrien Weiss oświadczył:

– Niechaj te mikroelementy nakarmią ziemię, piasek zaś niechaj nakarmi soki drzewa. Później zaś niechaj z tych zwłok wyrosnie życie pod postacią owoców, które każdy będzie mógł jeść. W ten sposób jej pamięć pozostanie na zawsze w naszych komórkach.

Następnie podlano drzewko, po czym tłum się rozszedł.

49. NAKŁUĆ SKORUPE, ŻEBY USZŁA PARA

Temperatura wzrosła.

Kwestia wyregulowania termostatu i słońca. Napięcie społeczne także wzrosło.

Pierwsza zbrodnia pociągnęła za sobą pierwsze więzienie, pierwszy sąd, pierwszy komentarz, pierwszą policję, pierwszy rząd, pierwsze zgromadzenie, pierwszą konstytucję.

– „Tak oto chaos rodzi porządek” – upierał się Adrien.

Nie wszyscy jednak podzielali jego zdanie.

Elisabeth, stojąca samotnie za sterem *Gwiezdnego Motyla*, wiedziała, że Yves jest głęboko rozczarowany.

Początkowa harmonia uległa zakłóceniu.

Jego marzenie zostało zbrukane.

Zapatrzona w dal żeglarka nie odrywała wzroku od trzech światełek.

Trzymała kurs na trójkąt.

Bez zastanowienia musnęła dłonią metalową tabliczkę, pod którą kryła się nazwa tajemniczego miejsca przeznaczenia, obcej planety, nadającej się prawdopodobnie do życia, dokąd ich potomkowie dotrą pewnego dnia.

Skierowała wzrok w lewo, gdzie umieszczona w kokpicie mała Elodie spała głęboko, ściskając w rączkach szmacianą lalkę. Dziecko gwiazd przepelnione obietnicami lepszej przyszłości.

Pocałowała ją w czoło.

Elisabeth pamiętała doskonale. Nie została samotną żeglarką przypadkowo.

Ona także uciekała przed ciemnościami dnia, by wyruszyć ku światłom nocy.

Przez głowę przewijały się powracające obrazki z dzieciństwa.

Wspomnienie pijanego ojca bijącego matkę. „Nie, nie przy małej, chodźmy do sypialni, żeby nas nie widziała!” – wołała matka.

„Myśli są w stanie wymazać przeszłość, wystarczy sobie wyobrazić, że przeszłość to taśma magnetyczna, którą się kasuje”

– nauczył ją jej partner.

Żeglarka zamknęła oczy i wymazała. Musiała powtarzać ten zabieg wielokrotnie, pocierając wymaginowaną gąbką nasączoną octem.

„To się już stało. Nie mogę wrócić w przeszłość, ale mogę uśmierzyć ból związany z tymi wspomnieniami” – powiedziała sobie.

Yves zapewnił ją, że kiedy wymazuje jakąś chwilę z dawnego życia, to tak jakby wszechświat znał i urzeczywistniał na nowo jej historię.

„Gwiazdy są oczami wszechświata, wszechświat zaś przygląda się nam z zaciekawieniem”.

Wkrótce pojawiły się kolejne obrazy. Jej pogrążona w depresji, zapłakana matka.

– Proszę wziąć te pigułki, to pani pomoże zasnąć. I na razie proszę nie wychodzić, lepiej zostać w domu – radził lekarz. Wymazanie.

Obrazy pierwszych kar w szkole.

– Elisabeth, dostałaś trzy punkty na dwadzieścia możliwych, za mało pracujesz, w ten sposób do niczego nie dojdiesz – powtarzał jej nauczyciel w gimnazjum.

Obrazy martwego ciała ojca, które układają w trumnie.

– Nie cierpiał, w każdym razie pod koniec nie powiedział ani słowa, siedział bez ruchu ze wzrokiem zapatrzonym w pustkę: nawet kiedy robiono mu zastrzyki, wyglądał, jakby nic nie czuł – zapewniała pielęgniarka, która towarzyszyła mu w ostatnich chwilach.

Obrazy kochanki ojca, która szeptała mu do ucha, żeby jej nikt nie usłyszał:

– Moim zdaniem twoja córka za często jest z nami. Nie uważasz, że moglibyśmy kazać twojej byłej, aby ją brała częściej, żebyśmy mogli pojechać gdzieś w spokoju na weekend?

Elisabeth pojęła aluzję. Skoro jej nie chcą, nie będzie się narzucać, popłynie gdzieś daleko. Na ocean, gdzie nie słyhać słów, które ranią.

A potem kolejne obrazy...

Własnej przemocy. Zaznała jej i stosowała ją wobec innych. Mężczyzn, których porzuciła i którzy błagali ją, żeby wróciła.

– Przykro mi, musisz zrozumieć, że cię kocham, ale nie jestem w tobie zakochana.

Albo matki, którą odepchnęła.

– Mamo, mogę ci powiedzieć, że widząc, jak ci się „udało” w życiu, mam tylko jedno pragnienie: żeby mi się „nie udało”. Twój przykład mi pomógł. Zrozumiałam, że aby być

szczęśliwą, wystarczy postępować dokładnie odwrotnie niż ty.

Oczyrna duszy widziała żebraków, którzy prosili ją o pieniądze na ulicy, w metrze, na klatce schodowej.

– Litości, proszę pani, to na jedzenie, niechże pani wykona jeden gest.

– OK, oto pieniądze, ale wcale nie na jedzenie, tylko na picie. Na pańskim miejscu też bym piła – odparła.

Wymazywanie gąbką, potem strumieniem wody, następnie pumeksem, papierem ściernym, na koniec zaś dłutem albo młotkiem.

Kiedy Yves Kramer wszedł do kabiny pilota, jak zwykle pocałował ją w usta, ściszył muzykę i zaczął jej masować ramiona.

– O czym myślisz? – zapytał. – Masz nietęgą minę.

– O ziemskich żebrakach. Przynajmniej w cylindrze nie ma biedaków, nikogo, kto umierałby z głodu, nikogo, kto by się narkotyzował. Nie ma klasy bogaczy, którzy żyją w luksusie, ani klasy tych, którzy pozwalają się wyzyskiwać.

– Wszystkie bogactwa zostały rozdzielone po równo nie według zasług, tylko według potrzeb. To pomysł Jocelyne. Z powodu mrówek. Podobno wśród mrówek nie istnieje pojęcie wartości indywidualnej – każda dostaje to, co jest jej niezbędne do uczestnictwa we wspólnym wysiłku. Posiadają nawet specjalny drugi żołądek służący do karmienia tych, które są głodne. Jocelyne bez przerwy opowiada o swoim mrowisku. Mówi, że natura sama pokazuje nam drogę za pośrednictwem swoich najuniżeńszych przedstawicieli.

– Mrówek? Często im się przyglądałam u dziadków w ogrodzie – rzekła w zamyśleniu Elisabeth.

– Im się udało zbudować miasta bez policji.

– Dzięki motywacji wszystkich.

– Właśnie na tym należy się skupić. Na początkowym zapale. Żadne ustawy nie będą tak mocne jak on. Możemy sobie wymyślać wszelkie możliwe kary i nagrody, ale żadna z nich nie będzie równie skuteczna jak zbiorowe pragnienie, żeby projekt „Gwiazdny Motyl” odniósł sukces.

Nagle jeden z ekranów zaczął mrugać. W strefie analizowanej przez radioteleskopy pojawił się jakiś punkt oznaczony liczbą. Oboje wiedzieli, co to znaczy.

Asteroida.

– Hm... ta jest bardzo duża i bardzo szybka – zauważył Yves. Żeglarka zaczęła obracać ster, śledząc wskaźniki na ekranie.

Natychmiast też *Motyl* zaczął się huścić.

– Jest naprawdę szybki – przyznała Elisabeth. – Nigdy jeszcze nie widziałam nic równie prędkiego. Mimo to jeszcze przyspieszyliśmy, robimy dwa i pół miliona kilometrów na godzinę.

– Myślisz, że nam się uda?

Elisabeth włączyła silniki pomocnicze żagli, żeby wzmocnić manewr.

Motyl posuwał się jednak zbyt wolno, by zmienić kurs, asteroida zaś pędziła zbyt szybko. Skała otarła się o błonę z mylaru i przebiła ją niczym pocisk z karabinu wystrzelony w prześcieradło.

Ponieważ żagiel był przytwierdzony do skorupy przez giętki system wiązań, korpus i głowa motyla nie poczuły nawet uderzenia. Jednakże dzięki kamerom kontrolnym w złotym żaglu było widać dziurę.

– Czy co bardzo przeszkadza? – zapytała.

Spojrzawszy na ekrany, stwierdził, że właściwie nie utracili prędkości.

– Posiadanie skrzydeł wielkich jak kontynenty to zaleta, byle skała praktycznie nie ma żadnego wpływu na lot. Możemy ich zaliczyć jeszcze mnóstwo, zanim coś złego zacznie się dziać ze skrzydłami.

Nie zastanawiając się dłużej, Elisabeth obrała z powrotem kurs na trzy światła. Olbrzymi statek zachwiał się, mając napięte żagle, podczas gdy prawe skrzydło przepuszczało promień słońca przez dziurę.

Oboje potraktowali to wydarzenie jako przesłanie: przeszkody da się pokonać, o ile człowiek trzyma kurs.

50. UMIESZCZENIE W NASMAROWANEJ FORMIE

Tworzyli koliste rzędy niczym świece na torcie urodzinowym. Pierwsze wybory sześćdziesięciu czterech członków zgromadzenia wyłoniły lewicę, prawicę i centrum.

Prawica domagała się licznej policji, aby mieć pewność, że nie będzie więcej zbrodni.

Lewica domagała się całkowitej ufności w powszechną dobrą wolę, a co za tym idzie brak policji.

Centrum proponowało rozwiązanie pośrednie.

W wyniku pierwszych wyborów głosy zostały rozdzielone mniej więcej po równo.

W tym wypadku również potwierdziła się reguła trzech części. Lewica dysponowała słabą przewagą, co dowiodło, że większość ciągle jeszcze miała nadzieję, że wszystko ułoży się samo dzięki dobrej woli.

Większość stanowiły kobiety, tak jakby głosując na nie, Motylanie chcieli pokazać, że pragną się odciąć od ziemskich rządów, sprawowanych głównie przez mężczyzn. Albo że wierzą, że kobiety, które z woli natury noszą w sobie życie, są mniej skłonne do przemocy.

System rządzący dzielił się na trzy głowy.

Pierwszą z nich stanowili Założyciele.

Była to piątka twórców projektu: Yves, Gabriel, Adrien, Caroline i Elisabeth. To oni mieli być strażnikami ducha, jaki towarzyszył im podczas startu, i to zarówno w kwestii zarządzania statkiem, jak i w kwestii nawigacji.

Drugą głowę stanowiła władza wykonawcza, ucieleśniona przez Jocelyne, którą wkrótce zaczęła wspierać policja.

I wreszcie trzecią głowę stanowiła władza ustawodawcza, która miała uchwalać ogólne reguły życia.

Zgromadzenie sześćdziesięciu czterech uznało za swój obowiązek nakreślenie pierwszych zarysów konstytucji. Wydarzenie to transmitowała telewizja wewnętrzna, za którą odpowiadał Gilles, aby wszyscy mogli uczestniczyć w jej narodzinach.

Mędrcy zaczęli od najprostszych praw.

1. Zakaz zabijania.
2. Zakaz ranienia.
3. Zakaz gwałcenia.
4. Zakaz niszczenia cudzego dobra.
5. Zakaz kradzieży cudzego dobra.

Ponieważ istniały różnice poglądów na tematy takie, jak eutanazja, aborcja, karanie przestępców, postanowili zająć się nimi nazajutrz rano.

Tylko że właśnie nazajutrz rano wybuchł pierwszy bunt.

51. DYM W KOLORZE OCHRY

Tuż po starcie nastąpił pewien mały problem: tęsknota za rodzinną Ziemią.

Kiedy dopadało ich zmęczenie, niektórzy wypowiadali szeptem złowróżbne słowa: „Dawniej, na Ziemi, było jednak lepiej”.

W rzeczywistości każdemu przynajmniej raz przemknęło przez myśl coś takiego. Brakowało im wakacji nad morzem, wyjazdów na narty w wysokie góry albo obecności bliskiej osoby, która była teraz daleko. U jednych kryzysy objawiały się ostrzej niż u innych, Adrien wynalazł zaś termin na określenie tej nowej choroby.

„Ziemianica”. Zdaniem psychobiologa, był to rodzaj nerwicy.

Z chwilą gdy problem otrzymuje swoją nazwę, wydaje się mniej poważny.

Wspominanie skoków na spadochronie, wiatru przyjemnie owiewającego twarz czy deszczu na policzkach to była ziemianica. Pragnienie, by pędzić samochodem dwieście kilometrów na godzinę, strzelać z broni palnej albo nawet żal za metrem czy smrodem spalin to była ziemianica.

Nikomu jednak nie przyszło do głowy, że może to stanowić prawdziwy problem, aż do momentu, kiedy setka osób opanowała siłą siedzibę telewizji wewnętrznej.

Rankiem spiskowcy zaczęli siać propagandę na prywatnych monitorach i na wielkim ekranie ściennym umieszczonym w centrum Miasta Raju. Młoda kobieta wyglądająca na ich przywódczynię wzywała całą ludność cylindra do obalenia rządu i zawrócenia ku Ziemi.

Adrien Weiss pognał do stojącego na palach domu Elisabeth i Yves’a.

– Rozpoznaliście ją? – zapytał z przejęciem.

– Kogo?

– Tę dziewczynę, która przemawia w telewizji.

Yves przyjrzał się dokładnie. Zdążył wypowiedzieć jej imię przed Elisabeth:

– Satine Vanderbilt.

Przywódczyni spiskowców mówiła właśnie przed kamerą, że ona i grupa „oswobodzicieli” postanowili przerwać tę „ucieczkę przed siebie w próżnię” i wrócić na Ziemię. Wzywała do powszechnego powstania.

– Co ona tu robi? Jak udało się jej wsiąść na pokład niezauważenie? – zdziwił się Yves.

– Ufarbowała włosy, włożyła okulary i zmieniła nazwisko. Przemknęła się niepostrzeżenie w tłumie stu czterdziestu czterech tysięcy osób – odparła Elisabeth.

– Adrienie, nigdy nam nie powiedziałaś, dlaczego się rozstaliście.

– W tej chwili naszym największym zmartwieniem jest pytanie nie o to, „dlaczego”, ale „jak”. Jak nie dopuścić do tego, żeby „Ostatnią Nadzieję” trafił szlag.

Tłum w cylindrze zaczynał wrzeć. Ludzie zdążyli się już zgromadzić na rynku i rozprawiali na temat tego wydarzenia. Wkrótce nastąpiły pierwsze kłótnie. W ciągu zaledwie kilku minut, podczas gdy z ekranów telewizyjnych wylewała się propaganda Satine, wywiązała się bójka między dwoma przeciwstawnymi obozami: lojalistów i buntowników. Ponieważ nie ustanowiono jeszcze policji, nikt nie rozdzielał walczących.

Na progu domu pojawiła się Jocelyne.

– Chodźcie prędko, utworzyliśmy mały oddział uzbrojony w kije, spróbujemy odbić telewizję.

– Przykro mi, ale zostaję z małą – odrzekła Elisabeth.

– Ja idę – oświadczył Yves, chwytając za trzonek od miotły. Tymczasem na dole zebrali się już członkowie zgromadzenia wyposażeni w kije. Adrien stanął na czele pochodu, jakby zamierzał uregulować osobiste porachunki z szefową spiskowców.

W miarę jak zbliżali się do budynku telewizji, stojącego na wzniesieniu na północy miasta, zdali sobie sprawę z istnienia pola bitwy, które zdążyło powstać samoistnie.

Linie obrony telewizji tworzył dobry tysiąc ludzi. Rzucali w siebie kamieniami. Wtem między napastników i obrońców wdarła się jakaś grupa. W ruch poszły nogi, pięści, kije, młotki i wreszcie noże. Rozległy się okrzyki wściekłości. Okrzyki bólu.

Walczący wili się po podłożu albo zamierali bez ruchu. Yves spoglądał na ten widok w osłupieniu.

„A więc to, co zbudowaliśmy, jest takie kruche.

Oni właśnie wszystko niszczą z tęsknoty za starym światem”.

Tocząca się wokół wielka walka stawała się coraz bardziej zaciekle. Buntownicy zyskali przewagę. Zewsząd jednak przybywali ludzie na rowerach, można było zatem mieć nadzieję, że większość z nich będą stanowili lojaliści.

Nagle jeden ze spiskowców zawołał, wskazując palcem wynalazcę:

– Tam są!

Jocelyne, Adrien i Yves zostali natychmiast otoczeni przez wrogą grupę celującą w nich taką bronią, jaka wpadła im w ręce. Zacieśniali groźne koło.

Yves'a ogarnął strach. Chwyciwszy kij w obie dłonie, uniósł go nad głowę, gotów uderzyć. Jego przeciwnicy posuwali się naprzód powoli, w milczeniu, patrząc z determinacją. Wtem coś odwróciło ich uwagę. Oto przybywali właśnie z posiłkami Gabriel Mac Namarra i Gilles. Przemysłowiec wywijał drewnianym nunchakiem z zaskakującą zręcznością. Podążający obok Gilles trzymał przed sobą długą tyczkę.

Ciosom nunchaka często towarzyszył suchy świst i wrzask bólu.

Zrobiwszy wyłom w murze spiskowców, Gilles i Gabriel uwolnili przyjaciół.

– Trzeba przejąć kontrolę nad telewizją – oznajmił Gilles.

Wdrapali się na wzgórze, gdzie znajdował się budynek stacji.

Był to niewielki, raczej solidny dom z cegły.

– Z tyłu są drzwi – oświadczył komik – możemy wejść tamtędy i ich zaskoczyć.

Jocelyne dała znak członkom zgromadzenia, że nadszedł czas, żeby uprawomocnili swoją funkcję w rządzie, biorąc udział w obronie budynku.

Wkroczyło ich zatem do środka około pięćdziesięciu, uzbrojonych w kije, a niektórzy nawet w noże. Jednakże spiskowcy, których ktoś zdążył powiadomić, zdołali się już wymknąć po odłączeniu aparatury.

Gilles natychmiast uruchomił nadawanie, Jocelyne zaś stanęła twarzą do obiektywu i chwyciła za mikrofon.

– Posłuchajcie mnie wszyscy. To nie jest rewolucja. To tylko epidemiczna reakcja na zbiorową ziemianicę. Grupa spiskowców przypuściła atak na *Motyła* prawdopodobnie ze strachu przed nieznanym. To są „reakjoniści”.

Zdawała sobie sprawę, że słowo „rewolucja” posiada zabarwienie pozytywne. Należało zatem je zatrzeć, używając określenia „reakjonista”, które ma zabarwienie negatywne. Zastosował je już wcześniej Mac Namarra, nazywając w ten sposób ich przeciwników z przeszłości.

– Zachowajcie spokój, wkrótce wszędzie powinien zapanować porządek.

Yves, który zdążył już otworzyć okno, spostrzegł grupę spiskowców, liczącą co najmniej ze stu ludzi, pędzącą ku głowie *Motyła*. Po drodze dołączali do nich niezdecydowani, gdyż tłum zawsze chce się wypowiedzieć po stronie zwycięzców.

– Będą próbowali się wdrzeć do kokpitu! Prędko!

Zanim jednak lojaliści zdolali uformować oddział i ruszyć za nimi, spiskowcy zdążyli dotrzeć niemal do tarasu. Właśnie tam zatem, na dwóch rzędach ogromnych schodów wiodących na górę i tych prowadzących na dół, odbyła się wielka bitwa, podczas której starło się między sobą kilkaset osób. Dziwnie było przyglądać się walce, w której przeciwnicy znajdowali się na górze i na dole. Niektórzy rzucali kamieniami, te jednak przekroczywszy oś grawitacji, zamiast spadać, leciały dalej, trafiając w tych, co byli tuż nad nimi. Ciosy zadawane kijami bądź białą bronią powodowały poważne rany. Niektórzy padali i nie podnosili się więcej. Na białych stopniach widniała krew.

Gilles został na miejscu, żeby zagrzewać oddziały za pośrednictwem telewizji.

– Nie ma litości dla reakcjonistów!

W końcu spiskowcom udało się sforsować drzwi łączące kadłub z głową. Gabriel Mac Namarra oraz Yves zdolali się przedrzeć przez pierwszą linię obrony, wywijając jeden kijem, drugi nunchakiem. Obaj stanęli na wprost Satine i około setki uzbrojonych osób w korytarzu prowadzącym ku głowie *Motyła*.

– Dlaczego to robisz, Satine? Dlaczego sabotujesz projekt, przy którego narodzinach kiedyś pracowałaś? – zapytał Yves.

– Już za późno. Jesteście tu sami, a nas jest setka! Zwyciężyliśmy! Zawrócimy maszynę i polecimy na naszą planetę.

– Nie rozumiem.

– Odeszłam, ponieważ nie układało nam się z Adrienem. To straszny egoista, a życie z nim było piekłem. Nie mogłam go dłużej znieść. A potem przemyślałam wszystko. Chciałam wrócić *incognito*. Z ciekawości. Żeby się przekonać, czy ten projekt może się udać. Przez długie miesiące byłam rozdarta między pragnieniem, żeby się udało, a pragnieniem, żeby się nie powiodło. Codziennie rozważałam wszelkie „za” i „przeciw”. Kiedy zaś zobaczyłam narodziny konstytucji, wszystko stało się jasne. Każde zjawisko powoduje reakcję w formie swojego przeciwieństwa. Tak, myślę, że jesteśmy „reakcjonistami”. Ale wszystko działa właśnie w ten sposób. Lekarstwo stwarza chorobę. Prawo stwarza zbrodnię. Więzienie stwarza przestępców. Konstytucja stwarza rewolucję.

Yves opuścił kij i dał Gabrielowi znak, żeby zrobił to samo.

– Chyba nie zepsujesz teraz wszystkiego.

Satine roześmiała się nerwowo.

– Zbyt daleko zaszłam, wątpię więc, żebyś dał radę mnie pokonać. Wiesz, Yves, zawsze myślałam, że samoloty potrafią oderwać się od ziemi za sprawą jakichś „mistycznych” zjawisk. Fakt, że wielki stos blachy utrzymuje się w powietrzu z ludźmi w środku, jest całkowicie sprzeczny z logiką. Moim zdaniem to działa dlatego, że wszyscy pasażerowie są pełni wiary. Uważają za normalne, że góra żelastwa jest lżejsza od chmur. Ale wystarczy, żeby jedna osoba powiedziała sobie: „Przecież to nie jest normalne, ten samolot powinien spaść”, a... spadnie. Tak samo jest z *Gwiezdnym Motylem*. To się trzyma kupy tylko dzięki wierze wszystkich pasażerów. Teraz to ja doszłam do wniosku, że to wszystko jest sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Człowiek został stworzony, żeby żyć na ziemi, a nie w blaszanej puszczy, która będzie rdzewieć i gnąć w kosmosie przez tysiąc lat. Okrzyki aprobaty ze strony spiskowców.

– Nigdy nie jest za późno, żeby przyznać się do własnych błędów. A więc zwracajmy, a wszystko będzie dobrze.

Yves zrobił niezadowoloną minę, po czym się uśmiechnął.

– Nie możesz pilotować *Motyła*. Tylko Elisabeth to potrafi.

– A niby dlaczego? – zapytała Satine Vanderbilt.

– Kontrola sterów jest skomputeryzowana. Trzeba znać kody, żeby mieć dostęp do systemu pilotażu.

Twarcz młodej kobiety zmieniła się w jednej chwili.

– Kłamiesz! To zwykły blef!

– Sama sprawdź.

– Trudno, w takim razie zrobimy inaczej. Chodźcie tu wszyscy, wrócimy na *Muszcę*.

– Co to jest? – zdziwił się jeden ze spiskowców.

– Prom wylądowczy – odrzekł drugi.

– Wiem dokładnie, gdzie on się znajduje, bo uczestniczyłam w opracowaniu planów – stwierdziła Satine Vanderbilt.

– I tym razem nie sądzę, żeby była tam klawiatura z kodem.

Po czym ruszyła ku ładowni promu.

Właśnie wtedy Mac Namarra odważył się na desperacki krok. Rzucił nunchako w kierunku podbródka buntowniczką, ona jednak zrobiła unik i wbiła mu w brzuch nóż kuchenny.

Miliarder cofnął się osłupiały. Yves zdążył go podtrzymać, zanim zwałił się na ziemię.

– Przykro mi, nie trzeba było mnie atakować – powiedziała.

– Nic do pana nie mam. Chcę tylko wrócić do domu. Na moją planetę. Nie zbliżaj się, Yves, bo tobie też zadam cios. Zegnaj.

Satine Vanderbilt wsiadła czym prędzej na prom, a wraz z nią setka pozostałych spiskowców.

Nietrudno było uruchomić ten mały stateczek, wyposażony w uproszczony pulpit sterowniczy i zaprojektowany do przyszłego lądowania.

Śluza ładowni otworzyła się na przestrzeń kosmiczną, dysze *Muszki* zaś umożliwiły jej start i nikt nie zdołał jej powstrzymać.

Kiedy pojazd znalazł się dostatecznie daleko, rozwinął słoneczne żagle i pomknął w kierunku, w którym, zdaniem Satine, znajdowała się ukochana rodzinna Ziemia.

52. UREGULOWAĆ TEMPERATURĘ

Bijatyka trwała zaledwie kilka godzin.

Adrien kazał opatrzyć rannych i policzyć zabitych. Rezultat: dwadzieścia trupów, setka rannych z obu obozów.

W czasie bitwy niektórzy przeszli zresztą z jednego obozu do drugiego.

Na *Gwiezdnym Motylu* powracał stopniowo spokój.

Gabriel Mac Namarra miał bardzo głęboką ranę. Zawieziono go do szpitala, gdzie został natychmiast operowany. Lekarze nie żywili jednak zbyt wielkiej nadziei co do jego powrotu do zdrowia. Obudziwszy się, Gabriel zaczął grymasić.

– Wszystko w porządku – szepnął. – To tak jak z piorunem, trzeba było rozładować napięcie. Istniało zaś rzeczywiste napięcie, którego nie zauważyliśmy. Zawsze znajdują się jacyś malkontenci. Satine przydała się przynajmniej do jednego: wyłowienia tych niezadowolonych. A więc wszyscy ci, którzy zostali, są bardziej lub mniej... zadowoleni.

Uśmiechnął się, następnie zaś roześmiał, lecz jego śmiech przeszedł w kaszel. Zażądał cygara.

– Przynajmniej nie umrę na raka – zażartował. – A teraz pieprzyć to wszystko, sprawcie mi tę ostatnią przyjemność. Cygaro. Mam je w domu. Czy ktoś może po nie pójść?

Przyniósł je Yves. Przemysłowiec zapalił mocny tytoń i łąpczywie się zaciągnął.

– Nie doceniliśmy zdolności człowieka do wiecznego niezadowolenia z tego, co ma. Kiedy jest na Ziemi, chce lecieć w kosmos. Kiedy jest w kosmosie, chce wracać na Ziemię. – Ponownie parsknął śmiechem, jakby uznał swój żart za wyśmienity. – Zawsze trzeba mieć jakiś system rozładowania napięć. Tak samo szybkar musi być wyposażony w zawór, żeby wypuszczać parę, inaczej wybuchnie. Sami musimy włączać ten zawór. Sami musimy zorganizować jakiś środek do wyżywania się, który będziemy kontrolować.

Wypuścił z lubością niebieskawy dym.

– Dobra, pozostaje jeszcze jeden problem – oznajmił Gabriel. – Prom *Muszka*. Mieliliśmy tylko jeden i nie bez przyczyny: to duża rzecz...

– Nie damy rady wylądować bez tego dodatku – przyznał Yves.

– Trzeba zbudować następny – zaproponował Gabriel.

– W Mieście Raju nie mamy aż tak wysokiej technologii, żeby wyprodukować pojazd kosmiczny.

– Jasne, że nie macie technologii, ale macie czas.

To „wy” sugerowało, że już czuje się wykluczony z projektu.

– W ciągu tysiąca lat byle szczer laboratoryjny znajdzie w końcu sposób, żeby uciec. Znajdziecie jakieś wyjście. Na przestrzeni milenium da się rozwiązać wszystkie problemy.

Ponownie się roześmiał, natychmiast jednak skrzywił się i złapał za brzuch.

– Dlaczego oni to zrobili?! – zapytał przez zęby Yves, powstrzymując gniew na widok swojego przyjaciela, który był w takim stanie.

– Małpa – odrzekł Gabriel. – W człowieku nadal kryje się strachliwa i agresywna małpa. Tak niewiele trzeba, żeby zobaczyć w nim przerażonego drapieżnika... A poza tym projekt „Ostatnia Nadzieja” jest taki delikatny...

– Nie – zaprzeczył Yves. – „Ostatnia Nadzieja” jest silniejsza niż kiedykolwiek.

Gabriel Mac Namarra wypuścił kłęb dymu.

– Miło jest tak myśleć, ale ostatnie wydarzenia wyraźnie pokazują, że jeszcze nikt nie jest gotowy do zwycięstwa w ostatniej walce, walce z naszą własną głupotą.

Chwycił wynalazcę za rękę.

– Dziękuję, że pozwolił mi pan marzyć, panie Kramer. Dziękuję, że nadał pan sens ostatnim dniom mojego życia. Nie wiem, czy istnieje reinkarnacja, ale gdybym miał wcielić się w czyjąś postać, chciałbym, żeby to był ktoś, kto mieszka tutaj, na *Gwiezdnym Motylu*, i kto poprowadzi ten projekt dalej. Chciałbym wcielić się w wasze dzieci...

Yves ścisnął jego dłoń.

Spojrzawszy mu w oczy, przemysłowiec mruknął:

– W porządku, gotowe. – Po czym jego wzrok znieruchomiał. Yves zamknął mu powieki gestem pełnym czułości.

Nazajutrz ciało miliardera zostało pochowane na cmentarzu, obok ofiar pierwszej wojny w Mieście Raju. Na prośbę Yves’a posadzono na jego grobie największe drzewo w cylindrze, drzewo oliwne.

Na cmentarzu, na szerokim płaskowyżu, gdzie zgromadzili się wszyscy Motylanie, Jocelyne wygłosiła mowę, w której wyjaśniła, że uświadomiła sobie, że każda akcja wywołuje reakcję, każdy popęd życia pociąga za sobą popęd śmierci. Narodziła się Elodie. Zmarł Mac

Namarra. Stworzyli zjednoczoną wspólnotę, reakcjonistyczna rewolucja zaś usiłowała ją rozbić. *Gwiazdny Motyl* opuścił Ziemię. Prom *Muszka* zaś właśnie na nią wracał.

– Co zrobić, żeby to się nigdy więcej nie powtórzyło? – zapytała Jocelyne. – Wiem, że zawsze będą was ogarniać wątpliwości. Wiem, że zawsze będzie wam towarzyszyła tęsknota za rodzinną planetą, ale teraz żałoba po Mac Namarrze powinna stać się symbolem ostatecznej żałoby po ziemskiej przeszłości. Nie możemy już zawrócić. Pozostaje nam „iść dalej albo umrzeć”.

Jeśli są wśród was jeszcze tacy, którzy uważają, że lepiej byłoby zawrócić, niech powiedzą to teraz albo zamilkną na zawsze.

– A jeśli to powiedzą, co się wtedy stanie? – zapytał jakiś młodzieniec w oddali.

– Jeżeli będą stanowić większość, cały statek powróci na Ziemię. Daję wam słowo.

Yves i Elisabeth nie spodziewali się takiego zagrania ze strony pani burmistrz. Adrien zdawał sobie jednak sprawę, że trzeba było postawić wszystko na jedną kartę, aby zyskać powszechne poparcie na najbliższe lata. Gra była warta świeczki.

Nastąpiła chwila wahania. Spośród stu czterdziestu trzech tysięcy ośmiuset osiemdziesięciu jeden pasażerów, którzy pozostali, nikt nie podniósł ręki.

– W takim razie lecimy dalej zgodnie z planem, ja zaś życzę sobie, żeby wszyscy niezadowoleni przychodzili do mnie, zamiast robić rewolucję.

Wówczas o głos poprosił Adrien Weiss.

– Przed śmiercią Gabriel powiedział, że należy znaleźć sposób na pozbycie się napięcia bez rewolucji. Po raz kolejny okazał się prekursorem.

Psycholog mówił dalej z flegmą, mimo że pozornie nie był to najlepszy czas i miejsce:

– Ja też jestem zdania, że w buncie Satine wystąpiła potrzeba zburzenia istniejącego porządku, dopuszczenia do głosu instynktów śmierci i zniszczenia. Pozbycia się napięcia. Te instynkty tkwią w nas samych, toteż negowanie ich nie ma sensu. Wobec tego proponuję dzień... karnawału. To znaczy dzień, w którym bawimy się w wojnę za pomocą petard, w którym wszyscy się wygłupiają przez całą dobę. W ciągu tych dwudziestu czterech godzin dozwolone będą wszelkie wykroczenia, ale oczywiście pod warunkiem, że nie wyrządzą nikomu krzywdy. Nie będzie morderstw, gwałtów, kradzieży ani niszczenia mienia. Za to będą dozwolone, powiedzmy, alkohol, zabawa oraz wszelkie nieniszczycielskie przejawy żywiołowej radości.

Oklaski, jakimi nagrodzono pomysł, świadczyły o tym, że panująca od chwili startu

atmosfera cnotliwości ciążyła wszystkim.

– Myślę, że Gabriel by tego pragnął... – dodał na koniec. Adrien Weiss odwrócił głowę ku zaskoczonym Yves'owi i Caroline.

– Trzeba wywołać kolejny wstrząs, który pozwoli zapomnieć o poprzednim. Pomóżecie mi?

Przytaknęli.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak urządzić to w przyszłym tygodniu – zaproponował, jak zwykle skłonny do prokrastynacji, Yves.

– Nie, trzeba kuć żelazo, póki gorące. Jutro będzie wielki dzień Karnawału. Jeśli mamy zachować tylko jedno ziemskie święto, to będzie właśnie to.

Następnie głos przez megaton zabrał Yves Kramer:

– Co do mnie, sugeruję, żebyśmy powołali komórkę badawczą, której zadaniem będzie wyprodukowanie z materiałów rezerwowych *Motyła* promu mającego zastąpić *Muszkę*. Osoby, które chcą nad tym ze mną pracować, mogą dołączyć do mnie za godzinę w centrum wioski. Myślę, że na początek należy zbudować większą kuźnię.

Wszystkim chodziło jednak po głowie to dziwne słowo, które pojawiło się po tak wielu tygodniach. Karnawał.

53. MIESZAĆ MIKSTURĘ

Na ulicy: radosny tłum, donośna muzyka, sztuczne ognie, sprośne piosenki, odgłos rozbijanych butelek.

W domach: śmiechy, zapach mięsiwa i wina, rzeźenie, krzyki rozkoszy.

Pierwszy karnawał w cylindrze okazał się czasem totalnej rozpusty. Wszędzie na ulicach Miasta Raju, w ogrodach, w lasach, na placach, w warsztatach, w amfiteatrze, na pływających po jeziorze łodziach widać było obściskujące się, tańczące, kopulujące bez żadnego wstydu we dwójkę albo w kilkoro pary. W jednej chwili wszystkie zmory rej, jak ją teraz nazywano, „rewolucji reakcjonistów” poszły w zapomnienie.

Od wylewającej się z głośników rytmicznej muzyki drżały ściany cylindra, jakby był on jedynie gigantycznym pulsującym nocnym klubem. Adrien wpadł nawet na pomysł, żeby nastawić sztuczne słońce na mruganie.

Udało mu się uzyskać globalny efekt stroboskopowy, który wzmógł ogólną ekscytację.

Święto nie skończyło się po jednym dniu – libacje, orgie i rozpusta trwały trzy dni i trzy noce. Każdy bawił się dopóty, dopóki nie zeszywniały mu mięśnie, nie wysiadło serce, nie ogarnęła go senność.

Po tym gigantycznym rozładowaniu napięcia nastąpił tydzień odpoczynku, aby wszyscy mogli dojść do siebie po orgiastycznym święcie.

Według późniejszych obliczeń okazało się, że tamtego dnia zaprogramowano blisko tysiąc narodzin, poczęte wówczas niemowlęta postanowiono zaś nazwać „Dziećmi Karnawału”.

54. NASTAWIĆ MINUTNIK

Yves Kramer uznał, że został przekroczony pewien próg: skończył się okres żałoby po określonej przeszłości, należy zatem zacząć wszystko na nowych podstawach.

Jego zdaniem najlepszą cezurę stanowiłby symboliczny akt, który uważał za najbardziej wyrazisty: stworzenie nowego kalendarza.

Pewnego pięknego, otrzymanego sztucznie wieczoru odsłonił ogromny zegar, który wydobyli z magazynu przedmiotów ręcznie robionych.

– Oświadczam, że za dziesięć sekund rozpocznie się pierwsza era nowego czasu – powiedziała do mikrofonu stojąca na marmurowym tarasie Jocelyne Perez, nad której głową znajdował się olbrzymi ekran ukazujący obraz zegara.

Adrien przebiegł palcami po klawiaturze komputera i zgasił światło.

Pani burmistrz zaczęła odliczać w ciemnościach:

– Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, zero!

Natychmiast Adrien urządził powolny wschód słońca.

Yves wcisnął włącznik uruchamiający zegar. Wskazówki znajdujące się na dwunastce zdrząły. Wskazówka sekundnika ruszyła pierwsza, zrywami, jakby była nieśmiała.

– Niniejszym oświadczam, że oto rozpoczęła się pierwsza sekunda pierwszej minuty, pierwszej godziny, pierwszego dnia, pierwszego miesiąca, pierwszego roku nowej ery! – obwieściła Jocelyne Perez. – Mamy dziś rok zerowy.

Adrien Weiss przystąpił do drobnej regulacji, aby jarzeniowe słońce załśniło wyjątkowym blaskiem. Caroline wykorzystwała ten moment, żeby puścić przez głośniki dostojną, majestatyczną muzykę symfoniczną.

Nikt nie klaskał – wszyscy byli wzruszeni, przeniknięci świadomością, że rozpoczęli właśnie życie jako istoty ludzkie od samego źródła, pozbywszy się ostatnich relikwów zwierzęcości.

Motylanie zaczęli się ścisnąć i całować. Nie zdawali sobie dotąd w pełni sprawy z historycznego znaczenia własnego czynu.

Wznoszący się na cyplu wielki zegar stał się nagle istotnym symbolem.

Elisabeth Malory miała nadzieję, że nie tylko zapoczątkowali nową erę, ale że

rzeczywiście zapoczątkują nową ludzkość: człowieka gwiazd, *homo stellaris*.

Pogładziła wystającą z nosidelka główkę Elodie, która uśmiechała się spokojnie, tak jakby wiedziała, że to wszystko jest normalne.

Wówczas zabrał głos Adrien:

– Moim zdaniem powinniśmy odciąć się od przeszłości. Zapomnijmy o historii. Zapomnijmy o Ziemianach, którzy są teraz dla nas jedynie ludźmi z dawnego świata. Proponuję, żebyśmy wszyscy porzucili nasze stare imiona. Niosą bowiem ze sobą przykre wspomnienia i ukryte więzy. Od tej pory nie będziemy już mieli nazwisk, tylko imiona.

Ktoś podniósł rękę.

– A co z tymi, którzy mają takie same imiona?

– Będą się wpisywać na listę – odparła Jocelyne, przychodząc z odsieczą psychologowi. – Przydzielimy im numery. Michel jeden, Michel dwa itd. Dostaną numery według kolejności zgłoszeń w centrum spisu ludności.

Wszyscy mieli świadomość, że decyzja ta wynika z chęci odcięcia się od przeszłości.

– I wreszcie – dodał na koniec Adrien – proponuję zrezygnować z pokazywania obrazów z Ziemi, które wywierają na nas duży wpływ, łącznie z ich potwornościami. Budzą drzemiące w nas strachliwe mały. Tymczasem musimy o nich zapomnieć. Od tej chwili będziemy mieli tylko dwa kanały. Jeden będzie pokazywał to, co widać przed *Gwiezdnym Motylem*, a drugi wewnętrzne przedstawienia z Miasta Raju.

Wśród zebranych rozległ się pomruk. Część z nich uświadomiła sobie nagle, że ziemskie aktualności, które tak ich oburzały, ziemscy politycy, z których kpili, mieli na nich zły wpływ.

Uznano, że pierwszy dzień nowej ery powinien być wolny. Nikt nie pracował. Motylanie rozprawiali między sobą grupkami, komentując własną wizję nowej ludzkości, której mieli być głównymi aktorami.

Wieczorem zaś sto czterdzieści trzy tysiące ośmiuset osiemdziesięciu jeden pasażerów zasnęło, śniąc już nie o przeszłości, lecz o przyszłości.

Byli *homo stellaris* roku zerowego Nowej Ery. Słowa mają jednak ogromną władzę.

55. POZWOLIĆ ODPOCZAĆ

Rozpoczął się cykl życia.

Owady spulchniały ziemię. Rośliny filtrowały powietrze.

Ssaki przerabiały białko. Bakterie pożerały odchody i ciała ssaków.

W końcu w gigantycznej trzydziestodwukilometrowej próbówce zapanowała równowaga ekologiczna.

Ze względu na ograniczone możliwości i materiały, jakimi dysponowano na pokładzie *Gwiezdnego Motyla*, ekipa inżynierów zdołała zbudować jedynie maleńki prom kosmiczny, w którym mieściłyby się najwyżej dwie osoby. Yves-1 z Dominem – I na ramieniu podszedł do siedzącej za sterem Elisabeth-1 ze śpiącą obok córeczką.

– *Muszka 2* powinna być gotowa za dwa lata. Właśnie wtedy będziemy mijać ostatnią planetę Układu Słonecznego. Dzięki promowi będziemy mogli wylądować i poszukać innych metali, żeby dokończyć budowę *Muszki 3*, która pomieści wszystkich.

– Nie okłamuj mnie – powiedziała. – Nie teraz. Ja też rozmawiałam z konstruktorami *Muszki 2*. Rzeczywiście będą nam potrzebne inne metale, ale na ostatniej plancie naszego Układu Słonecznego ich nie ma. To tylko planeta gazowa.

Wynalazca udał, że jego uwagę przyciągnął kot.

– Z czasem człowiek znajduje w końcu jakieś rozwiązanie i nie będziemy się upierać, że jest inaczej. Nasze dzieci na pewno znajdą rozwiązanie.

– Przypomnij sobie nazwę naszego projektu: „Ostatnia Nadzieja”. Szczęście nie może nam sprzyjać bez końca. Dobrze zrozumiałam twoje przesłanie: mamy prom dla dwóch osób i to wszystko. Oto cała prawda.

Yves-1 przyznał, że istotnie tak wygląda sytuacja. W oddali przed nimi migotały gwiazdy i właśnie w tej chwili żeglarka znów doznała wrażenia, że to mnóstwo małych oczek wszechświata, który będąc globalną żywą istotą, śledzi ich.

– A jeśli mamy zapisany w genach program samozniszczenia? – odezwał się Yves-1.

– Nie rozumiem.

– Natura charakteryzuje się logiką. Skoro pozwoliła nam szybko się rozwijać i stać się bardzo potężnymi zwierzętami, to być może dlatego, że jesteśmy „zaprogramowani” na

samoograniczenie. Wydaje nam się, że ujarzmiliśmy przyrodę, ale w rzeczywistości nie dokonaliśmy tego w większym stopniu niż wszystkie te gatunki, które wymarły przed nami. W stosunku do jednych posłużyła się chorobami, asteroidami, zmianami klimatycznymi, a dla nas koniec został zapisany w naszych własnych genach.

Przerażający sens tej myśli zaczął wreszcie docierać do żeglarki.

– Chcesz powiedzieć, że kiedy rodzi się jakiś gatunek, Natura z góry przewiduje jego kres?

– A przynajmniej jego „ograniczniki”. Dla jednych jest to drapieżnik. Dla człowieka to pęd do samozniszczenia.

– Ależ skąd, popatrz na nas: nie przejawiamy takiego popędu.

– To my nie jesteśmy normalni. Przyjrzyj się tylko dzieciom: chociaż nikt im nic nie mówi, ich pierwszą zabawą jest zabawa w wojnę.

– To dotyczy chłopców. Nie dziewczynek.

– A właśnie nawet dziewczynek: rzucają się na siebie z pazurami albo niszczą się wzajemnie za pomocą słowa czy potwarzy. W ostatecznym rozrachunku istoty ludzkie pragną się nawzajem jedynie krzywdzić. Gdybyśmy mogli bezkarnie zabić kogoś, kogo nie znamy, tylko po to, żeby pozbyć się napięcia... zrobilibyśmy to. Wyłącznym hamulcem dla naszych indywidualnych upodobań niszczycielskich są policja i wojsko, czyli przemoc zbiorowa.

– Jak możesz głosić takie potworności?

– Patrzę trzeźwo. Wszyscy jesteśmy źli. To zabezpieczenie, jakie wymyśliła Natura, żeby ograniczyć nam nieustanny rozwój i zapobiec naszej inwazji wszechświata.

– Nie czuję się taka. Nie jestem „zła”.

– A jednak, jeśli dobrze poszukać, też musisz taka być. Każdy z nas ma swoją ciemną stronę. Nie jesteśmy w stanie oczyścić naszych genów z tego pierwotnego piętna. Właśnie stąd biorą się wszystkie cierpienia, lęki, agresja i to, że wszystkie pozytywne plany są z góry skazane na niepowodzenie.

– Ależ przecież my zdołaliśmy oderwać od ziemi *Gwiezdnego Motyla* z ponad stu tysiącami ludzi na pokładzie i jak na razie zażegnaliśmy wszelkie konflikty.

– Owszem, potrafimy uciekać, ale czy będziemy umieli przeprogramować całe to zło, które nosimy w sobie z natury?

Elisabeth-1 skrzywiła się.

Domino-1 zeskoczył z jej ramienia, żeby powąchać łóżeczko FJodie-1.

– Wiesz, jaką ten kot ma nad nami przewagę? – zapytał Yves-1.

Pogłaskała zwierzę.

– On nie wie, że umrze. Może u źródła całego tego lęku tkwi strach przed śmiercią – przyznał.

Elisabeth-1 potrząsnęła długimi rudymi włosami, pojawił się jednak aż zbyt dobrze sens tego zdania, wołała zmienić temat.

– Jak się toczy życie w Raju? – zapytała.

Yves-1 miał świadomość, że jego towarzyszką coraz rzadziej opuszcza stanowisko pilota, ponieważ uznała, że w cylindrze rządzi w tej chwili już nie ekologia, ale polityka.

– Rośliny zdobywają trochę lepszą pozycję w strefie południowej. Wszystko opanowują liany, paprocie i bluszcz. Mam pewną szczególną teorię na temat roślin: myślę, że one się mszczą na ludziach. Podporządkowały ich już sobie na starej Ziemi za pomocą kawy, tytoniu, winorośli, marihuany, herbaty, opium, maku, kokainy. Moim zdaniem, zrobiły to specjalnie, z pełną świadomością gatunku, aby się zemścić za to, że ujarzmiamy je, umieszczając je w uprawach i ogrodach. Roślina nie lubi porządku, tylko dżunglę, las i chaos. Tutaj też próbują przejąć władzę...

Elisabeth-1 obdarzyła go uśmiechem. Zdażyła się już przyzwyczaić do filozoficznych dywagacji swojego towarzysza życia. Nie pozwoliła mu jednak rozwinąć teorii na temat roślin.

– A co z pasażerami?

– Gilles-1 tchnął w telewizję wewnętrzną naprawdę dużo świeżości. Sądzę, że nie da się przecenić jego roli błazna. Pozwala rozładować drobne napięcia.

– A co z tymi poważnymi?

– Jocelyne-1 stała się trochę władczą, ale według mnie zapewnia w ten sposób wszystkim poczucie bezpieczeństwa i przekonanie, że na czele miasta stoi charyzmatyczna przywódczyni. Osoba wyznająca swobodne zasady moralne nie dałaby sobie rady. Wszyscy ciągle jeszcze mają w pamięci bunt reakcjonistów.

– Nie możemy sobie pozwolić na kolejne zamieszki.

– Jocelyne-1 zakazała spożywania alkoholu po dwudziestej drugiej. Zakazała rodzicom bić dzieci. Zakazała ludziom wyrzucania śmieci byle gdzie. W mieście nie wolno nawet splunąć na ziemię.

- Czy ustawy zostały przegłosowane przez zgromadzenie?
- Drży przed nią nawet sześćdziesięciu czterech członków zgromadzenia. Ona ma niesamowite napady gniewu.
- Władza uderzyła jej do głowy?
- Pilnuję jej. Moim zdaniem, jak na razie postępuje słusznie. Oni lubią, jak ktoś „trzyma ich silną ręką”.
- Słyszałam, że kazała powiększyć więzienie.
- Mamy w tej chwili piętnastu aresztantów – powiedział Yves-1.
- Za jakie przestępstwa?
- Za zabójstwa. W większości zbrodnie w afekcie. Z miłości, zazdrości, przekonania o zdradzie.
- Niełatwo jest walczyć z instynktem zaborczości.
- Są jeszcze trzy zbrodnie z powodu... gier – dodał Yves-1.
- Gier? Jakich gier?
- Mamy obecnie kółka graczy w karty i graczy w kości. Dobrze wiem, że kusi ich, aby stawiać pieniądze. Zaczynają grać o śruby i podejrzewam, że nadają im wartość pieniężną.
- Należało się tego spodziewać. Można na jakiś czas zapanować nad pociągami do narkotyków czy alkoholu oraz nad instynktem zabijania bliźniego, trudno jednak zapanować nad upodobaniem do hazardu i popędem seksualnym, tym bardziej że obie te rzeczy niekiedy łączą się ze sobą...

Patrząc na nią, Yves-1 ciągle nie mógł się nadziwić, że po tylu latach nadal jest w niej tak mocno zakochany. Nie potrafiłby sobie wyobrazić życia z kimś innym. Uważał wręcz, że nawet gdyby jedyną zasługą projektu „Ostatnia Nadzieja” okazało się uczynienie z nich pary, byłoby to wystarczające usprawiedliwienie dla całego wysiłku.

- Byłbym zdolny zabić dla ciebie albo dla Elodie – stwierdził.
- Lepiej dla nas żyj. Zwłaszcza że mam dla ciebie dobrą nowinę. A właściwie dwie dobre nowiny.

Puściła do niego oko, pokazując na swój brzuch.

56. CUKIER PRZEKSZTAŁCONY W SOKI ŻYCIOWE

Pół roku później Elisabeth-1 powiła bliźnięta.

Poród był bardzo ciężki. Lekarz nie potrafił zatamować krwotoku, który po nim nastąpił. Według niego, wychodząc na zewnątrz, noworodki spowodowały otwarcie złamania miednicy wywołanego przez wypadek samochodowy sprzed lat.

Agonia Elisabeth-1 trwała cały dzień.

W ciągu ostatnich minut życia trzymała swojego towarzysza za rękę.

– Zrobiliśmy kawał dobrej roboty – zapewniała, przezwyciężając ból.

Do pokoju właśnie wszedł Domino-1, po czym położył się tam, gdzie wyczuwał istnienie cierpienia.

Po chwili zmienił pozycję, przywierając mocniej do istoty ludzkiej, która jak pamiętał, tak często go karmiła.

– Dla mnie to już koniec, teraz ty musisz się zatroszczyć o nasze dzieci i wnuki. Zdradź im tajemnicę twojej zagadki, żeby wiedziały, gdzie wylądować.

Yves-1 ze wzruszenia nie był w stanie wykrztusić słowa.

– I daj im swoją książkę *Obca planeta: instrukcja obsługi*. Obawiam się, że nie będą wiedziały, co robić, kiedy dotrą na miejsce.

Otarł splotającą po policzku łzę.

– W gruncie rzeczy masz rację: należy przekazywać wiedzę tylko tym, którzy potrafią ją wykorzystywać.

– Już nic nie mów. Odpocznij – powiedział z trudem.

– Wiem, Yves, umieram szczęśliwa. Każdemu życzę takiego życia jak moje. Dziękuję, że przyszedłeś mnie obudzić. Mimo że zrobiłeś to w nieco brutalny sposób.

Mocniej ścisnął ją za rękę.

– Ty też bądź szczęśliwy. Masz do tego prawo. Udało nam się. Udało się...

Wypuściła dłoń Yves'a-1.

On zaś czuł w głowie gonitwę myśli.

„Umrzeć, żeby dołączyć do Elisabeth? Odejść razem w pięknym stylu?... Nie. Nie potrafię tak jak tata, nie popełnię samobójstwa z miłości. Następowanie po sobie kolejnych pokoleń niczemu nie służy, jeśli potrafią one wyłącznie powtarzać schematy zapoczątkowane przez rodziców. Nie zabiję się. Będę wychowywał własne dzieci. Samobójstwo Jules'a było aktem egoizmu. Porzucił mnie. Ja ich nie porzucę”.

Przez pamięć o Elisabeth-1 Yves-1 postanowił nadać swoim dzieciom imiona zawierające sylabę „El”.

Eli-1 i Ela-1.

Tak czy inaczej, Elodie-2 od dawna nazywano Elo-2.

Yves-1 kazał posadzić na grobie Elisabeth-1 jabłoń, gdyż jabłko było jej ulubionym owocem. Zażądał również, by nikt nie zbliżał się do tego drzewa, chciał bowiem modlić się do swojej żony w samotności.

Następnie przystąpiono do wyboru nowego sternika, który poprowadziłby *Gwiezdnego Motyla*.

57. ZANOTOWAĆ PRZEPIS DLA INNYCH

Po śmierci Elisabeth-1 Yves-1 przestał wychodzić z domu. Przez całe dni siedział w swoim gabinecie i pisał dwie książki: *Nowa Planeta: instrukcja obsługi* oraz *Dziennik pokładowy*. Kot Domino urósł i roztył się.

Teraz Yves-1 puszczał go wolno po cylindrze. Kiedy na świat przyszła spora liczba czarnych, białych i rudych kociąt, okazało się, że Domino jest kotką.

Nie żyła jednak z ojcem małości. Za bardzo pochłaniało ją bowiem osobiste wyzwanie: skakać jak najwyżej. Nabrała zatem zwyczaju zeskakiwania z coraz wyższych miejsc, aby sprawdzić wytrzymałość własnych łap.

Rzuciwszy się pewnego dnia z wysokości marmurowego tarasu, źle upadła i złamała sobie kręgosłup. Yves-1 pochował kotkę na cmentarzu i posiał nad nią jej ulubioną roślinę – kocimiętkę.

W tym samym okresie *Gwiazdny Motyl* dotarł do ostatniej planety Układu Słonecznego. Zgromadzeni w lewym oku ci spośród założycieli, którzy jeszcze żyli, stwierdzili, że istotnie składa się ona wyłącznie z gazów i pary. Znalezienie metali do produkcji promu zastępczego okazało się zatem niemożliwe.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że czeka ich teraz co najmniej dziewięćset lat podróży po gwiazdnej próżni bez natykania się na jakiegokolwiek słońca czy planety.

Pożegnawszy się z Ziemią, zorganizowali uroczystość, aby pożegnać Układ Słoneczny. Tym razem *Motyl*, przy całkowicie rozwiniętych skrzydłach, osiągnął prędkość dwóch milionów sześciuset tysięcy kilometrów na godzinę. Nie mógł już bardziej przyspieszyć – pozostało mu jedynie zachować uzyskaną szybkość.

58. FAZA FOSYLIZACJI

Tydzień. Miesiąc. Rok. Dziesięć lat. Dwadzieścia lat. Trzydzieści lat.

Drzewko zasadzone na grobie Elisabeth-1 dało wiele plonów, stając się piękną jabłonią, wznosząc swoje gałęzie ku sztucznemu słońcu cylindra.

Lemiesze pługów ciągnionych po polach przez woły wabiły chmary ptaków spragnionych gąsienic. W ogrodach zaś motyle o osobliwych barwach przysiadły na kwiatach.

Na rynku zgarbieni starcy opowiadali o życiu na Ziemi, porównując wspomnienia. W oknach wisiało pranie. Na kobyłkach leżały przeznaczone do wędzenia ryby wydzielające silny zapach. W Mieście Raju rozlegał się rytmiczny stukot młotów kowalskich, podczas gdy na znajdujących się na osi centralnej lampach jarzeniowych gromadziła się skroplona woda, która spadała następnie we wszystkich kierunkach naraz.

Grawitacja miała stały poziom. Strefa lasów tworzyła masę pięknej roślinności. Jezioro aż pękało w szwach od wszelkich wodnych stworzeń: żab, ropuch, szczupaków, salamander. Wszędzie – w powietrzu, na ziemi i w wodzie – kwitło życie.

Yves-1 miał siwe włosy i pooraną bruzdami twarz, jego oczy nadal jednak lśniły pełnym wigoru blaskiem. Po śmierci ukochanej zaczął coraz bardziej zapadać na zdrowiu. Lekarze nie potrafili postawić innej diagnozy niż ta, że „życie stopniowo go opuszcza”.

Tuż przed śmiercią z powodu choroby, która wywoływała kaszel, lecz której żaden medyk nie był w stanie wyraźnie rozpoznać, twórca projektu „Ostatnia Nadzieja” wyjawiał Elo-2 istnienie sejfu ukrytego w sterze.

– Żeby odnaleźć słowo, które go otwiera, należy rozwiązać zagadkę – wyjaśnił córce.

To jest na końcu poranka.

To jest w samym środku nocy.

I można to zobaczyć, spoglądając na księżyc.

Dziewczyna była bardzo podobna do matki. Słuchała jego słów z uwagą. Kiedy atak kaszlu minął, Yves zaczął mówić dalej:

– Jest jeszcze *Dziennik pokładowy*, to dzieje powstania projektu, oraz *Nowa planeta: instrukcja obsługi*, czyli podręcznik, który przyda się, kiedy projekt dobiegnie do prawdopodobnego końca.

Pokazał jej obie księgi.

– I wreszcie trzecia książka, która nosi tytuł *Encyklopedia starego świata*. Jest to książka historyczna i zarazem prawdziwa encyklopedia wiedzy, zawierająca dokładne informacje z wielu dziedzin. Pracowałem nad tym dziełem przez ostatnie dwadzieścia lat, korzystając z własnych wspomnień, a także z pomocy wszystkich specjalistów na statku, którzy opowiadali mi to, co zapamiętali na temat rozmaitych technologii i minionych zdarzeń.

– Co to jest ten „stary świat”?

Yves-1 pogłodził Elo-2 po twarzy.

– Moje dziecko... To się nazywało Ziemia...

Przerwał, chcąc wzmóc napięcie, wyczuwał jednak przemożny głód wiedzy u swojej córki. „Jak opowiedzieć całe dzieje ludzkości tuż przed śmiercią?” – Powiedzmy, że kiedyś ludzie mieszkali na pewnej planecie, ale ulegli małpiemu instynktowi agresji i żądzy posiadania. Zbudowali cywilizację, którą ogarnął jednak zastój i która w końcu upadła.

– Chcę, żebyśmy tam wrócili – oznajmiła Elo-2.

Yves-1 nie spodziewał się takiej reakcji.

Musiał znaleźć jakiś argument.

– Spadło na nich siedem plag.

– Jakie?

– A więc, nie po kolei:

Trzęsienia ziemi, od których waliły się domy. Fanatycy religijni, którzy chcieli narzucić swoje poglądy innym, siejąc strach.

Komary, które przez ukąszenie wywoływały śpiączkę. Bomby atomowe, które uwalniały trujące chmury. Ptaki przenoszące gorączkę, od której ludzie się dusili. Gigantyczne fale, które zalewały kontynenty. I wreszcie szczury.

– Szczury?

– Mentalność szczurów. To znaczy egoizm i prawo silniejszego. Każdy myśli tylko o sobie i pozwala zdechnąć tym najsłabszym. Właśnie takie poglądy wyznawali ludzie ze starej Ziemi.

– Jak to się skończyło?

– Prawdopodobnie... Apokalipsą.

– Apokalipsą? A co to takiego?

– Dosłownie to znaczy „podniesienie zasłony”. Objawienie prawdy. Jest ona tak trudna do zniesienia, że dla każdego oznacza koniec świata.

– Czy ludzie ze starej Ziemi umarli?

– Nie mam pojęcia, w każdym razie my „podnieśliśmy żagle” jeszcze przed Apokalipsą, żeby odejść. Ostatnią nadzieją jest ucieczka.

– Właśnie o tym opowiada ta księga? – zapytała, pokazując na *Encyklopedię starego świata*.

Yves-1 pogładził dziewczynę po włosach.

– Owszem, mówi trochę o polityce, zawiera jednak także fizyczny i techniczny opis starego świata. Jak się nazywają zwierzęta żyjące w cylindrze. Objasnia dokładnie słowa ze starego języka, którym zresztą nadal się posługujemy. Opisuje też wiele umiejętności: uprawę roślin, hodowlę zwierząt, garncarstwo, tkactwo.

– Produkcję rowerów?

– Tak, pewnego dnia ludzie zapomną i odkryją to wszystko na nowo dzięki tej książce albo dzięki tym, którzy ją przeczytali. Chodzi o to, żeby zachować jak najwięcej wiedzy, mając świadomość, że ona się wyklaruje.

Spojrzenie wynalazcy pobiegło za okno, przez które było widać przelatujące ptaki.

– Zapomną, ale dzięki tej ukrytej wiedzy mimo wszystko sobie przypomną i przekażą ją dalej. We własnym rytmie. Stopniowo. Zniekształcając, ale przynajmniej nie wszystko będzie stracone.

– Jakże ogromną moc kryje w sobie ta księga... – szepnęła dziewczyna.

– Tak. I jakże ogromną moc posiadają ci kretyni, którzy puszczają zawartą w książkach wiedzę w niepamięć. Właśnie dlatego nie wolno ich przekazywać byle jak i byle komu. I właśnie dlatego będziesz musiała je ukryć.

– Niby gdzie?

– Będziesz musiała ukryć wszystkie trzy księgi: *Instrukcje obsługi*, *Dziennik pokładowy* i *Encyklopedię* w dziupli w jabłoni, która rośnie nad ciałem twojej matki. W ten sposób przez energię, którą przekazuje temu drzewu, nadal będzie ich strzec.

– Ale za tysiąc lat ludzie ich nie znajdą.

– Nie martw się, włożyłem do sejfów kartkę ze wskazówką, że należy ich tam szukać.

Spojrzał na Elo-2, chwytając ją za rękę takim samym ruchem, jakim robiła to Elisabeth

trzydzieści lat wcześniej.

– Musisz wiedzieć... Nie mamy wyboru. Naszą ostatnią nadzieją była ucieczka. Nigdy, powtarzam: nigdy nie pozwól, żeby dopadła cię tęsknota za Ziemią. Trzeba iść naprzód bez oglądania się za siebie. Przyrzekasz?

– Będę żyła przyszłością, ojciec, nie przeszłością. Przyrzekam.

Z twarzy wynalazcy odpłynęło napięcie.

– To dobrze, Elo. Przez pamięć o Elisabeth nadawaj swoim dzieciom imiona, które mają „El” na początku albo na końcu. Chcę, żeby nikt jej nigdy nie zapomniał.

Elo-2 pochowała ojca obok matki. Na jego grobie posadziła morelę. W mowie pogrzebowej powiedziała tylko, że był dobrym ojcem, ponieważ do samego końca opowiadał jej historie, które pozwalały snuć marzenia, i że gdyby umiała podać definicję Yves’a-1, brzmiałaby ona tak: „Człowiek, który potrafił swoimi opowieściami pobudzać innych do marzeń i który umiał przemienić jedno ze swoich marzeń w czyn”.

Elo-2 nie miała dzieci, pociągały ją bowiem raczej kobiety. Wnuki Yves’owi i Elisabeth zapewnili jej brat Eli-1 i siostra Ela-1. W cylindrze, który obracał się przy grawitacji 1,01G, można było teraz spotkać coraz więcej młodych z nowego pokolenia. Byli niżsi od swoich rodziców, a także nieco delikatniejsi ze względu na życie w środowisku zamkniętym.

Brak wiatru, deszczu, zimna, gorąca przekształcił ich w istoty wrażliwe.

Właśnie w tamtym okresie Jocelyne-1, która również była już bardzo stara, na pamiątkę ziemskiego świata ustanowiła cztery wyraźne pory roku.

Łagodną wiosnę.

Gorące lato.

Łagodną jesień.

Mroźną zimę.

Jocelyne-1 zaproponowała nie tylko zmianę temperatury, ale także zmianę koloru sztucznego słońca. Zimą dawało ono bardziej niebieskawe światło. Latem z kolei bardziej żółte.

Z jej inicjatywy rozpoczęto kampanię rozrywek, sportów i gier, które przez rywalizację miały na celu rozwijanie inteligencji i zręczności.

Jocelyne-1 zaproponowała stworzenie jeszcze większej biblioteki, której każdy powierzyłby to, co zapamiętał ze starej Ziemi, na wypadek gdyby pewnego dnia te wspomnienia okazały się przydatne.

Było to jej ostatnie wielkie przedsięwzięcie.

Po czym Jocelyne-1 umarła, podobnie jak Caroline-1 i Adrien-1.

Nikt już nie pozostał z pierwszej ekipy rządzącej. Tylko zakątek na cmentarzu, gdzie rosły obok siebie drzewko oliwne, jabłoń, morela, do których dołączyły następnie figowiec, orzech i kasztanowiec.

Gwiezdny Motyl suną! zaś ciągle przez otchłań kosmosu, obojętny na to, co działo się z małymi pasożytami, które poruszały się w jego długim kadłubie w kształcie cylindra.

59. CHEMICZNE WESELE

Zasadzona nad ciałem żeglarki jabłoń wyrosła na wysokie majestatyczne drzewo o szerokim grubym pniu i szeleszczących liściach.

Umieszczony na fontannie ratusza kalendarz wskazywał trzynasty dzień piątego miesiąca sześćdziesiątego roku. Było to królestwo czegoś, co określano mianem trzeciej generacji.

Pierwsze pokolenie wylansowało modę na stroje w jaskrawych kolorach w motywy roślinne lub w motyle, drugie natomiast, prawdopodobnie na przekór, wybrało pastelowe barwy oraz paski i kwadraty. Co do trzeciego zaś, postawiło celowo na czerń i biel, jako jedyną ozdobę stosując jasne gwiazdki na czarnych ubraniach oraz ciemne planety na jasnych rzeczach.

Plaskowyz cmentarza został przekształcony w sad, na sąsiednim zaś urządzono następny.

Miasto Raj wzbogaciło się stopniowo o przedmieście, składające się z małych willi otoczonych wąskimi ogródkami. Ludzie coraz mniej chętnie mieszkali po kilkanaścioro w jednym domu, drzwi zaś wyposażono w zamki, co stanowiło sygnał, że po życiu we wspólnocie nastąpił powrót do życia w pojedynkę.

Dopiero wieczorem Motylanie spotykali się w ścisku w modnych lokalach, żeby potać przy rytmicznej, ogłuszającej muzyce.

Nazywano to „zbiorowym transem”.

Wszyscy podrygiwali wtedy jednocześnie.

Telewizja, która transmitowała z początku przedstawienia na żywo odgrywane w amfiteatrze, zaczęła produkować własne spektakle. Było w nich sporo przemocy, tak jakby ludzie odczuwali naturalną potrzebę, żeby wyrzucić ukryty w nich jad.

W gastronomii zapanowała moda na pikantne przyprawy, toteż można było spotkać liczne pola papryki, gorczycy i pieprzu.

Tymczasem Zoe-27, młoda następczyni Jocelyne-1 na stanowisku burmistrza, nie miała ani jej autorytetu, ani charyzmy. Jako zwolenniczka szybkich przyjemności, często opuszczała ratusz i pod pretekstem walki z nudą bez przerwy urządzała orgie i przyjęcia.

Z obserwacji mrówek wyciągnęła tylko jeden wniosek, a mianowicie, że „każdy robi to, co mu się podoba”. Po okresie porządku, jaki zapanował za rządów ekipy założycielskiej, nastąpił okres rozprężenia. Żeby nie komplikować wszystkim życia, sądy przestały karać za

przestępstwa, zadowolając się publicznymi przeprosinami. Więzienia otwarto, skazańców zaś wypuszczono w imię ogólnego porozumienia.

Tylko Eli-1, Elo-2 i Ela-1, trójka dzieci Yves'a i Elisabeth, usiłovali bić na alarm, szybko jednak zostali uznani za „smutasów”. W czasach niemal przymusowej zabawy zaś stało się to straszną obelgą. Zgromadzenie Mędrców nie reagowało.

Ponieważ nikt nie chciał wykonywać ciężkiej pracy, w myśl zasady „każdy robi to, co mu się podoba”, zbiory okazały się bardzo marne i zaczęło brakować żywności.

Właśnie wtedy pojawił się niejaki Luc-66, który skrzyknął bandę młodych ludzi i wyszkolił ich w okradaniu domów przez wyłamywanie zamków za pomocą drągów albo wślizgiwanie się przez otwarte okna.

Został aresztowany przez to, co pozostało z policji, ledwie jednak wygłosił publiczne przeprosiny, wypuszczono go.

Od tej chwili Luc-66 pojął, że powinien się posunąć dalej. Założywszy uzbrojoną bandę, splądrował Miasto Raj. Porwał jako zakładników panią burmistrz i kilku mędrców ze zgromadzenia, po czym zabił kilku innych, aby mieć pewność, że będzie potraktowany poważnie. Akcja ta wywołała wstrząs. Wielu było już gotowych podporządkować się jego prawu. O mało nie przejął władzy, jednakże Elo-2, mająca już sześćdziesiąt lat, zdołała szybko zwołać armię, która stawiała mu czoło.

Od tej pory obie bandy jednocześnie rosły w siłę.

Zwolennicy Luca-66 przeciw zwolennikom Elo-2.

Wojna między obiema grupami trwała wiele tygodni.

Ku własnemu ogromnemu zdziwieniu członkowie obu armii lubowali się w zabijaniu bliźnich. To było dużo lepsze niż Karnawał. Zadawanie śmierci sprawiało tym większą radość, że pozwalało łamać najbardziej katoryczny zakaz ich społeczeństwa. Od tej chwili obrona porządku stała się równie dobrym pretekstem do wyżywania się jak obrona chaosu.

Zabijali się nawzajem przy użyciu strzał, dzid, proc, niekiedy również pięści. Burmistrzowie przybrali wkrótce stary ziemski tytuł, którego dokładne znaczenie odeszło w niepamięć: króla.

W cylindrze pojawili się zatem Elo-2, stara królowa Raju, oraz Luc-66, młody król Piekła.

Ku własnemu zdumieniu Elo-2 zaczęła przejawiać talent stratega i wojowniczkę, o

których istnieniu nigdy by się nie przekonała, gdyby nie zmusiły jej do tego okoliczności.

Od tej pory to było niczym partia szachów.

Ten, kto pierwszy wpadł na pomysł, żeby atakować w nocy, zdobył punkt.

Ten, kto pierwszy wpadł na pomysł, żeby posłużyć się oddziałami na rowerach, a co za tym idzie – atakować szybciej, zdobył kolejny punkt.

Wydawało im się, że wszystko wynajdują na nowo: misje komandosów, jeńców, zakładników, szpiegów, tortury, zdradę.

Można było zobaczyć szarżę setek mężczyzn na rowerach, swego rodzaju lekkiej kawalerii zmechanizowanej, na szeregi łuczników. Oddziały uzbrojonych rowerzystów atakowały inne oddziały uzbrojonych rowerzystów. Były także okopy. Walczono niekiedy na liniach frontu, które sięgały aż do nieba, a nawet tworzyły pełne pierścienie stojące naprzeciwko innych pełnych pierścieni.

Ten pierwszy powszechny konflikt spowodował dobre dziesięć tysięcy ofiar. Znak czasu: dla wygody nie pochowano ich w osobnych grobach, lecz w wielkich zbiorowych mogiłach oddzielnych dla każdego obozu.

W końcu wyczerpani monarchowie zawarli pokój, po czym zbudowano palisadę, która stanowiła linię demarkacyjną oddzielającą strefę ze stolicą w Mieście Raju od tej ze stolicą w Mieście Piekło.

Na szczęście zawsze znalazł się sternik, który pilotował *Gwiazdnego Motyla*, ten ostatni zaś nadal sunął naprzód, a jego długie złote skrzydła napęczniałe od światła mimo wszystko utrzymywały kurs na trzy światełka.

Światło pierwotnego słońca osłabło wraz z odległością, a dwie czy trzy asteroidy, których nie zdołali wyminąć, przedziurawiły wielkie żagle z mylaru.

Motyl zaczął niedostrzegalnie tracić prędkość – najpierw do dwóch i pół miliona, później do dwóch milionów dwustu tysięcy kilometrów na godzinę.

60. TYSIĄC LAT DOJRZEWANIA

Po wojnie pokój.

Po pokoju znów wojna.

W przerwie zaś zaledwie kilkadziesiąt lat, akurat tyle, żeby zapomnieć o zgubnych skutkach wojny i racjach przemawiających za pokojem.

W modzie odzieżowej zapanował styl zielonego kamuflażu w liście, i to zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Malowano się w tym samym duchu.

Hodowlę zwierząt porzucono, plony spadały, ludność zaś zaczęła nękać głód i niedożywienie.

Organizmy stawały się mniej odporne.

Paradoksalnie – żeby dostarczyć mięso armatnie, zachęcano kobiety do rodzenia jak największej liczby potomstwa w imię świętej sprawy wojennej. Więcej dzieci, mniej żywności, więcej żołnierzy, mniej rolników – tak właśnie wyglądała logiczna spirala historii w cylindrze.

Tych, którzy nawoływali do zgody i powrotu do pracy w polu, wyszydzano.

Żądza wojny ogarnęła wszystkie umysły, istoty rozumne zaś, które dążyły do ustanowienia pokoju, wieszano u bram prowadzących do obu miast i umieszczano im na szyjach tabliczki z napisem ZDRAJCA.

Trzeba było interwencji z zewnątrz, aby powstrzymać te jakże niszczycielskie wojny.

Epidemia grypy, której nikt nie był w stanie powstrzymać, spowodowała takie spustoszenie, że oba miasta postanowiły chwilowo zapomnieć o sporach i zjednoczyć się w walce z wirusem. Po długotrwałych dysputach na granicy między swoimi terytoriami założyły duży szpital i zaprzęły biologów do wspólnej pracy mającej na celu znalezienie lekarstwa na tę plagę. Ofiar śmiertelnych było coraz więcej.

Pod koniec trzeciego pokolenia jakiś znachor odkrył na nowo zapomnianą szczepionkę. W jednej z książek w bibliotece odnalazł pomysł wszczepienia unieszkodliwionych mikrobów.

Populację cylindra dotknęła jednak także inna choroba, nazwana powściągliwie „chorobą kosmosu”.

Pewien znachor stwierdził, że jej przyczyną jest zbyt wielkie zagęszczenie w przeludnionych miastach. Pociąga ono bowiem za sobą rozmnażanie się szczurów, karaluchów i

much. Trzeba przyznać, że po pierwszej wojnie w cylindrze ogólna higiena ludności wyraźnie spadła.

Dwie wielkie stolice, Miasto Raj i Miasto Piekło, podzieliły się na dziesiątki wiosek połączonych siecią dróg i ścieżek.

Nastąpiła odnowa rolnictwa i rzemiosła.

Niektóre wioski przynosiły więcej dochodów niż inne i mimo ustanowionego przez założycieli zakazu pojawiły się pieniądze w formie bitych metalowych krążków.

Jednocześnie gangi rabusiów okradały domy, a nawet napadały na wioski całymi hordami.

Powróciły walki na miecze i tarcze.

Niektóre osady postawiły palisady, aby bronić się przed atakami band na rowerach. Na szczęście roślinność zdążyła wyrosnąć tak bujnie, że lasy zapewniały wszystkim spore zapasy drewna.

Kiedy miecze i łuki okazały się niewystarczające, mimo zakazu rabusie również zaczęli szperać w bibliotece i odkryli tajemnicę katapult. Zaczęli więc produkować maszyny, które były w stanie wyrzucać pociski bardzo daleko i bardzo wysoko.

Niestety, kula wystrzelona przez jakiegoś niezdarego stłukła krawędź sztucznego słońca. Całe szczęście, że centralny neon składał się ze stu dwudziestu lamp umieszczonych obok siebie, inaczej Motylanie zostaliby skazani na wieczny mrok. Wypadek ten wystarczył jednakże do tego, aby wydano zakaz produkcji broni dalekiego zasięgu. Obowiązywał on przynajmniej dopóty, dopóki pamiętano o zniszczeniach, jakie może ona spowodować... czyli do narodzin kolejnego pokolenia.

Był rok pięćset sześćdziesiąty Nowej Ery i właśnie wtedy pojawił się pewien wyjątkowy przywódca hordy, Nicolas-52, który pierwszy wpadł na pomysł wydrążenia tuneli pod palisadami, żeby rabować wioski. Kiedy udało mu się zaskoczyć pięć osad na czele uzbrojonej armii, którą zwano „kretami”, postanowił zwołać na naradę wszystkich wodzów.

Nicolas-52 zaproponował powszechne zawieszenie broni.

Nie przypadło to do gustu wodzom hord i wiosek, którzy nie zamierzali poniechać ani kłótni, ani osobistej zemsty. A poza tym nie widzieli powodu, dla którego rozejm miałby zapaść pod przewodnictwem Nicolasa-52. Ten ostatni doprowadził jednak do zgody, zapraszając wszystkich na ucztę. Zatrute jedzenie. Wszyscy zmarli. Nie pozostał ani jeden wódz hordy, ani

jeden burmistrz, nie było żadnej siły zdolnej powstrzymać królestwo Nicolasa-52.

Jego pierwsza przemowa dotyczyła kóz i owiec. Oświadczył w niej, że najlepszym sposobem na pogodzenie skłóconych ze sobą kóz i owiec jest wypuszczenie wilka.

Jako wilk rozpoczął od zmiany imienia na Ele-1.

Sam też dorzucił do niego przydomek „Wielki”. Ele-1 Wielki.

Uważał się za potomka w prostej linii Yves’a-1 i Elisabeth-1, legendarnej pary założycielskiej.

Ci, którzy usiłowali mu się przeciwstawić albo podawali w wątpliwość jego pochodzenie, znikali w tajemniczych okolicznościach.

Zgromadzenie Mędrców obrało Ele-1 jedynym królem.

Od tej pory w cylindrze, wreszcie na powrót zjednoczonym pod terrorem jego rządów, zapanowała tym większa stabilność, że monarcha nie znosił najmniejszego sprzeciwu. Otwarto mury, Miasto Raj zaś ogłoszono jedyną prawdziwą stolicą.

Ele-1 narzucił zasadę „trzech kroków w przód i jednego kroku w tył”. Zdawał sobie bowiem sprawę, że każdy krok na drodze postępu wywołuje fazę reakcji i regresu, ale że należy ją ograniczyć. Jeden krok w tył i kolejne trzy w przód.

Ele-1 Wielki zmarł ze starości w wieku stu jedenastu lat, tytuł „Ele” zaś stał się synonimem „króla Cylindra”.

Jego syn Ele-2 nie miał już takiej charyzmy jak on. Naród ochrzcił go ironicznie Ele-2 „Mniej Wielkim”. Opierając się na wspomnieniach terroru, jaki siał jego ojciec, zdołał osiągnąć tyle, że pokolenie od roku sześćsetnego do sześćset pięćdziesiątego zaznało jedynie drobnych lokalnych konfliktów.

W roku siedemset trzydziestym wybuchła kolejna epidemia grypy. Tuż po niej powstała zaś nowa religia, „Religia Prawdy”, którą zapoczątkował człowiek uważający się za proroka. Jakby na przekór jego brat stworzył inną religię – „Prawdziwą Wiarę”.

W roku siedemset pięćdziesiątym rozpoczęła się wielka wojna między wyznawcami religii obu proroków.

Zasadę „trzech kroków w przód i jednego kroku w tył” zastąpiła zasada „trzech kroków w przód i dwóch kroków w tył”.

W roku siedemset osiemdziesiątym pojawiła się trzecia grupa, określająca się jako ateistyczna i antyreligijna.

Tak zwana „Wojna Trzech Wiar” trwała dziewiętnaście lat i spowodowała całkowity pożar największego lasu w cylindrze, co zakłóciło równowagę ekologiczną i sprawiło, że powietrze z trudem nadawało się do oddychania. Wojownicy walczyli bez tchu. Wszyscy pocili się nieustannie.

W roku siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym bitwa na rowerach, w której wzięło udział trzy tysiące uzbrojonych rowerzystów, doprowadziła do absolutnego zwycięstwa frakcji antyreligijnej. Przywódcę ateistów obwołano nowym Ele, Ele-3. Ele-3 „Bezbożny”. Ogłosił on zakaz wszelkich religii.

W roku osiemset trzynastym nastąpił bunt nastolatków, którzy nawoływali do zabicia wszystkich starców.

Tak zwana „Wojna Pokoleń” trwała czterdzieści jeden lat. Sprawiała, że znów użyto katapult i zniszczono dwadzieścia neonów sztucznego słońca. Pozostało ich tylko dziewięćdziesiąt dziewięć, toteż wiele regionów pogrążyło się w ciemnościach.

Zasadę „trzech kroków w przód i dwóch kroków w tył” zastąpiono zasadą „dwóch kroków w przód i dwóch kroków w tył”.

W roku osiemset pięćdziesiątym czwartym, korzystając z zamieszek wywołanych przez chłopów, nowy król Ele-4 wprowadził niezwykle twarde rządy. Uchwalono bardzo rygorystyczne prawa.

Ludzie musieli zrezygnować z kolorowych strojów na rzecz czarnych mundurów. Nadawano tylko jedną oficjalną muzykę. Była tylko jedna książka: mała Czarna Książeczka. Zakazano dowcipów i tańca. Donosicielstwo stało się obowiązkowe. Miłość, uznana za antyrządową, zastąpiono „dążeniem do prokreacji w celu zwiększenia liczby poddanych państwa”, uważanym za jedyne szlachetne uczucie.

Jeden król, jedna myśl, jeden rozkaz. Każdy na swoim miejscu i nikt się nie rusza.

Ele-4, zwany Niezmiennym, wprowadził regułę Stałości.

Według niego, nieszczęście człowieka wynika z chęci zmiany własnego statusu. Szczęście zaś polega na bezruchu. W imię reguły Stałości Ele-4 zakazał wszelkich oryginalnych pomysłów. Zakazał wszelkich wynalazków. Zakazał proponowania odmiennych rozwiązań zamiast reguł ustanowionych przez rząd.

Osoby sprzeciwiające się Stałości karano śmiercią w męczarniach, aby odstraszyć pozostałych.

Słowa, takie jak „ewolucja”, „nowość”, „propozycja”, „sugestia”, „ambicja”, „oryginalność”, zostały zabronione jako nośniki idei destabilizacyjnych. „Jutro musi być kolejnym wczoraj” – brzmiała dewiza nowego króla. Stałość traktowano jako jedyną ochronę przed Chaosem. Zgodnie z filozofią stałości, szczęście polega na trwałości. Celem każdej szlachetnej jednostki powinien być bezruch. Według „oficjalnych” filozofów wszelkie nieszczęścia człowieka biorą się stąd, że nie jest on nigdy zadowolony ze swojego losu. Nie potrafi cieszyć się w spokoju tym, co ma, tylko chce tego, czego nie ma. Zużyto wiele energii, aby broń Boże nic nie drgnęło.

Po zasadzie „dwóch kroków w przód i dwóch kroków w tył” nowy wódz wymyślił nowy program, a mianowicie „ani kroku w przód, ani kroku w tył”.

Plan pięcioletni przewidywał, jak będzie wyglądało jutro, z tym większą dokładnością, że bardzo liczna policja i tajne służby istniały właściwie po to, żeby to zagwarantować.

W celu rozładowania napięć Ele-4 Niezmienny wprowadził kolejne trzy dni Karnawału oraz mecze piłkarskie na obszarze zamkniętym, które traktowano jako zapobieganie wojnie.

Stałość wymyślona przez Ele-4 trwała czterdzieści lat, podczas których nie wydarzyło się nic godnego uwagi.

Trzeba było poczekać, aż tyran się zestarzeje, żeby bunt, wzniecony przez jego ministra do spraw bezpieczeństwa, który nazwał się później Ele-5, położył wreszcie kres Wielkiej Stałości.

Za sprawą innych zazdrosnych ministrów nastąpiły liczne zamachy stanu, podział na rywalizujące ze sobą małe baronie i wreszcie na koniec okres totalnej anarchii.

Po pokoju wojna.

Po centralizacji rozproszenie.

Po wielkich miastach wioski.

Po rządach demokratycznych rządy autorytarne.

Po spokoju szaleństwo.

Po anarchii totalitaryzm.

Po rzeziach narodziny.

Po pstrej modzie moda zasadnicza.

Tłum pasażerów zaznał czegoś, co zostanie z czasem nazwane „historycznym oddechem ludzkiego stada”.

Po wdechu wydech.

Pewna kobieta, Elisabeth-5, wpadła nawet na pomysł opracowania naukowego systemu, który obliczał prawdopodobieństwo następowania po sobie cykli wojennych, gospodarczych, epidemiologicznych, rolnych, ubraniowych czy żywieniowych. Napisała dzieło zatytułowane *Sezonowe cykle Głupoty*. Nikt jednak nie chciał jej słuchać i nikt nie chciał poznać przyszłości.

W roku dziewięćset piątym dwóm szefom band udało się zorganizować dwa wyraźne obozy. Przejawszy Miasto Raj i Miasto Piekło, rozegrali między sobą wojnę dokładnie jak ich przodkowie kilka wieków wcześniej, posługując się katapultami i „rowerową kawalerią”.

Po cylindrze nie sposób się było poruszać bez zbrojnej eskorty. Drobnym handlu, który rozkwitł między miastami, zakłócały napady rabusiów.

Zasadę „trzech kroków w przód i jednego kroku w tył” zastąpiono zasadą „jednego kroku w przód i trzech kroków w tył”.

Następujące kolejno po sobie pokolenia powielały błędy ojców, szukając właściwych rozwiązań, wypróbowując nowe style życia, nowe religie, nowe filozofie, nowe prawa, nowych tyranów, nowych przywódców, nowe mody. Za każdym razem upadek okazywał się jeszcze bardziej bolesny. Epidemie zbierały jeszcze potężniejsze żniwo śmierci. Tyrani stali się jeszcze bardziej krwawi. Okresy anarchii zaś powodowały jeszcze więcej zniszczeń.

Po zasadzie „jednego kroku w przód i trzech kroków w tył” przyszła kolej na „jeden krok w przód i cztery kroki w tył”. Teraz zbita była połowa lamp słonecznych, lecz nikt nie potrafił ich naprawić ani wyprodukować nowych.

Zawsze jednak istniał jeden krok w przód.

Nastąpiły okresy pokoju i nadziei. Cudowni królowie, którzy wprowadzili nowatorskie pomysły.

Zwłaszcza Ele-12, zwanym Byстрыm, a potem jego równie natchniony syn, Ele-13, zwany Wspaniałym. Nastąpiła era Zgromadzeń Mędrców, które przyczyniły się do rozwoju nauki i podniesienia poziomu wiedzy. Egalitarnych społeczeństw, w których panowała powszechna solidarność, szczęście jednostki zaś nie mogło istnieć bez powodzenia ogółu.

Stworzono wielkie symfonie, freski, zadziwiające rzeźby, finezyjne wynalazki, nowatorskie budowle.

Po czym znów dała o sobie znać strachliwa, żądna przemocy małpa drzemiąca w ludzkim umyśle. Pokój okazał się czymś kruchym. Wystarczył morderca szaleniec, grupa terrorystów,

przebiegły dyktator i pozostający na jego usługach spiskowcy, żeby cała budowla społeczna legła w gruzach.

Po Ele-13 Wspaniałym nastął Ele-14 Fanatyk.

Po Ele-15 Tolerancyjnym nastął Ele-16 Krwawy.

Po mędrkach nastali tyrani.

Ci zaś, odwołując się do najniższych instynktów, mieli jednak większy posłuch niż ci, którzy dążyli do wzniesienia umysłów na wyższy poziom. Po kroku w przód przyszła kolej na pięć kroków w tył. Stare teksty nie uległy jednak zapomnieniu, ciągle więc w Wielkiej Bibliotece Miasta Raju można było znaleźć księgi opisujące dzieje *Gwiezdnego Motyla*. Była to nie przewodnia, która chociaż napięta, nie została zerwana, nawet najwięksi despoci i najdzikszy rabusie chcieli bowiem wiedzieć, dlaczego tu są i dokąd zmierza statek.

W roku tysięcznym *Gwiezdny Motyl* znajdował się jeszcze daleko od gwiazdy JW103683. Za sprawą najczystszeo przypadku wśród ludzkości cylindra tego roku panował pokój.

Trzy światełka znajdowały się nadal naprzeciwko, jednak teleskopy i radioteleskopy na statku ciągle nie były w stanie wychwycić gwiazdy, która zgodnie z opowieścią Yves'a-1 powinna się pojawić pośrodku.

W roku tysiąc piątym przyszedł czas na kolejną epidemię, kolejną wojnę, kolejną dyktaturę, kolejną rewolucję, kolejny pokój.

Potem już nikt nie zwracał na to uwagi. Tak jak nie zwraca się uwagi na następujące po sobie pory roku.

W roku tysiąc dwieście pięćdziesiątym pierwszym niejaki Jocelyn-84, który pełnił wtedy funkcję sternika, namierzył wreszcie jakąś gwiazdę pośrodku trójkąta utworzonego przez trzy światełka.

W tym momencie z powodu chorób i wojen z początkowej liczby stu czterdziestu czterech tysięcy pasażerów pozostało... sześciu osobników.

61. POZOSTAŁOŚCI PO EKSPERYMENCIE

W kadłubie *Gwiezdnego Motyla* było ciemno.

Ze stu dwudziestu fragmentów sztucznego słońca nad marmurowym tarasem działał tylko jeden. Im głębiej człowiek wchodził do kilsonu, tym gęstszy ogarniał go mrok, zdiczące rośliny zaś zagradzały drogę.

Jocelyn-84, stojący na szczycie tarasu opanowanego przez kolczaste pnącza, podłączył przewody i właśnie wypróbował mikrofon.

– Udało się! Mamy jakiś układ słoneczny w polu widzenia. Jego głos popłynął ze wszystkich działających nadal głośników.

Reszta ocalałych nadbiegła dolnymi i górnymi schodami. Kiedy ustawili się rzędem na tarasie, mogli im się przyjrzeć. Było to pięciu pasażerów *Motyla*.

Sześcioro ostatnich pasażerów *Motyla* (sześcioro razem z nim) pokrywały strupy, ich ubrania zaś były całe w strzępach.

Wszyscy byli młodzi. W wieku od szesnastu do dziewiętnastu lat. Mieli długi zarost, zniszczoną skórę i wydzielali silny zwierzęcy zapach.

Znajdowała się wśród nich tylko jedna dziewczyna, którą można było poznać po długich włosach i braku brody.

Cofnąwszy się do stadium myśliwych-zbieraczy, ostatni przedstawiciele gatunku ludzkiego z *Gwiezdnego Motyla* mieszkali w ruinach Miasta Raju, nie uprawiając niczego, żywiąc się jagodami i grzybami. Strzelali z łuku do zielonych fosforyzujących królików, które rozmnażały się bezustannie, odkąd ludzie przestali nad nimi panować. W ciemnościach cylindra świecące króliki były niczym łatwe do ucelowania błędne ogniki. Podobnie jak ryby z otchłani, przystosowały się one do mroku, tak zmieniając kod genetyczny, żeby wytwarzać własne światło.

Poza królikami na dużą skalę rozmnażały się takie gatunki, jak mrówki, muchy, szczury i zmutowane koty, ostatni potomkowie Domina-1. Przypominały małe rysie, fosforyzujące na niebiesko z powodu przystosowania do ciemności. Mimo że pozbawione ostrych kłów i pazurów, te zmutowane koty mogły się okazać groźne dla ludzi, jeśli polowały całą zgrają.

Jeziro zamieniło się w obrzydliwe błotniste bagno, jego brzegi zaś stały się strefą ruchomych piasków, gdzie niebezpiecznie było się zapuszczać. Salamandry rozwinęły w sobie zdolność świecenia na czerwono, żaby z kolei na niebiesko.

Ogromny las przekształcił się w gęstwinę kolczastych, pozlepianych sieciami zmutowanych pająków zarośli, nad którymi latały kruki. Jedynie położony na płaskowyżu cmentarz dawał jeszcze słodkie owoce. Było to miejsce, w którym znajdowało się najmniej komarów, prawdopodobnie dlatego, że owoce przyciągały nietoperze, które polowały na owady.

Szóstka ostatnich ocalałych z projektu „Ostatnia Nadzieja” rzuciła się razem do prawego oka *Motyła*.

– Mówisz poważnie: to układ słoneczny, Joss? – zapytał najwyższy z nich, drapiąc stropy pod zarostem.

– Co robimy? – chciała wiedzieć jedyna dziewczyna w grupie, nosząca imię Elisabeth-15.

– Cóż, lecimy tam... – odparł blondyn nazywany Gabrielem-54.

Przerwawszy drapanie, najwyższy z nich, długobrody Nicolas-55, wziął lornetkę i zaczął się wpatrywać w układ słoneczny.

– Ale wokół tej gwiazdy jest mnóstwo planet!

– Która jest dobra? – zapytał Ele-19, najgrubszy z nich.

– Nie mówiąc już o satelitach. Nasz statek jest za duży i za mało zwrotny, żebyśmy dali radę je wszystkie zwiedzić. Musimy wybrać jedną z nich – stwierdził Adrien-18, niski brunet o kręconych włosach i brodzie.

Wówczas dziewczyna oznajmiła, że jej matka знаła pewną tajemnicę, którą przekazała jej babka, która z kolei usłyszała ją od swojej babki.

– Dokładne wskazówki na temat planety są schowane w schowku zaznaczonym rzeźbionym motylem. Tutaj!

Mówiąc to pokazała na ster. Gabriel-54 z miejsca spróbował podważyć płytkę długimi, brudnymi paznokciami. Kiedy mu się nie powiodło, wyciągnął nóż i zaczął skrobać metal.

– Ale powiedziała mi też, że aby go otworzyć, trzeba znaleźć rozwiązanie pewnej zagadki.

Wysiliwszy pamięć, wyrecytowała:

To jest na końcu poranka.

To jest w samym środku nocy.

I można to zobaczyć, spoglądając na księżyc.

Na ich twarzach malowało się powątpiewanie.

– To musi być zagadka z dawnych czasów, skoro mowa w niej o księżycu starej Ziemi.
„Starej Ziemi”.

Słowa te wprawiły ich w zamyślenie. Żaden z nich nie miał pojęcia, skąd pochodzą. Jako jedyne wspomnienia pozostały im mgliste opowieści rodziców, którzy z kolei usłyszeli je od własnych przodków.

Istniało wiele legend na temat Ziemi.

Dla wszystkich planeta, z której pochodzili, była miejscem mitycznym, gdzie działy się niezwykle rzeczy. Poza tym krążyło mnóstwo rozmaitych „podobno”.

Podobno były tam jeziora tak wielkie, że kiedy człowiek znajdował się pośrodku, nie mógł dojrzeć brzegów.

Podobno ludzie posiadali tam dwa imiona. Jedno dla siebie, a drugie po to, żeby przypominało im krainę, z której pochodzą, i historię ich rodziny.

Podobno wyprodukowali broń, która pozwalała zabić tysiące ludzi w ciągu jednej sekundy.

Żadne z nich nie wierzyło jednak w te legendy.

Dla szóstki ocalonych ci ze starej Ziemi to byli ludzie, którzy „sporo wiedzieli, ale się pomylili”.

– Powinniśmy poszperać w bibliotece – zaproponowała dziewczyna.

– Ależ skąd. Dobrze wiesz, Elith, że bibliotekę splądrowano i spalono podczas ostatniej wielkiej wojny.

– Może zachowały się jakieś książki w nienaruszonym stanie.

– Mimo wszystko spróbujmy – zgodził się Adrien-18.

Wszyscy zabrali się do szukania.

– Na końcu poranka jest południe. Słońce powinno wtedy stać wysoko. To musi mieć związek ze słońcem.

– W środku nocy słońce jest schowane.

Rozwiązanie znalazł Adrien-18.

– Litera „K” – obwieścił.

– Dalej, mów jaśniej!

- To jest na końcu poranka, bo to ostatnia litera tego słowa.
- Zgadza się.
- To jest w środku nocy, czyli wewnątrz tego wyrazu.
- Nieźle.
- A kiedy się patrzy na słowo „księżyc”, na początku widać literę „K”.

Nacisnęli więc po prostu na literę „K” znajdującą się w słynnej dewizie OSTATNIA NADZIEJĄ JEST UCIECZKA, wyrytej na sejfie.

Natychmiast otworzyło się skrzypiąc małe wieko.

W środku znajdowała się złożona mapa.

- Więc która to planeta? – zapytała dziewczyna, drapiąc swędzącą owłosioną skórę.

Ten, który kazał na siebie wołać Ele-19 i który twierdził, że jest potomkiem ostatnich królów, rozłożył mapę, odkrywając planetę oznaczoną strzałką.

- Według mapy to czwarta, począwszy od ich słońca – oświadczył, spluwając nerwowo na podłogę.

Czym prędzej spojrzeli przez lornetkę we wskazanym kierunku. Dostrzegli małą, szarą planetę ze śladami po uderzeniach meteorytów.

- Nie, to nie czwarta – sprostowała Elisabeth-15. – Popatrz dokładnie na mapę, o tu, obok, to nie jest planeta. Jest za mała i za blisko innej, większej.

- Więc co to takiego?

– Po prostu jej satelita. Prawdopodobnie dlatego, że w czasach, kiedy Yves-1 ją obserwował, aktualna koniunkcja sprawiła, że satelita, obracając się, znajdował się na trzeciej pozycji, a planeta na czwartej. Ale przy obrocie położenie się zmienia. Ta właściwa to obecna trzecia, czyli większa.

Gwiezdny Motyl zmienił kurs, kierując się dokładnie ku tej właśnie planecie.

Dziewczyna zaś odniosła wrażenie, że wszechświat od dawna spiskuje po to, aby nie kto inny, tylko ich szóstka dotarła do tego miejsca.

Tu i teraz.

III

PRZYJAZD NA OBCA PLANETĘ

62. KAMIEŃ FILOZOFICZNY

Nazajutrz cała szóstka wstała, chłopcy się ogolili, po czym wszyscy zaczęli się przygotowywać psychicznie do zejścia na planetę docelową.

Poszperawszy w bibliotece, znaleźli kilka książek, które ocalały przed grabieżą i opowiadały o życiu na dawnej Ziemi.

Większość opowieści była niezrozumiała.

Kiedy Adrien-18 oglądał po raz enty mapę z zaznaczoną planetą docelową, dziewczyna dostrzegła z tyłu jakiś napis.

Chciała mieć spokojne sumienie.

Było tam napisane:

WIEDZA JEST W DRZEWIE Pod spodem zaś: NALEŻY KONIECZNIE JĄ ZDOBYĆ PRZED WYLĄDOWANIEM. W TYM CELU TRZEBA SOBIE JEDNAK PRZYPOMNIEĆ TĘ, KTÓRA MIAŁA NIEBIESKIE OCZY I WIATR W RUDYCH WŁOSACH.

– Cholera, jeszcze jedna zagadka – westchnął Jolecyn-84.

– Skoro masz smykałkę do rozwiązywania zagadek, spróbuj, Adrienie, wytłumacz nam, co to znaczy.

Młodzieniec zmarszczył brwi.

– Napisał to Yves-1. To musi mieć związek z jego żoną, Elisabeth-1.

Po kilku minutach znaleźli ją na cmentarzu.

– Jak rozpoznać właściwe drzewo wśród tylu innych?

Adrien-18 wyjął książkę z opowieścią pasażera, którą znalazł w bibliotece.

– Elisabeth-1 zmarła jedna z pierwszych, a więc musi to być jedno z najstarszych drzew.

Spośród najstarszych drzew namierzyli grupę składającą się z gruszy, drzewa oliwnego, moreli i jabłoni.

Elisabeth-15 odczytała na nowo wiadomość:

– Wiedza jest „w” drzewie. W takim razie powinniśmy szukać wewnątrz pnia.

Zabrali się do ścinania wszystkich trzech drzew, po czym przepiłowali je na plastry. W końcu Ele-19 znalazł.

– Jest w starej jabłoni!

Rzeczywiście, w środku znajdowała się skrytka.

W schowku zaś leżały trzy opasłe książki zapisane drobnym maczkiem.

Pierwsza nosiła tytuł *Dziennik pokładowy*, druga *Encyklopedia starego świata*, trzecia zaś *Nowa planeta: instrukcja obsługi*.

Wszyscy byli pod wrażeniem tych pozostałości liczących ponad tysiąc lat.

Elisabeth-15 zacisnęła dłonie na ostatnim tomie, jakby chciała poczuć tkwiącą w nim energię. Po czym, przyświecając sobie świeczką, przeczytała głośno pierwszą stronę:

– Być może pewnego dnia czyjeś oczy przebiegną po tych kartkach i przeczytają niniejsze słowa. Chcę, aby wiedziały, że porzuciliśmy naszą rodzinną planetę tylko dlatego, że naszym zdaniem nie miała już żadnych szans na ratunek, że ostatnią nadzieją jest ucieczka i że przyszłość rodzaju ludzkiego spoczywa w innym miejscu kosmosu.

Cała szóstka spojrzała po sobie, mając świadomość, że czytają zdania, w których każde słowo ma istotne znaczenie. Elisabeth-15 czytała dalej:

– Tysiącletnia podróż na odległość dwóch lat świetlnych, żeby dotrzeć na inną planetę w innym układzie słonecznym. Takie rzuciliśmy sobie wyzwanie. Kimkolwiek jesteś, ty, który odkryłeś ten tekst, mam nadzieję, że jesteś godny pojąć sens podróży „Gwiezdnego Motyla”. Naszym zdaniem to rzeczywiście „Ostatnia Nadzieja”.

Teraz pozostaje tylko zbudować gdzie indziej, inaczej, „coś innego”. Najlepiej „coś lepszego”. To ty się tym zajmiesz. Napisałem tę książkę, żeby ci w tym pomóc.

Cała szóstka milczała przez jakiś czas, jakby chciała to przetrawić.

– Przede wszystkim musisz wiedzieć, że w „Gwiezdnym Motylu” jest ukryty prom lądujący.

– Prom?

– Wewnątrz zaś laboratorium biologiczne, którego celem jest powołanie do życia tysięcy zwierząt i roślin. Na razie znajdują się one w probówkach, w chłodniach, w stanie nasion i zapłodnionych jaj, ale wytłumaczę ci, jak je zasiać albo doprowadzić do ich narodzin. Dzięki temu będziesz mógł odtworzyć na nowej planecie faunę i florę ze starej Ziemi.

Podawali sobie dzieło z rak do rąk. Zawierało ono mnóstwo rozdziałów o wiele mówiących tytułach: *Jak wystartować z Gwiezdnego Motyla*, *Jak pilotować Muszkę 2*, *Jak wysiewać nasiona czy Jak wspomagać wykluwanie się jaj*. Ten ostatni rozdział zawierał zresztą następujące podrozdziały: *Owady, Ryby, Gady, Ptaki, Ssaki*.

– Yves-1 przewidział wszystko – przyznał Adrien-18, podziwiając rysunki, schematy objaśniające, metodologie odpowiadające każdej formie życia.

– Spisywał to wszystko przez trzydzieści lat. Prawdziwa encyklopedia wiedzy.

– To tak, jakby wyłącznie za pośrednictwem tych książek łączył nas z wiedzą ze starej Ziemi.

– Cała historia, jaka wydarzyła się w cylindrze, była więc jedynie epizodem. Na początku nastąpił start i napisanie niniejszej książki. Na koniec lądowanie i lektura książki.

– A co ze wszystkimi ludźmi, którzy żyli „pomiędzy”? – zapytał Ele-19.

– Przynajmniej nie udało im się całkowicie zniszczyć marzenia tego człowieka – zadrwił Jocelyn-84.

Adrien-18 pogładził starą okładkę.

– Ileż władzy kryje się w zwykłym przedmiocie złożonym z kawałków papieru pokrytych małutkimi znaczkami wykonanymi atramentem!

Przewracali kartki z szacunkiem.

Na koniec zaś przeczytali osobliwy ustęp, który wprowadził ich w zakłopotanie.

My też jesteśmy w pewnym sensie plemnikami, które przekazują życie we wszechświecie. Biologicznie „Gwiazdny Motyl” nie jest niczym innym jak tylko przekaźnikiem życia, podróżującym w poszukiwaniu planety-jaja, którą mógłby zapłodnić. Ale nie jest wyłącznie życiem. To „życie + wiedza”. I właśnie dzięki temu dodatkowi wiedzy będziemy mogli uniknąć powielania tych samych błędów, które pociągają za sobą te same niepowodzenia.

Adrien-18 pomacał okładkę książki i wyczuł lekkie zgrubienie.

– Pod spodem coś jest ukryte.

Rozdarłszy okładkę, znalazł mały płaski klucz. Tymczasem Elisabeth-15 przeczytała jeszcze raz fragment, który wcześniej od razu wpadł jej w oko.

– Według tej książki w *Motylu* jest schowany statek lądujący *Muszka 2*. A ten klucz ma nam pomóc go odnaleźć.

Nazajutrz zdołali w końcu odnaleźć prom, przekręcając klucz umożliwiającą przesunięcie fałszywej ściany w magazynie części zapasowych, między kadłubem a głową statku.

Pojazd przypominał *Gwiazdny Motyl*, ale w pomniejszeniu. Z przodu widniało tylko jedno oko w kształcie kuli, dalej znajdował się walcowaty kadłub i wreszcie brzuch zakończony sześcioma reaktorami.

Śluzę otworzy! Cle-19. Pozostali wśliznęli się za nim. Za wyjściem ujrzeni kabinę pilota z dwoma fotelami, z tyłu zaś Adrien-18 odkrył laboratorium z setkami probówek, na których zapisane były nazwy zwierząt i roślin.

– Sztuczne macice i inkubatory do wylęgania jaj – powiedział Ele-19, wskazując aparaturę.

– Chyba będziemy musieli doprowadzić do narodzin płodów w macicach i wysiedzenia ich, to nam pozwoli odtworzyć życie – ucieszyła się Elisabeth-15.

– Dlaczego nie mielibyśmy zrobić tego tutaj? – zapytał Jocelyn-84, zdając sobie sprawę, że zwierzęta z cylindra zdążyły za bardzo zmutować, aby się do tego nadawały.

– Prom jest za ciasny, żeby można było je przewieźć – odparł jego sąsiad, wzruszając ramionami. – Spójrz, przy każdej próbce jest rysunek zwierzęcia, jego przybliżone wymiary i ciężar. Ten tutaj, „słoń”, ma spokojnie dwa metry wysokości. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdybyśmy pozwolili mu się narodzić i gdyby zniósł jaja!

Ele-19 znalazł notatkę o starcie *Muszki 2* umieszczoną na desce.

– Jest tylko jeden problem – oznajmił. – O ile dobrze rozumiem, ten pojazd może pomieścić zaledwie dwóch ludzkich pasażerów. A nas jest sześcioro.

– Zaczekaj. Wystarczy się trochę ścieśnić. Wszyscy możemy się tam wcisnąć – zaproponował Jocelyn-84.

– Przykro mi, ale zgodnie z tym, co tu jest napisane, prom ma zapas tlenu tylko dla dwóch osób – odrzekł Ele-19.

– Będziemy rzadziej oddychać – zaproponował Nicolas-55, nagle zaniepokojony.

– Podczas podróży trwającej co najmniej jeden dzień?

Ele-19 nadal wpatrywał się w tekst.

– Tak czy inaczej jest jeszcze jedno ograniczenie: ciężar. Ponieważ statek unosi się na żaglach, nie może udźwignąć ciężaru większego niż dwie osoby.

Spojrzeni po sobie. Dieta oparta na jagodach i owocach, podobnie jak fluorescencyjne króliki nie sprzyjały otyłości. Ele-19 był potężniejszy niż reszta z racji budowy, Nicolas zaś z powodu wzrostu. Adrien-18 wypowiedział na głos to, co wszyscy myśleli:

– W każdym razie skoro wśród nas jest tylko jedna dziewczyna, rozumie się samo przez się, że poleci Elith, żeby ludzkość miała szansę się tam rozmnażać.

W tej chwili pożałowali, że nie zalecali się do niej wcześniej.

– Pozostaje teraz wybrać jednego z nas pięciu – oznajmił Nicolas-55.

– Powinniśmy ciągnąć słomki – zaproponował Ele-19.

Zamilkli ze świadomością, że czwórkę pechowców czeka śmierć w cylindrze *Gwiezdnego Motyla*.

Jocelyn-84 uśmiechnął się z rozczarowaniem.

– Sto czterdzieści cztery tysiące pasażerów na początku, wybranych naukowo spośród sześciu miliardów, a na koniec o losie dwójki ostatnich ma zdecydować zwyczajna słomka.

– Słomka? Nie, to zbyt przypadkowe – sprzeciwił się Gabriel-54. – Na tamtą planetę musi polecieć najlepszy z nas. Tu chodzi o przyszłość całego gatunku. W świecie zwierząt samce biją się o samice. Urządzimy pojedynki, a najsilniejszy odejdzie razem z nią.

– Pojedynki na co? Na noże? Na miecze? Na łuki? Na maczugi? Na katapulty?

– Nie, pojedynki nagrodziłyby tego, który jest najbanalniejszy – oświadczył Ele-19. – Ja proponuję raczej szachowe turnieje. One wskażą najinteligentniejszego z nas.

– Mówisz tak, bo jesteś bardzo dobry w szachy, ale powinno się przeprowadzić test, w którym wszyscy mieliby jednakowe szanse na wygraną. Może karty? – podsunął Gabriel-54.

– A dlaczego nie bieg, żeby wyłonić najszybszego?

Nicolas-55 zasugerował walkę na pięści.

Adrien-18 próbę wytrzymałości na ból.

Ele-19 upierał się przy partii szachów.

Gabriel-54 obstawał przy pojedynku na miecze. Jocelyn-84 przy zawodach sportowych typu wyścigi. Długo się sprzeczali, aż wreszcie Adrien-18 wpadł na pomysł, który żadnemu z nich nie przyszedł dotąd do głowy.

– Ten kto poleci z Elith na obcą planetę, powinien zostać jej towarzyszem życia, może więc wystarczy po prostu ją zapytać, z kim ma ochotę się tam wybrać.

Trafność pomysłu wprowadziła pozostałych w zdumienie.

Elisabeth-15 podeszła do pięciu mężczyzn, przyjrzała się im uważnie, po czym powąchała oddech każdego z nich i zażądała, żeby pokazali zęby i dłonie. Na koniec oznajmiła:

– Ty!

63. EMULSJA NA GORĄCO

Kilka godzin później Adrien-18 nauczył się na pamięć wszystkich wiadomości potrzebnych do pilotowania *Muszki 2*.

Pożegnawszy się z czwórką pechowców, wsiadł na pokład promu w towarzystwie Elisabeth-15, która promieniała bardziej niż kiedykolwiek, jakby wybierała się na uroczystość zaślubin.

Śluza zewnętrzna się otworzyła, silniki zostały uruchomione. *Muszka 2* oderwała się od *Gwiazdnego Motyla*.

Przygotowali się na to, że po wylądowaniu będą się odżywiać za pomocą hermetycznie zamkniętych torebek, które zgromadzili w plecakach. Zabrali ze sobą także dwa łuki, noże i narzędzia: młotek, kielnię, motykę, łopatę...

Kiedy reaktory na paliwo umożliwiły im nabranie odpowiedniego dystansu do statku, *Muszka 2* rozłożyła swoje małe złote skrzydła z mylaru.

– Boisz się? – zapytała Elisabeth-15.

– Oczywiście, a ty nie?

– Czuję się tak, jakby w mojej krwi znajdowały się miliardy dusz. Tak jakby wszyscy ludzie, począwszy od pierwszego człowieka, byli tutaj niczym zjawy, obserwując nas i zastanawiając się, czy nam się uda.

Widniejąca przed nimi ciemna kula obcej planety nieustannie rosła. Elisabeth-15 przypomniała sobie ostatnie zdanie z książki Yves'a-1:

„Biologicznie *Gwiazdny Motyl* nie jest niczym innym jak tylko przekaźnikiem życia, podróżującym w poszukiwaniu planety-jaja, którą mógłby zapłodnić”.

– Kiedy byłem młodszy, wierzyłem, że wszechświat żyje. I że gwiazdy to oczy, które na nas patrzą.

Uśmiechnęła się.

– Myślę, że wszechświat ma swoje plany. Kiedy nie może ich zrealizować w określony sposób, wybiera inną drogę, a potem jeszcze następną. Właśnie dlatego jest tak dużo plemników. Żeby przynajmniej jednemu się udało. Jeśli poniesiemy klęskę, inni pójdą w nasze ślady później, gdzie indziej, inaczej.

– O ile na starej Ziemi są jeszcze jacyś ludzie...

Przełknęła ślinę i przeszła do kolejnego pytania.

– A ty jak uważasz, na czym polega wielki plan Wszechświata?

Chłopak sprawdził coś na desce rozdzielczej, żeby zyskać trochę czasu przed odpowiedzią.

– Powiedziałbym tak: na złożoności. Najpierw jest nic. Nic będące eksperymentem tkwiącej u podstaw złożoności. Potem materia, i tu sprawy trochę się komplikują. Następnie życie – to bardziej skomplikowane. Później inteligencja, później świadomość.

– I tutaj sprawy ogromnie się komplikują.

– Jesteśmy przekazicielami doświadczenia prawdopodobnie najbardziej zaawansowanej złożoności we wszechświecie: ziemskiej świadomości ludzkiej. Przynajmniej tego, czym ta świadomość jest teraz, po tym, jak dojrzewiała ona przez wiele tysięcy w wielu miliardach umysłów służących jako próbki. Właśnie ten owoc przekazujemy.

Dziewczyna uśmiechnęła się rozbawiona tym pomysłem, po chwili jednak jej uśmiech zamienił się w pełen niepokoju grymas.

Przez szybę w kokpicie widziała starego *Gwiezdnego Motyla*. Siedząc w środku, nigdy nie zdawała sobie sprawy, jaki jest wielki. Ogromne skrzydła z mylaru miały tysiące dziur, jakby żaglowiec brał udział w bitwie na armaty.

Tylko w najwyższym oknie kadłuba paliło się małe światełko. Ostatnia lampa, jaka ocalała z wojen domowych. Po raz pierwszy mogła się przyjrzeć z zewnątrz gigantycznemu statkowi będącemu rezultatem szalonych snów Yves'a-1.

– A jeśli ze starej Ziemi nie wystartują inne statki? – zapytała. – Jeśli jesteśmy jedynym „plemnikiem” pochodzącym z jedynej planety, na której jest życie, inteligencja i świadomość?

Adrien-18 nie od razu odpowiedział.

– W takim razie wszechświat pozostanie pusty. I wszędzie zapanuje tylko spokój, chłód, cisza oraz bezruch bez końca. Wszystko powróci do Niczego.

Dziewczynę przeszedł niepowstrzymany dreszcz. Chwyciwszy jabłko, które zabrała przed wyjściem, wbiła w nie zęby, pragnąc nigdy nie umierać.

Nigdy dotąd nie uświadomiła sobie tak mocno własnej szansy na pozostanie przy życiu ani pragnienia, żeby trwało to nadal.

64. CZARNY DYM

Złote, napeęczone od światła żagle sunęły ku ostatecznemu celowi.

Przed lądowaniem, zgodnie z *Instrukcją obsługi*, Adrien-18, który zdążył się nieźle wprawić w pilotowaniu *Muszki 2*, umieścił prom na orbicie, aby przyjrzeć się planecie z daleka.

Nie zdołał jednak dostrzec jej powierzchni przysłoniętej szaro-czarnym płaszczem gęstych chmur.

– Ma swoją atmosferę i to jest już jedna pozytywna wiadomość.

– A także grawitację, ale słabszą niż ta, którą mieliśmy na statku. Będziemy się szybko męczyć.

– Będziemy dużo spać.

– A jeśli będziemy mieli dzieci, staną się większe od nas – szepnął tak cicho, że nie usłyszała.

Znajdująca się przed ich pełnymi zachwyty oczami obca planeta ciągle rosła.

– Mam złe przeczucie – wyznała dziewczyna.

– Powinniśmy zaufać Yves’owi-1 – odrzekł chłopak, który chwilami także się niepokoił.

– A jeśli się pomylił? Trudno tak naprawdę zobaczyć planetę z daleka. A tym bardziej stwierdzić, czy mogą na niej zamieszkać ludzie.

Przygryzł wargę.

– Jedyne rozwiązanie, żeby się przekonać, to tam polecieć.

Zapięli pasy bezpieczeństwa.

– Gotowa?

Adrien-18 poruszył jakąś dźwignią, po czym *Muszka 2* zanurzyła się w płaszcz chmur, czemu towarzyszył najpierw grzmot pioruna, a następnie ogłuszający łoskot.

W wyniku zetknięcia z kilsonem wszystko zaczęło drgać. Silne tarcie sprawiło, że ogromne skrzydła zapaliły się w jednej chwili niczym owad, który wpadł w płomień świecy. Pozbawiona skrzydeł *Muszka 2* zaczęła coraz szybciej spadać.

Obie istoty ludzkie wczepiły się w fotele. Ekrany wskazywały przegrzanie. Z pyska muszki wydobywał się biały dym.

– Zaraz zginiemy!... – wykrztusiła Elisabeth-15.

Temperatura w statku rosła, żaróweczki kontrolne zaś wybuchały niczym petardy. Wstrząsy stawały się coraz gwałtowniejsze.

Nagle włączył się automatycznie jakiś mechanizm, który sprawił, że z boków wysunęły się małe metalowe skrzydła, po czym zostały uruchomione silniki, przekształcając pojazd kosmiczny w samolot. Mimo to prędkość wciąż była jeszcze za wysoka. Statkowi ciągle brakowało siły nośnej.

Metal zaczął się nagrzewać i trzeszczeć. Na krawędziach skrzydeł pojawiły się płomienie. Całą kabinę nappełnił obrzydliwy swąd spalizny.

Elisabeth-15 zaczęła się dusić. Adrien-18 z rezygnacją zamknął oczy, z trudem łapiąc powietrze.

Po czym drgania nieco ustąpiły. Spadłszy niczym meteoryt, *Muszka 2* zaczęła zakreślać łuk. Dym się rozproszył, odsłaniając to, co znajdowało się za ścianą chmur.

Spojrzeni po sobie zdziwieni, że jeszcze żyją. Statek szybował, uczepony zaś drążka sterowniczego Adrien-18 zaczął panować nad jego lotem.

Przed ich oczami rozciągał się świat w dole. Wszystko było gładkie i lśniące.

Mogliby sądzić, że trafili na lodową planetę, gdyby nie plusk, który usłyszeli.

– Woda. Na tej planecie jest woda.

– Jest nawet wyłącznie woda. Ocean, jak okiem sięgnąć: to ciekła planeta. Już po nas – mruknęła Elisabeth-15.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak zamieszkać na statku, na przykład przerobić nasz pojazd na tratwę. Będziemy się żywić rybami, które sami złowimy, tak jak nad naszym jeziorem...

– Łatwo ci mówić. Moim zdaniem Yves zobaczył z daleka atmosferę i wodę, ale nie to, że tu nie ma nic innego. Trzeba było wylądować na satelicie. Tam przynajmniej były kratery, a więc stały ląd.

– Nie, nie było atmosfery. Tak czy inaczej, nie możemy się już wydostać z tej grawitacji. Bez względu więc na to, jakie warunki panują na tej planecie, musimy się do nich przystosować, jeśli chcemy przeżyć.

– Nie lubię ryb – powiedziała Elisabeth, stopniowo odzyskując oddech.

Niestety, jeden z reaktorów został uszkodzony przez wstrząsy wywołane wejściem w atmosferę. Wybuchł po wypluciu odrobiny dymu.

Muszka 2 straciła nośność, ledwie więc zwolnili dzięki metalowym skrzydłom, zaczęli spadać.

– Szybko, wkładaj skafander! – krzyknął, pokazując na srebrzyste kombinezony umieszczone za siedzeniami.

Uwijając się prędko, zdołali wejść w za duże skafandry i z powrotem zapiąć pasy.

– Słyszysz mnie?

Ku ich ogromnemu zdumieniu mimo przezroczystych, hermetycznie zamkniętych hełmów mogli się porozumiewać przez radio na baterie. Przymocowane na plecach butle z tlenem dostarczały powietrza, którym trudno było oddychać i które miało zapach pleśni.

Muszka 2 ciągle spadała.

Właśnie wtedy w oddali przed nimi pojawił się jakiś nieruchomy kształt, który wzięli z początku za ciemną chmurę.

– Tam, spójrz! – zawołała dziewczyna. – Jakaś wyspa!

Metalowe skrzydła znów zajęły się ogniem, tym razem były to wysokie płomienie.

– Zbyt głupio by było, gdyby teraz nam się nie udało! – rzucił z wściekłością Adrien-18, z całej siły ciągnąc dźwignię.

Statek miał jednak jeszcze zbyt dużą prędkość, toteż z przodu *Muszki 2* zaczęły się wydobywać szerokie smugi białego dymu, które zasłaniały im widoczność.

– Spróbuj się dostać na wyspę! – wrzasnęła Elisabeth-15.

– Przecież właśnie to robię! – odparł Adrien, ściskając w dłoniach podskakujący uchwyt.

Chwycił *Nową planetę: instrukcję obsługi* i przejrzał ją gorączkowo, po czym pociągnawszy za kilka dźwigni, oświadczył, przekrzykując hałas panujący w kokpicie, w którym dym coraz bardziej gęstniał:

– Procedura lądowania na nieznannej planecie rozpoczęta.

Muszka 2 zbliżała się do lądu z ogromną szybkością, pilot zaś nie potrafił zapanować nad płonącym pojazdem. W końcu odnalazł mechanizm otwierający spadochrony, ale było już za późno. One także natychmiast zajęły się ogniem.

– Spalimy się na popiół! – krzyknęła Elisabeth-15, zamykając oczy.

Adrien odnalazł dźwignię, która otworzyła następne spadochrony bezpieczeństwa, dzięki czemu prom nieco zwolnił, ład nadal jednak zbliżał się z dużą prędkością. Zbyt dużą prędkością.

Znów udało mu się podnieść dziób *Muszki 2*, która znalazła w sobie dość siły nośnej, by

zakreślić łuk. Łąd pędził ku nim. Uderzenie.

Pasy bezpieczeństwa pękły.

Wyrwało ich z foteli i rzuciło o szybę *Muszki 2*, przez którą przelecieli z hukiem rozbitego szkła.

65. POPIÓŁ

Słup czarnego dymu. Na ciemnej skale tkwiła rozplaszczona mechaniczna mucha.

Z jej ogromnego oka-kokpitu ulatniała się szara para, a stopione do połowy metalowe skrzydła nadal płonęły. Ze skrzydeł płóciennych pozostały jedynie zwęglone strzępy.

Porzucone nieco dalej drobne, skulone sylwetki również dymiły.

Otworzywszy wreszcie oczy, Elisabeth stwierdziła ze zdumieniem, że żyje.

Pod skafandrem wszystko było mokre i ciepłe. W ustach czuła smak krwi. Ogluszał ją własny oddech. Wykonała kilka ruchów, aby się przekonać, czy nie jest ranna, po czym z ulgą odkryła, że mimo kilku bolących miejsc na plecach, ramionach i pośladkach może poruszać kończynami. Dostrzegłszy w oddali skafander swojego towarzysza, zaczęła się czołgać ku niemu.
– Ej!

Bez odpowiedzi. Potrząsnęła nim.

– Ej, Adrien! Adrien!

Wreszcie w słuchawkach rozległ się szum. Oddech. Zaczął kasłać. Uściskała go mocno, uspokojona.

Przyjrzeni się powierzchni obcej planety przez nietknięte szyby hełmów.

Wszystko było szare. Szara planeta, szara gleba, jasnoszara atmosfera, ciemnoszary ocean. Miejscowe słońce z trudem przebijało się przez gęstą mgłę.

Znajdująca się z tyłu *Muszka 2* ciągle dymiła, lecz poza stłuczoną przednią szybą jej kadłub wydawał się nietknięty.

Pierwsza podniosła się Elisabeth. Chwiała się na nogach. To była „choroba ziemską”.

Kiedy tylko odzyskali równowagę, spojrzeli jak najdalej przed siebie, chcąc wypatrzeć szczegóły krajobrazu otaczającej ich wyspy.

Ani śladu roślin. Uświadomili sobie wówczas, że udało im się wylądować na planecie charakteryzującej się glebą i atmosferą. I że żyją.

Ocaleli jako jedyni spośród stu czterdziestu czterech tysięcy pasażerów po trwającej *tysiąc* dwieście pięćdziesiąt jeden lat podróży na odległość dwudziestu tysięcy miliardów kilometrów.

– W porządku, gotowe – westchnęła, nie zdając sobie sprawy, że słowa te pochodzą z

bardzo daleka, z dawnej pamięci zapisanej na dnie jej komórek.

Popatrzyli na siebie przez szyby w skafandrach i wreszcie się uśmiechnęli.

Po czym wybuchnęli śmiechem, który rozbrzmiał w wewnętrznych głośnikach pod hełmami.

Adrien-18 ciągle odczuwał bóle w stawach, toteż Elisabeth-15 podtrzymała go w samą porę. Dał jej znak, że może go puścić.

Zrobiła krok. Pierwszy krok. Potem następny.

Każdy gest wydawał jej się ociężały, jakby dźwigała na plecach wór kamieni, wiedziała jednak, że to zasługa grawitacji, która była wyższa niż na *Gwiezdnym Motylu*.

On także postąpił parę kroków, niemal zdziwiony, że dał radę.

Spacerowali po pokrytej szarym pyłem glebie.

Nagle Adrien-18 zdecydował się zdjąć hełm. Elisabeth zaś pokazała ręką, że zaczeka na to, co się stanie, nim pójdzie w jego ślady.

Ziemianin podniósł powoli szklaną kulę ochraniającą mu głowę, po czym zamknął oczy i wstrzymał oddech. Po chwili jednak, jakby spodziewając się zatrucia, z determinacją wciągnął powietrze, uważnie śledząc reakcję, jaką ta osobliwa mieszanka mogła wywołać w jego płucach.

Natychmiast dostał potwornego ataku kaszlu, poczerwieniał i zwałił się na plecy.

Elisabeth-15 wzięła go w ramiona. Szamotał się i wyglądał jakby walczył, mając ogień w płucach. Jego oddech stał się świszczący, po czym się zatrzymał. Chłopak o mało się nie udusił wstrząsany spazmami.

Dziewczyna pomyślała, że zaraz umrze, po chwili jednak spostrzegła, że odzyskuje oddech.

Wyprostowawszy się, usiadł i zaczął chciwie chwytać powietrze. Ku ogromnemu zdumieniu Elisabeth wyglądało na to, że po pierwszym bolesnym zetknięciu z tamtejszą atmosferą w końcu powróciła mu zdolność normalnego oddychania.

Adrien-18 dał jej znak, żeby uczyniła to samo. Zawahała się przez moment, po czym zdecydowała na zdjęcie hełmu. Zaczęła nabierać powietrze małymi haustami, odnosząc wrażenie, że przez tchawicę przechodzi jej jakaś mieszanina pełna pieprzu. Zakasłała, zwymiotowała, rozplakała się, padła z bólu, po czym zupełnie jak jej towarzysz w końcu zdołała przywyknąć i zaczęła oddychać najpierw ostrożnie, potem głębiej. Długo razem pokasływali.

– To dlatego, że jesteśmy przyzwyczajeni do filtrowanego powietrza w cylindrze i do

butli z tlenem. Teraz zaś mamy do czynienia z „dzikim” powietrzem planety, tym prawdziwym. Jest tu wszystko, ale da się tym oddychać.

Mówił tak, jakby to była egzotyczna potrawa albo egzotyczny napój.

– Przynajmniej przestaniemy być uzależnieni od butli – oświadczyła dziewczyna, pozbywając się ekwipunku.

Białe słońce, które chyląc się ku zachodowi, przybrało czerwoną barwę, nadawało całej scenie jakiś nierzeczywisty, jakby elektryczny wygląd. Po przejściu kilkuset metrów po obcej planecie wrócili na *Muszkę 2* i zasnęli w fotelach stłuczonego oka-kokpitu.

66. EMULSJA NA ZIMNO

Tamtej nocy dwójka Ziemiaków miała wyjątkowo bogate i kolorowe sny. Jakby dla zrekompensowania otaczającej ich szarzyzny.

Adrienowi-18 śniło się, że lata wśród chmur i że jego ramiona zamieniły się w skrzydła motyla.

Elisabeth-15 śniła o tym, że uprawia seks.

Promienie słońca obcej planety, które przybrał czerwonawy odcień w niskich warstwach atmosfery, barwiło się teraz na pomarańczowo, obudziły go pierwszego. Przetarł oczy, ziewnął, po czym zaczął się przyglądać swojej towarzyszkę śpiącej w skafandrze, z odsłoniętą twarzą.

Miała długie rude włosy. Jej pełne usta charakteryzowały się kolorem podobnym do słońca, które dopiero co wstało.

Różowym.

Jej delikatna skóra była niemal biała i lśniąca od przecinających ją strużek potu.

Przysunął się bliżej i wciągnął w nozdrza jej zapach.

Już miał ją pocałować, kiedy jednak znalazł się całkiem blisko, niespodziewanie otworzyła wielkie czarne oczy i zaczęła się weń wpatrywać.

Cofnął się z uśmiechem. Ona tymczasem wstała i rozejrzała się wokoło.

– Cholera – powiedziała. – Myślałam, że kiedy się obudzę, koszmar zniknie, ale on ciągle trwa.

Adrien-18 udął, że nie słyszał słowa „koszmar”.

– Co robimy? – zapytała.

– Jemy śniadanie i wyruszamy na poszukiwanie – zaproponował.

Powyciągali z plecaków małe torebki, które konstruktorzy *Muszki 2* umieścili na promie. Usunąwszy zabezpieczenia, znaleźli jedynie szary proszek.

Po skosztowaniu zrezygnowali z niego.

– Powinniśmy byli zabrać świeże owoce i króliki. Jedząc ten pył, nie nabierzemy sił.

Adrien-18 zawahał się przez chwilę, po czym popędził ku zapasom wody – niestety, manierki miały pełno dziur powstałych przy uderzeniu podczas lądowania.

Teraz zyskali motywację do zbadania swojej „wyspy”. Uznawszy, że morze nie dostarczy

im pożywienia, dzięki któremu zdołaliby przeżyć, postanowili zapuścić się na kamienisty płaskowyż.

– Morze jest na zachodzie, chodźmy więc na wschód – podsunął Adrien-18. – W ten sposób dowiemy, się czy to wyspa czy kontynent.

Po godzinnym marszu przystanęli wyczerpani.

– Pocimy się, nie mogąc pić. A gdybyśmy tak zdjęli skafandry? – podpowiedziała Elisabeth-15.

– Najpierw trzeba sprawdzić, czy promieniowanie tego słońca nie jest szkodliwe – odparł chłopak.

Adrien wy dostał się z ciężkiego kombinezonu. Pod spodem miał szorty i podkoszulek. Następnie odciął nożem buty od skafandra, żeby zrobić z nich sandały.

Dziewczyna poszła w jego ślady.

– Całe szczęście, że nie jest zimno.

Włożyli materiał z kombinezonów do plecaków, po czym ruszyli dalej.

Zaczęli się wspinać po wzgórzu wychodzącym na położony wyżej płaskowyż, na ścianę kamienistych gładów, która prowadziła ku szarej równinie, skąd wyłaniały się długie, czarne zęby twardej skały.

– Chyba jesteśmy w samym środku krateru wyżłobionego przez meteoryt.

Wtem aż podskoczyli, gdyż rozległ się jakiś hałas.

– Słyszałeś?

Zastygli bez ruchu, czujni, po chwili zaś znów dobiegło skądś sapanie, do którego wkrótce dołączył stukot o podłoże. Odgłos kroków. Bardzo ciężkich kroków.

– Rany boskie! Tu musi być życie!

– Istoty pozaziemskie?

Kroki ciągle się zbliżały, coraz bardziej rytmiczne. Najwyraźniej podążało ku nim jakieś żywe stworzenie. Odruchowo czym prędzej schowali się za skałą. Po czym powoli wyjrżeli ze swojej kryjówki. To co zobaczyli, wprawiło ich w osłupienie.

67. ZASTYGANIE

Serce Elisabeth waliło jak młot. Adrien nie mógł się powstrzymać, by nie rozdziawić ust.

Oczy im się rozszerzyły, jakby chciały wchłonąć każdy foton zdumiewającego widowiska, które rozgrywało się przed nimi.

Po krzyżu młodej Ziemianki spłynęła strużka lodowatego potu.

Włosy Ziemianina stanęły dęba.

Mieli przed sobą zielonkawej barwy potwora mierzącego jakieś pięć metrów. Jego ciało pokrywały płaskie łuski. Stał na dwóch tylnych łapach – był dwunożny, podobnie jak oni. Z nozdry buchała mu para. Trzymał uniesioną głowę, zdając się szukać ofiary.

Po czym znieruchomiał z pyskiem zwróconym w ich kierunku. Kiedy otworzył paszczę, ujrzeli trójkątne zęby i czarny język.

– Zaraz wyczuje nasz zapach – szepnęła Elisabeth.

– Nie, jesteśmy za mali.

Olbrzymi stwór zbliżał się powoli. Adrien wyjął z plecaka nóż, gotów drogo sprzedać skórę.

– Jeśli nas zaatakuje, będziemy się bronić – oświadczył.

Tamten był coraz bliżej.

W końcu przystanął. Sapnąwszy kilka razy, zastygł bez ruchu, po czym zaczął głośno kichać. Jeden raz, potem drugi i trzeci. Po chwili cofnął się i wreszcie czmychnął.

Dwoje ludzi opuściło kryjówkę, nie mogąc wyjść ze zdumienia nad tym zwycięstwem bez walki.

– Skoro jest tu jakaś żywa istota, wynika z tego, że musi być także jakiś pokarm dla niej – rozumował Adrien. – Albo roślinny, albo zwierzęcy.

Dwójka badaczy ruszyła zatem po śladach pozaziemskiego potwora. Każdy był równie duży jak oni sami.

Doprowadziły ich one do porośniętej wysoką trawą łąki, z której wylaniały się gdzieniegdzie drzewa tworzące rodzaj zielonej oazy pośrodku szarej, kamienistej pustyni.

Przystanęli oczarowani.

– Drzewa!

– Skoro są drzewa, to znaczy, że jest i woda!

Kiedy podeszli bliżej, spostrzegli kolejne potwory, w większości poruszające się na czworakach.

– „Dinozaury” – wykrztusił Adrien.

– Co?

– Dinozaury, a przynajmniej zwierzęta podobne do czegoś, co zostało opisane w książce Yves’a pod nazwą „dinozaury”. To takie gigantyczne jaszczurki. Czasami nazywane także smokami. To zwierzęta mityczne. Tylko że tutaj istnieją naprawdę...

Wtem na niebie rozległ się krzyk. Podniósłszy wzrok, ujrzeli inne zwierzęta pozaziemskie szybujące w powietrzu, o wiele większe niż ptaki w cylindrze.

Dwójka Ziemian posuwała się naprzód przez wysokie trawy przylegające do lasu.

Szelest liści.

Jakaś istota mknęła przez zarośla z błyskawiczną szybkością. Zauważyli mniejsze ślady łap.

– Następne „dinozaury”, tylko mniejsze! Będziemy mogli polować... – zawołał z podekscytowaniem Adrien.

– Na nas też mogą polować... – szepnęła Elisabeth, wskazując na zbliżające się ku nim masywne olbrzymy.

Czworonogi zajęte skubaniem wysoko rosnących liści.

– To roślinožercy – uspokoił ją chłopak.

– Słyszę plusk. To rzeka!

Pognali w tamtą stronę, rzucili się do wody, po chwili wahania zaś Adrien odważył się jej spróbować.

Znajdujące się kilka metrów dalej zwierzę nagle przystanęło, po czym zaczęło się im przyglądać, rozdziawiwszy szeroko paszczę ze zdumienia.

– Przybyliśmy na planetę z dinozaurami – westchnęła Elisabeth.

Nabrawszy głęboko powietrza dla dodania sobie odwagi, nadal ściskając w dłoni nóż, Adrien podszedł do małego dwunożnego stwora, który dorównywał mu wzrostem.

Pozaziemski stwór od razu czmychnął.

Wszystkie zwierzęta identycznej lub mniejszej wielkości co Ziemianie natychmiast uciekały na ich widok.

– Dobra, jedno jest pewne. Nie potrafią ani mówić, ani się porozumiewać. Moim zdaniem poziom inteligencji tubylców nie przewyższa poziomu jaszczurek z cylindra, mimo że są oni więksi.

– A gdybyśmy ich jedli? – podsunął Adrien.

– Pierwszy oddychałeś tutejszym powietrzem, pierwszy wystawiłeś skórę na tutejsze słońce i piłeś tutejszą wodę, odstępuję ci więc radość spróbowania pierwszemu tutejszej fauny.

Adrien wrócił do *Muszki 2* po łuk. Ze względów bezpieczeństwa Elisabeth wolała poczekać na niego przed statkiem.

Wrócił po kilku minutach, niosąc małego metrowego dinozaura ze sporą strzałą w głowie. Rzucił towarzysze przygód swoją zdobycz do stóp.

Dwójka Ziemiaków przyjrzała się martwemu zwierzęciu.

– Mamy sporo mięsa, jemy?

– Ty pierwszy. W końcu to ty jesteś eksperymentatorem.

Adrien-18 nie spuszczał oka z bestii wstrząsanej przedśmiertnymi drgawkami.

– Hm... Proponuję go upiec, dzięki temu powinien być smaczniejszy i bardziej higieniczny.

68. PIERWSZA DEGUSTACJA

Po godzinie pieczenia na różnie zbudowanym naprędcie z suchych gałęzi Adrien ugryzł ostrożnie mały kawałek uda pozaziemskiej jaszczurki.

Natychmiast skrzywił się z obrzydzeniem.

– Niedobre? – zapytała dziewczyna.

– Nie, nieszczególne. Zupełnie jak z powietrzem: z początku zaskakujące, ale myślę, że z czasem się przyzwyczaimy. I tak nie mamy wyboru.

Nie przestając się krzywić, przełknął trzy kęsy mięsa, podczas gdy jego towarzyszka przyglądała mu się z powątpiewaniem.

Mimo wszystko zgodziła się jednak skosztować kawałek, ponieważ zaś była głodna, zjadła i drugi.

– Nie powiedziałem ci tego – zaczął nieco zakłopotany – ale ten tam... – wskazał głową rożen – był w pewnym sensie „specjalny”.

– To znaczy?

– Wyglądał, jakby miał ochotę „negocjować”. Podeszedł do mnie. Kiedy powiedziałem mu „dzień dobry”, odpowiedział kwiknięciem, które mogło oznaczać „dzień dobry” w jego języku. Kiedy pokazałem mu otwartą dłoń w międzynarodowym geście pokoju, zrobił to samo. Otwarta dłoń. Kiedy się uśmiechnąłem, zrobił inną minę, pokiwał głową, potem zbliżył się pełen ufności.

– I co dalej? – dopytywała się bardzo zaciekawiona.

– Cóż... – odparł zmieszany. – Ponieważ początek rozmowy sprawił, że polowanie stało się „kłopotliwe”, wydobyłem łuk i strzeliłem mu w głowę z bliskiej odległości. Zanim zdążył nawiązać dialog.

Znieruchomiła oszołomiona.

– Żartujesz!

– Niezupełnie. Na tym polega problem z istotami pozaziemskimi: jeżeli zaczniemy się z nimi kumpłować, nie będziemy w stanie ich jeść.

Elisabeth, której zrobiło się niedobrze, nie mogła się powstrzymać, by nie oddalić się nieco i nie zwymiotować tego, co przedtem połknęła.

Adrien nie przewidział, że jego towarzyszka okaże się taka wrażliwa. Wahał się, jak

powinien postąpić. Z początku chciał pobiec za nią, żeby się wytłumaczyć, po chwili wzruszył jednak ramionami, dochodząc do wniosku, że głód i tak zmusi ją do powrotu. I rzeczywiście po krótkim czasie pojawiła się z twarzą wykrzywioną od tłumionego gniewu.

– A jeżeli te istoty pozaziemskie są naprawdę inteligentne?

– Cóż, postaramy się znaleźć najgłupsze z nich i będziemy jeść wyłącznie, ale to wyłącznie takie. Na razie twoje szlachetne odruchy serca i tak nie przywrócą życia naszemu „obcemu przyjacielowi”.

Mówiąc to, pokazał nadziane na rożen zwłoki, które wydzielaly haniebną woń zwęglonego mięsa.

– A jeśli oni będą mieli do nas o to pretensje? W końcu o ile dobrze zrozumiałam, „skosztowaliśmy” prawdopodobnie ambasadora ich planety.

– Przepraszamy.

Chociaż złość jej wcale nie minęła, usiadła, jakby była gotowa zabrać się z powrotem do jedzenia.

– A jeśli istnieje miasto dinozaurów, jeżeli one tworzą prawdziwą cywilizację, a ty zamordowałaś jakiegoś ich ważniaka, bo ja wiem, etnologa, który wyruszył nam na spotkanie, żeby nas dokładnie poznać, ponieważ w końcu... Dla nich... Jednym słowem, oni uważają, że to my jesteśmy istotami pozaziemskimi!

Żeby ją uspokoić, podał jej kawałek policzka, który wydał mu się upieczony ani za słabo, ani za mocno. Odmówiła z upartą miną.

– W gruncie rzeczy to prawda, to przecież my jesteśmy obcym gatunkiem na ich planecie!

Chciał pogłodzić ją po włosach, lecz się wywinęła.

– Lubię, kiedy zadajesz sobie metafizyczne pytania, Elith, ale w tym wypadku naprawdę powinnaś poprzestać na odzyskaniu sił. To kwestia przetrwania. Wszystkie zwierzęta jedzą. Jesteśmy mięsożerni, potrzebujemy białka.

Rzuciwszy okiem na ruszt, dziewczyna pogryzła w końcu niechętnie kawałek mięsa, który podsunął jej chłopak.

– Jeśli to cię zdoła uspokoić, pochowamy jego resztki, na wypadek gdyby rodzina i przyjaciele wyruszyli na poszukiwanie – powiedział bez większego przekonania.

Dziewczyna zrobiła obrażoną minę i jadła bez przyjemności, zanim wreszcie przyznała, że to nie było takie złe i że chętnie wzięłaby jeszcze trochę pleców zwierzęcia, które sprawiały

wrażenie bardziej miękkich.

Wieczorem Adrien powrócił do lektury dzieła *Nowa planeta: instrukcja obsługi*.

Elisabeth zaczęła śpiewać piosenkę, której nauczyła ją matka. Była to pieśń opowiadająca o „Ostatniej Nadziei”. Falszowała.

– Ciągłe nie mogę uwierzyć, że nam się udało – oznajmił Adrien.

– Ja też nie – przyznała Elisabeth. – Prawdę mówiąc, urodziwszy się w cylindrze, zawsze byłam przekonana, że w nim umrę. Nawet myśl, że pewnego dnia postawię stopę na prawdziwej planecie, która ma prawdziwą, naturalną grawitację, zawsze wydawała mi się nierealna.

– Tysiąc dwieście pięćdziesiąt jeden lat podróży...

– ... i tysiące istnień, żeby doszło do narodzin nas obojga. Ty i ja zagubieni miliardy kilometrów od planety naszych przodków, wśród pozaziemskich jaszczurek we wszystkich możliwych rozmiarach.

Adrien się uśmiechnął.

– Wiesz, jaki dzisiaj dzień?

– Nie.

– Święto Karnawału. Dokładnie tysiąc dwieście pięćdziesiąt jeden lat temu, jeśli dobrze pamiętasz nasze książki od historii, Yves, Elisabeth i pasażerowie pierwszego pokolenia urządzili przyjęcie z okazji opuszczenia swojej planety. A teraz oboje jesteśmy w tym samym punkcie.

Adrien poszperał w sakwie i wyciągnął w końcu butelkę wypełnioną jakąś żółtawą cieczą.

– Wiesz, co to jest?

– Mocz?

– Alkohol. Znalazłem to wczoraj, zapinając plecak, w zakamarku na statku. Powąchaj.

Pociągnęła nosem i zaraz go zatkała.

– Śmierdzi.

– Dalej, świętujemy! Proponuję ci, tak jak to zrobili kiedyś założyciele, rozpocząć wszystko od zera. Dzisiaj jest rok zerowy nowej ery na nowej planecie.

Pomysł zaintrygował dziewczynę.

– Był czas przed. Na Ziemi. Czas potem. W cylindrze. I jest nowy czas. Na nowej planecie. Urządzimy żałobę po przeszłości. Wszystko zaczyna się tu od nowa. Dzisiejszy dzień Karnawału będzie pierwszym dniem naszego nowego kalendarza. Tylko dla ciebie i dla mnie.

Pokiwała głową oczarowana.

Kiedy opróżnili butelkę, poczuli się odurzeni.

Adrien wziął dziewczynę za rękę. Natychmiast ją cofnęła.

– Co ty robisz?

– Przecież mnie wybrałaś, nie?

Przysunął się ponownie, żeby chwycić jej dłoń. Odepchnęła go łagodnie.

– Nie, nie mam ochoty.

– Ale dziś jest dzień Karnawału: to dzień, w którym należy się urznąć, a potem się kochać. To pierwszy dzień Nowego Świata, byłby to więc ładny sposób, żeby go uczcić. A skoro mamy stworzyć nową ludzkość...

– Nie. Przykro mi. Nie mam ochoty – powtórzyła.

– Dlaczego?

– Uznałbyś, że jestem... łatwa.

Adrien nie wierzył własnym uszom.

– Ależ skąd, ależ skąd, co też ci przyszło do głowy. Elith, nie chcę nalegać, ale przypominam ci, że jesteśmy tu tylko my dwoje. I nie sądzę, żeby zależało ci aż tak bardzo na... opinii pozaziemskich dinozaurów, o ile obserwowałyby nas z daleka, co jest mało prawdopodobne!

– Nie na ich opinii, ale na twojej. Chcę, żebyś najpierw udowodnił, że mnie szanujesz, zanim posuniesz się dalej.

Mężczyzna był nieco zbity z tropu. Zmierzyli się wzrokiem.

Podobała mu się coraz bardziej. Jej nieśmiałość i dzikość podniecały go.

– W razie gdyby udało ci się mnie zabić, zostałabyś sama na tej planecie. Aż tak bardzo ci zależy, żeby nie okazać się „łatwą”?

– Już ci powiedziałam: chcę mieć pewność, że mnie szanujesz, zwłaszcza jeśli mamy się posunąć dalej.

– Ależ na litość boską, Elisabeth! Nie masz wyboru! Jesteśmy sami na tej planecie, a od wszelkiej ludzkiej formy życia dzielą nas miliony kilometrów. Jestem tylko ja!

Dziewczyna zrobiła nadętą minę.

– Podstępny argument. Chcesz wykorzystać sytuację. Moim zdaniem, lepiej będzie nie świętować Karnawału. Będziemy spali osobno, każde we własnym śpiworze i jak najdalej od siebie.

Mężczyzna siedział osłupiały, wpatrując się w swoją przyjaciółkę z niedowierzaniem.

Był przekonany, że zdołał rozwiązać jeden z największych problemów wszechświata: „Sprawić, by na innej planecie odrodziła się ludzkość”, a tymczasem nie potrafił znaleźć wyjścia dla innego, nieoczekiwanego: „Jak wzbudzić w kobiecie miłość?”.

– W takim razie... Dobranoc, Elith – powiedział ze smutkiem, wślizgując się do śpiwora.

– Dobranoc, Adrienie – odparła. – Nic do ciebie nie mam. Ale nie próbuj się do mnie zbliżać, kiedy będę spała. Nie rozstaję się z nożem i nie zawaham się go użyć.

Wzruszył, śpiący, ramionami i pomyślał, że ona pewnie właśnie ma okres, jakby chciał w ten sposób dodać sobie otuchy.

Elisabeth zaczęła głośno chrapać, Adrien zaś nie mógł zasnąć.

69. POSTAWIĆ Z POWROTEM NA WOLNYM OGNIU

Obudziły ich dalekie odgłosy kichania. Pierwsza wyszła z *Muszki 2 Elisabeth*, która rozluźniła się całkowicie, oddając się ćwiczeniom gimnastycznym, żeby dobrze zacząć nowy dzień.

Odetchnąwszy głęboko, uświadomiła sobie, że zdażyła przywyknąć do tutejszego powietrza, znajdując w nim nawet przyjemny zapach ziół i żywicy.

Po pewnym czasie dołączył do niej Adrien, który zaproponował, żeby wykorzystać ten pierwszy dzień na zbudowanie chaty.

Zabrali się więc do stawiania niewielkiego szałas z gałęzi.

Po południu Adrien wyruszył na polowanie, zabierając nowy łuk, który zrobił sobie z miejscowego drewna. Łowy zapowiadały się łatwe, gdyż dinozaury, zarówno te małe, jak i te duże, nie wiedząc, kim jest ów nieznajomy, podchodziły często zupełnie blisko, zaciekawione. Zaczynały wówczas kichać, zabijanie ich nie było więc trudne.

Młody Ziemianin zauważył, że podczas kichania dinozaury nieruchomieją i zamykają oczy. Korzystał zatem z tej konkretnej chwili, by uderzyć ofiarę w głowę lub w serce.

Pogratulowawszy mu zdobyczy, Elisabeth poczuła się w obowiązku oporządzić świeżą dziczyznę. Zdawała sobie sprawę, że skoro mięso pozaziemskiego dinozaura jest mdłe, należy je przyprawić pachnącymi ziołami, które mełła między dwoma kamieniami.

– Pycha – pochwalił Adrien z pełnymi ustami.

Elisabeth podtrzymywała ogień, żeby umieścić nad nim następną nogę dinozaura.

– Naprawdę? Smakuje ci to, co przyrządziłam? A przecież to tylko zioła. Znalazłam jakieś kwiaty i też dodałam. Tak się cieszę, że ci smakuje. Spróbuję jeszcze dopracować moje przepisy.

Nagle zamilkła, wznosząc oczy ku chmurom.

– Jak myślisz, co oni robią tam, na górze? – zapytała.

– O kim mówisz? O ptakach?

– Nie, dobrze wiesz, o tych z *Gwiezdnego Motyla*. O Ele, Jocelynie, Nicu, Gabim.

– Cóż, pewnie znaleźli sobie jakieś zajęcie. Pewnie grają w karty. Urządzają zawody w strzelaniu z łuku. Piszą wiersze. Modlą się za nas. W każdym razie ja na ich miejscu właśnie to bym robił. Bawił się w oczekiwaniu na śmierć.

Pokiwała głową.

– Jednak miałeś sporo szczęścia, że akurat ciebie wybrałam.

– Tak naprawdę niezupełnie mnie „wybrałaś” – zaprotestował. – Wybierzesz mnie dopiero wtedy, kiedy się będziesz ze mną kochać. Na razie odnoszę raczej wrażenie, że mam mniej szczęścia niż ci na górze.

– Jak możesz tak mówić! Napychasz się dobrym jedzeniem i możesz sobie rozmawiać z kobietą!

– Co mi z tego, że jestem z kobietą, skoro ona mnie nie chce?

– A więc tylko to cię interesuje. Seks! Ach, wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami. Wszyscy macie jakąś obsesję...

Przerwała na chwilę z udawaną złością, po czym rzuciła:

– „Ofiaruję” ci się wtedy, kiedy okażesz się tego godny. Mamy przed sobą jeszcze długie życie tutaj i jesteśmy młodzi. Chcę, żeby to była celebracja uświęconego czynu. Jestem jeszcze dziewicą. Mężczyzna, któremu się oddam, musi na to zasłużyć.

Adrien skrzywił się.

– Nie wiem dlaczego, ale nagle poczułem się odrobinę zmęczony. Zostało jeszcze trochę alkoholu?

Tej nocy Elisabeth spała jeszcze dalej od Adriena. Mruczała przez sen, jakby rozmawiała z kimś trzecim.

– Też coś, za kogo on się uważa? Jeśli mu się wydaje, że go potrzebuję, to się myli.

Po czym zaczęła fikać nogami, jakby go odpychała. Westchnął zawiedziony, po czym zasnął z przemożnym uczuciem samotności.

Na zewnątrz zaś zwierzęta podchodziły bliżej zaciekawione, lecz zaraz oddalały się, kichając.

70. SCHOWAĆ W UKRYCIU

Dwójka Ziemiań wyruszyła w kierunku, w którym rankiem pojawiała się słońce, czyli na wschód. Idąc w górę rzeki, napotkali wkrótce szeroką równinę, gdzie woda była dość spokojna.

Postanowili zbudować schronienie wśród gałęzi największego drzewa rosnącego na brzegu. Ponieważ listowie tworzyło płaszczyznę, Adrien uznał, że łatwo będzie tam postawić coś w rodzaju domu.

Na górze byliby mniej narażeni na nocne ataki dużych dinozaurów niż w chacie.

Zabrali się do pracy, na początek plotąc drabinę z lian, żeby wznosić po niej budulec, następnie powiązali ze sobą długie drewniane belki, z których miała powstać solidna podłoga. Ledwie dojszcie i platforma były gotowe, wzniesli ściany, żeby osłonić się przed wiatrem. Na koniec z porośniętych liśćmi gałęzi zrobili dach.

Młoda Ziemiańska natychmiast podzieliła przestrzeń na dwie izby z dwoma posłaniami, gdyż pragnęła mieć „własny kąt”. Postawiła też strefę zwaną „kuchnią”. Z kolei Ziemiańin samiec urządził miejsce, w którym zamierzał gromadzić upolowaną zdobycz, oraz pracownię, w której zamierzał wyrabiać łuki i strzały.

Od tej pory zaczęli wprowadzać pierwsze zwyczaje. Adrien wychodził rano na polowanie i wracał przed obiadem. Po czym wyruszał znowu po obiedzie, by wrócić przed kolacją.

Elisabeth dbała o dom, przygotowywała posiłki, sprzątała wszystko, co się walało. Nie za bardzo lubiła wychodzić, twierdząc, że boi się „złych spotkań”. Za to często kąpała się w rzece. Adrien wolał zachować swój naturalny zapach, twierdził bowiem, że odstrasza on komary, które przyciąga „zbyt” czysta skóra. Mimo że w wielu sprawach się nie zgadzali, kolacja stanowiła dla nich porę odprężenia i rozmowy, którą oboje cenili. Sami zrobili stół, krzesła i przyświecali sobie pochodniami, które lekko dymią. Jako talerzy używali szerokich liści, jako widelców – własnych palców, pili zaś wodę, soki z zerwanych owoców, a także te nieco sfermentowane, zastępujące im alkohol.

Siedząc w swoim kącie, Elisabeth zajęła się szyciem ubrań ze skór dinozaurów. Następnie pokazała je Adrienowi, który podziwiał jej dzieło. Jego towarzyszką zdołała nawet wyciąć igły z kości.

– Znajduje coraz więcej trupów dinozaurów. Można by sądzić, że padają od jakiejś

choroby. A poza tym w całym lesie słycać ich kichanie i kaszel.

– Chyba wiem, co to jest – powiedziała Elisabeth.

– Słucham.

– Ta choroba... to my.

Po chwili wyjaśniła, w czym rzecz.

– Pamiętasz, kiedy podeszła do nas pierwsza pozaziemska jaszczurka, powąchała nas, a potem kichnęła. Musieliśmy ją zarazić jakąś gripą albo śmiertelnym katarem. Przypomnij sobie, nawet w cylindrze wiele epidemii dziesiątkowało populację zwierząt.

– Chyba masz rację – przyznał. – Musieliśmy przywlec jakieś mikroby, bakterie albo wirusy, które je zabijają.

– Podobnie jak pierwsi badacze na Ziemi przenieśli na tubylców wszelkie rodzaje zarazków. Powinniśmy byli o tym pomyśleć.

– A co by to zmieniło? Chodzilibyśmy bez przerwy w szczelnych kombinezonach?

– Co możemy zrobić?

Przez służący im jako okno otwór widzieli długie gałęzie drzewa.

– Już za późno. Drobnoustroje rozmnażają się teraz bez naszego udziału. Właściwie trzeba by tu umieścić ziemską faunę i florę. One muszą być odporne na ziemskie mikroby. Yves-1 pomyślał o tym. Właśnie dlatego umieścił na *Musze 2* małe laboratorium biologiczne.

– W takim razie trzeba tam wrócić i zabrać nasiona oraz jaja.

– Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak poczytać w twojej książce *Nowa Planeta: instrukcja obsługi* rozdziału, w którym wyjaśniają, w jaki sposób doprowadzić do narodzin zwierząt, a potem wziąć się do roboty. Tak między nami, to pozwoli urozmaicić także pożywienie, bo zaczynam mieć dosyć jaszczurek, wszystko jedno, dużych czy małych, pieczonych czy surowych. Tęsknię nawet za świecącymi królikami z *Gwiezdnego Motyla*. Adrien spojrzał Elisabeth prosto w oczy.

– Dlaczego tak na mnie parzysz? – zapytała. – Czy coś nie gra?

– Zrezygnowałem z kochania się z tobą. Wszystko w porządku.

– Wreszcie jesteś bardziej rozsądny. Bez pożądanego nie ma cierpienia.

– Będziemy więc żyć obok siebie jak „przyjaciele”, prawda?

– Możliwe, w każdym razie jak „sąsiedzi”.

Wstała i przyniosła mu trochę świeżej wody w naczyniu z wydrążonego drewna.

– Cieszę się, że w końcu pogodziłeś się z sytuacją – powiedziała.

– Co z tobą, w ogóle nie czujesz fizycznego pożądania?

– Oczywiście, że tak. Tylko że my nie jesteśmy zwierzętami. Jesteśmy Ziemianami – oświadczyła z dumą. – A my, Ziemianie, a w szczególności Ziemianki, panujemy nad pierwotnymi popędami, żeby je uwznioślać. Sam się przekonasz, jeśli pewnego dnia połączymy nasze ciała, żeby wymienić płyny ustrojowe, będzie to coś naprawdę nadzwyczajnego.

Kochali się jeszcze tego samego wieczoru. Nie było to nic nadzwyczajnego.

Intuicja podpowiadała jednak Elisabeth, że to normalne. Uważała, że mężczyźni to istoty, które należy ukształtować, aby dostosować je do kobiecych potrzeb. Z czasem Adrien pozbędzie się niecierpliwości i niezręczności. Postanowiła, że już od następnej nocy zacznie mu wpajać takie pojęcia, jak „pieszczoty”, „gra wstępna” czy „przedłużona rozkosz”. Nauczy go, że połączenie ciał to forma dialogu i że każdy musi słuchać drugiej strony.

– Dobrze było? – zapytał.

– Wspaniale, jesteś doskonałym kochankiem – odparła, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco.

– Możemy więc spać obok siebie?

– Nie dzisiaj, ale prawdopodobnie kiedyś tak. Wiesz, strasznie się rzucam we śnie.

Pocałowała go mocno, polizała w szyję, po czym oddaliła się na swoje posłanie. Tej nocy po raz pierwszy nie mówiła przez sen, kiedy zaś podszedł zobaczyć, jak śpi, zauważył, że uśmiecha się przez sen.

71. ŻYCIE WYCHODZI Z FORMY

Tworzenie życia okazało się sprawą złożoną. Po przeczytaniu rozdziału *Jak rozmnażać zwierzęta* zabrali się do umieszczania zapłodnionych jaj zwierząt ze starej Ziemi w automatycznych inkubatorach, zgodnie z zaleceniem książki Yves'a.

Po upływie kilku tygodni uzyskali pierwsze formy życia pochodzenia ziemskiego, gotowe do zaszczepienia na nowej planecie.

Pierwszą przenieśli mrówkę, świeżo wyklutą z małego jaja, które zostało zamrożone i rozmnożone.

Zagubiony na nowej planecie owad nie chciał opuścić palca Adriena, – Jazda, zejdz!

Wreszcie mrówka, pchnięta siłą ludzkiego oddechu, upadła nieco dalej i zaczęła poznawać teren, nie będąc w stanie sobie wyobrazić wielkości nowego świata, na którym właśnie wylądowała.

Jednocześnie dla symbolu Elisabeth przywołała na świat motyla i pomógłszy mu się przepoczwaryć, położyła go sobie na dłoni.

Był to morfid, jeden z tych motyli, w których skrzydłach o fluorescencyjnie niebieskiej barwie odbija się światło w wielu warstwach, nadając im nierzeczywiście wypukły wygląd. Podziwiała „swojego” owada niczym dzieło sztuki, obraz, który dopiero co namalowała.

Dmuchnęła, by osuszyć wilgotne skrzydła.

Ponieważ owad nie chciał pofrunąć, dmuchnęła mocniej, wyrzucając go w niebo. Zdezorientowany motyl, bojąc się upadku, zamachał skrzydłami. Wreszcie zaczął bić powietrze swoimi długimi niebieskimi żaglami. Nakreśliwszy kilka zygzaków, zapanował wreszcie nad lotem i wzniósł się ku słońcu, jakby wiedział, że to mu pomoże osuszyć ostatnie ślady wilgoci ze swoich delikatnych wypukłości.

Na trzecim miejscu, po mrówkach i motylach, przyszła kolej na szczury, które również musiały zdobyć nowe terytorium.

– Trzeba będzie pomyśleć o tym, żeby zapewnić tej trójce partnerów seksualnych, inaczej nie zajdą daleko – zauważył Adrien.

Następnie pojawiły się dwa kurczaki, samiec i samica, potem dwie myszy i dwa króliki.

Po upływie kilku miesięcy mieli dwie kozy, dwie owce, dwie krowy. Po czym, postępując

zgodnie z poradami zawartymi w książce, wprowadzili owady ze starej Ziemi... Termity, chrabąszcze, ale także komary, muchy itd.

Rozwinęły się jeszcze szybciej, rozprzestrzeniając się na całej powierzchni nowej planety. Następnie pod domem wśród gałęzi założyli ogródek. Zdołali w ten sposób uzyskać zbiór marchwi dla wykarmienia królików, a nawet zboża, żeby upiec chleb, oraz winorośli do produkcji wina.

Podczas wypraw myśliwskich każdego dnia Adrien znajdował coraz więcej trupów dinozaurów obsiadłych przez muchy. Zupełnie jakby jedna forma życia stopniowo zastępowała inną.

Zzerały je owady ze starej Ziemi. Wyglądało na to, że tylko najmniejsze dinozaury, jaszczurki, odkryły w swoich organizmach sposób na zwalczenie ziemskiej plagi.

Idąc za radami z książki Yves'a-1, po bydłe i roślinach służących jako pokarm dwójka Ziemiaków wyhodowała mniej sympatyczne zwierzęta, za to zgodnie z ich wiedzą niezbędne w ekosystemie: lisy, wilki, niedźwiedzie, lwy, gepardy, koty, psy, a nawet węże, pająki, krety, dżdżownice. Zadaniem tych ostatnich było spulchnianie gleby.

W kolejnej fazie zajęli się dużymi ssakami: słoniami, hipopotamami, żyrafami. Po czym uzupełnili swoje prywatne zoo o zebry, antylopy gnu, wiewiórki, pawie, skarabeusze, małpy.

I wiele, wiele innych zwierząt.

Mieszkając w położonym wśród drzew domu, Adrien i Elith stopniowo przywykli jedno do drugiego i wiedli dość spokojne życie na łonie natury, wprawdzie na obcej planecie, ale za to wygodne.

Spali w jednym łóżku... aż do wieczoru dwa lata po swoim przybyciu, kiedy wybuchła między nimi kłótnia.

– Musimy sobie coś wyjaśnić! Mam tego dość! – denerwowała się Elisabeth.

– Co znowu?!

– Kiedy się kochamy, zawsze jestem na dole!

– Ależ, kochanie, czego ty właściwie chcesz?

– Być na górze. Kiedy leżysz na mnie, duszę się. Naciskasz mi na piersi i nie mogę oddychać.

– Jeśli ty będziesz na mnie, nie dam rady – wyznał Adrien.

– I dobrze, od tej chwili cię uprzedzam: ja jestem na górze, inaczej koniec z tym.

– Nie rozumiem: chcesz, żebyśmy przestali się kochać, jeżeli nie spełnię twoich żądań?

– Zgadza się. Dobrze zrozumiałeś.

– Gwiżdżę na to, czego ty chcesz! Będziemy dalej robić tak jak zawsze: ja na górze, ty na dole. Tylko tak mogę przeżywać rozkosz.

– A moja rozkosz cię nie obchodzi?

– Och, nie zaczynaj!

– Powiedziałam to, co miałam do powiedzenia: albo coś zmienimy, albo koniec.

– Po moim trupie! – Spojrzał na nią z okrutnym błyskiem w oku. – Wiem, dlaczego robisz mi te wymówki – oświadczył. – To nie dlatego, że jesteś na dole, tylko dlatego, że nie możemy mieć dziecka. Dajemy życie zwierzętom, ale ty nie potrafisz dać życia istocie ludzkiej!

Rzuciła mu mordercze spojrzenie.

– Jak śmiesz!

– Jesteś bezpłodna, moja biedna Elith! Od dwóch lat kochamy się, tworzymy wszelkie rodzaje owadów, ptaków, ssaków, ale ty nie możesz mi dać nawet syna ani córki. Musisz mieć jakiś... defekt.

– Ty...

Po kilku minutach zaczęli się obrzucać wyzwiskami, po czym doszło do rękoczynów. Ona spoliczkowała jego. On spoliczkował ją.

Ona podrapała go po twarzy. On przewrócił ją na ziemię. Kiedy wstała z zakrwawionymi wargami, oznajmiła, że woli odejść.

– Żartujesz? Dokąd pójdziesz? Nie zapominaj, że jesteśmy jedynymi istotami ludzkimi na tej planecie!

– Lepiej żyć w samotności niż z facetem tak nieuczciwym jak ty! W dniu kiedy cię wybrałam, lepiej bym zrobiła, decydując się na któregokolwiek z czwórki pozostałych. Wyobraź sobie, że byłiby lepsi od ciebie! Zwłaszcza że wcale nie jest powiedziane, że to ja jestem bezpłodna! Zdaje się, że to raczej ty i te twoje nieruchome plemniki.

Po czym odwróciła się na pięcie i odeszła. Adrien zaś stał przybity.

Po kilku minutach wróciła zabrać swoje rzeczy. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Chłopak zajął się popijaniem sfermentowanego soku owocowego, burcząc coś pod nosem.

Elisabeth ulokowała się znacznie dalej, w górze rzeki.

72. POZOSTAWIĆ DO WYSCHNIĘCIA

Mijały dni. Dom wśród drzew stopniowo porastał bluszcz. Ziemianin leżał w łóżku, dopóki słońce nie stanęło wysoko na niebie, po czym wyruszał na polowanie i wracał wieczorem, żeby zjeść w samotności kolację i pić na umór, aż padnie nieprzytomny.

Najczęściej zadowalał się podnoszeniem dogorywających ciał dinozaurów. W gruncie rzeczy przypominało to raczej zbieranie niż łowy.

Kiedy znudziło mu się jaszczurze mięso, polował na jednego lub dwa króliki, o ile miał pewność, że nie doprowadzi w ten sposób do wyginięcia całej populacji. Wiedział bowiem, że gatunkom ziemskim należy dać czas, aby zdążyły się rozmnożyć.

Mimo że Adrien nie miał pojęcia, gdzie Elisabeth postawiła swój dom, niekiedy natrafiał na odciski jej stóp. Pewnego dnia poszedł po jej śladach, aż natknął się na jaskinię, z której ulatniał się dym. Znalazła zatem naturalne schronienie.

Zaskoczyło go to tylko w połowie, podejrzewał bowiem, że dziewczyna nie potrafi zbudować solidnego domu. Nie złożył jej jednak wizyty. Była to kwestia dumy.

Żywił przekonanie, że jej fochy miną. I że Elisabeth wróci.

„Ona mnie potrzebuje. Pewnie się śmiertelnie nudzi.

W końcu pęknie”.

Ona jednak nie wróciła.

Gdy po trzech miesiącach przyszedł z kwiatami, żeby się z nią rozmówić, zamierzając się zgodzić, by była na górze podczas stosunku, po raz pierwszy ogarnął go niepokój: z jaskini nie ulatniał się już dym.

Kiedy wpadł do środka, ku swojemu przerażeniu ujrzał ją leżącą na ziemi bez czucia – w nocy została ukąszona przez jednego z węży ze starej Ziemi.

Wąż ten z początku jednak nie był jadowity – wyglądało na to, że zmutował na obcej planecie. Ciało dziewczyny przybrało ciemną barwę wskazującą na to, że cała krew została zatruta.

A już szczytem potworności było to, że Elisabeth miała duży brzuch. Była w ciąży co najmniej od czterech miesięcy.

Pochowawszy Elisabeth na skraju ogrodu warzywnego, zgodnie ze zwyczajem

panującym w cylindrze Adrien zasadził nad jej zwłokami drzewo. Jabłoń.

Ziemianin długo nie mógł się pozbierać po tej stracie. Bardziej niż dziewczynę oplakiwał własną samotność, zdawał sobie bowiem sprawę, że nie będzie już mógł widywać innych istot ludzkich i że od tej pory jego życie stanie się jedynie niekończącym się ciągiem spotkań z trupami pozaziemskich jaszczurek, które zostały rozszarpane, oraz z ziemskimi zwierzakami, które zdołały się lepiej lub gorzej przystosować do nowego środowiska.

Doszło do tego, że zazdrościł tym, którzy zostali w wygodnym *Gwiezdnym Motylu*.

„Przynajmniej Gabi, Ele, Joss i Nico mogą sobie pogadać, pograć w coś albo coś razem zbudować. Tymczasem ja z powodu głupiej kłótni małżeńskiej jestem skazany na życie do końca moich dni sam jak palec, nie mając do kogo ust otworzyć”.

Adrien zaczął pić i produkować coraz więcej alkoholu z owoców... żeby się odurzyć.

Wstawał coraz później i polował coraz rzadziej. Niekiedy inne zwierzęta widziały, jak zwała się na ziemię, nie mogąc się utrzymać na nogach. Po roku zaczął mówić sam do siebie.

Szedł na grób Elisabeth i bełkotał.

– Wybacz mi. Wybacz mi. Nie mogę sobie darować! Powinienem być cię posłuchać, ale kiedy czegoś chcesz, Elisabeth, masz klapki na oczach. Należało grzeczniej poprosić, żebyś mogła być na górze, zamiast próbować wymóc wszystko siłą.

Opadał na grób, zaciskał palce na małej jabłonce, która zdążyła się już przebić przez grubą warstwę gleby, i leżał tam, jakby chciał znów poczuć dotyk ciała nieodżałowanej dziewczyny.

Po przeprowadzeniu rozmowy z samym sobą i obsztorcowaniu swojej towarzyszki postanowił wymyślić dialog z twórcą projektu, Yves'em-1.

– Tak mi przykro, że zepsułem twój piękny pomysł, ale trzeba przyznać, że Elith nie była łatwa we współżyciu! Szkoda, że nie widziałeś, jak bez przerwy robiła mi wymówki.

Niekiedy przy polowaniu zdarzało mu się także zawołać: „Yves, pomóż mi złapać to zwierzę” albo: „Yves, powiedz mi, którą drogą powinienem iść, żeby wrócić. Zgubiłem się”.

Uważał za całkiem logiczne, że umysł człowieka, który wysłał go tak daleko, ciągle jest tutaj i pragnie mu pomóc w realizacji projektu.

Pewnego wieczoru, przed położeniem się spać, krzyknął jak zwykle zupełnie pijany:

– Ej, tam! Słyszysz mnie, Yves? Nie chcę zdechnąć, rozwalając twój projekt! Nie chcę. Być może na starej Ziemi wszyscy już dawno nie żyją. Być może jestem ostatnią ludzką istotą,

jedyną ludzką istotą, ale i tak nie zamierzam zostać alkoholikiem albo zdechnąć w taki sposób! Jestem ostatnim przedstawicielem najinteligentniejszej formy życia we wszechświecie! Jestem ostatnim człowiekiem! Nie chcę zdechnąć w taki sposób! Jestem twoim plemnikiem wyrzuconym w kosmos! Jestem ostatnim przedstawicielem najinteligentniejszej formy życia we wszechświecie! Jestem ostatnim człowiekiem! Nie chcę zdechnąć, Yves, słyszysz mnie? Nie chcę zdechnąć! Powiedz mi, co mam zrobić, żeby się z tego wyplątać, do pioruna! Skoro mnie tu zaciągnąłeś, nie zostawiaj mnie teraz! Pomoc to twój obowiązek. Albo to znaczy, że jesteś już do niczego i że się ciebie wypieram!

Złapał ze złości książkę *Nowa planeta: instrukcja obsługi* i wyrzucił przez okno. Opanowawszy się jednak, zszedł po nią na dół.

Przez zwykłą ciekawość chciał się przekonać, na której stronie się otworzyła, i natknął się na rozdział *Humor i porady*. Było w nim napisane, że jeśli człowiek ma jakieś pytanie, wystarczy, żeby wypowiedział je na głos tuż przed zaśnięciem, a rano otrzyma odpowiedź.

73. ROZWIĄZANIE

O świecie uzyskał odpowiedź. To było takie proste.

Miał do siebie żal, że nie wpadł na to wcześniej.

Zajrzawszy do chłodni pełnej opatrzonych etykietami probówek, znalazł wreszcie naczynie, na którym widniały drobne litery składające się na napis: HOMO SAPIENS.

Tylko że o ile w wypadku większości zwierząt proces „zapłodnione jajo, macica, inkubator” był względnie prosty, stworzenie istoty podobnej do niego wydawało się skomplikowane.

Zapłodnione ludzkie jajeczko nie chciało się zagnieździć w macicy. W końcu po przeczytaniu po raz kolejny rozdziału *Inżynieria genetyczna* odkrył, że proces rozmnażania komórek można przyspieszyć, dodając komórki macierzyste świeżego szpiku kostnego pochodzącego od przedstawiciela tego samego gatunku.

„Ludzkiego szpiku kostnego?”

W pewnej chwili wpadł mu do głowy pomysł, żeby odkopać ciało Elisabeth i przeszukać jej kości. Jednak słowa „świeży ludzki szpik kostny” brzmiały dostatecznie jasno, by z tego zrezygnował. Na tej planecie wyłącznie on był nosicielem „świeżego ludzkiego szpiku kostnego”. Zoperowanie samego siebie w celu uzyskania szpiku kostnego wydawało mu się trudne, stawką była jednak nie tylko przyszłość jego gatunku.

Chodziło tu o przyszłość najbardziej złożonej formy świadomości we wszechświecie. Jeśli zaś on był ostatni, stanowił zarazem ostatnią szansę.

To zasługiwało na odrobinę wysiłku.

Dylemat techniczny: żeby nie cierpieć, powinien być uśpiony, ale skoro ma odegrać rolę własnego chirurga, będzie musiał pozostać przytomny. Wreszcie w torbie z apteczką na *Muszce 2* znalazł fiolkę ze środkiem znieczulającym miejscowo.

Zdecydował się na cięcie w jedynej części ciała, w której miał nadzieję nie spowodować kłopotów: żebrze.

Żeby nie wrzeszczeć, musiał włożyć do ust kawałek szmaty.

Następnie przeciął skórę i połamał młotkiem żebro. Operacja przypominała rzeź. Za to jego mózg funkcjonował sprawnie.

Zaciskając zęby tak długo, jak tylko się dało, doprowadził zabieg do końca, po czym pozwolił sobie wreszcie na omdlenie.

Gdy się obudził, znalazł dość siły, żeby umieścić zebro w sterylnym pudełku i schować w lodówce przenośnego laboratorium, na szczęście zasilanej baterią chemiczną, następnie przyłożył do rany kompres i znów zemdłał. Tym razem na długo.

Nazajutrz minęły całe wieki, zanim wreszcie odzyskał zmysły. Zmienił opatrunek, kiedy zaś w końcu był w stanie działać, wydobyl pudełko z kawałkiem zebra.

Posłużwszy się laboratoryjnym mikroskopem, wyselekcjonował zdrowe komórki, następnie zaś, postępując ściśle według wskazówek zawartych w książce Yves'a, przystąpił do tworzenia kompletnego jajeczka ludzkiego, powstałego z jądra zapłodnionego jajeczka i z błony cytoplazmatycznej świeżej komórki jego zebra.

Potem umieścił jajeczko w sztucznej macicy. I wreszcie zaaplikował mu drobne wstrząsy elektryczne, aby uruchomić proces życiowy.

Po licznych próbach rozmnażanie komórkowe w końcu się rozpoczęło. Kiedy jajeczko urosło, trafiło do inkubatora, skapane w cieplej cieczy, której składu nie znał.

Po dziewięciu miesiącach uzyskał żywe ludzkie dziecko.

Ponieważ była to dziewczynka, postanowił dać jej na imię Eya, złożone z trzech pierwszych liter imion założycieli Nowej Ludzkości.

„E” jak Elisabeth, kobieta, którą kochał.

„Y” jak Yves, wynalazca *Gwiezdnego Motyla*.

„A” jak on sam, Adrien, pierwszy nowy człowiek z obcej planety.

Przyglądał się wzruszony noworodkowi, szczęśliwy jak nigdy dotąd. Dzięki własnemu poświęceniu i przewyciężonemu cierpieniu już nigdy nie będzie sam.

– Witaj na tej Nowej Ziemi, Eya. Nie wiem, ile genów w tobie jest moich, maleńka, pewnie jedna trzecia. Proszę cię tylko o jedno: nigdy nie mów do mnie „tato”.

74. GWIEZDNE DZIECKO

Eya dorastała w domu Adriena i okazała się dzieckiem obdarzonym wybitną inteligencją. Szybko nauczyła się czytać, pisać i liczyć, ale także polować, gotować, tkąć, oporządzać zwierzęta hodowlane i prowadzić dom.

Brała udział w misjach badawczych nad nową planetą u boku ojca, szczególnie zaś pasjonowały ją dzieje starej Ziemi.

Przede wszystkim uwielbiała pisać.

Jej prawdopodobnie jedyny problem polegał na tym, że niedosłyszała i z początku błędnie wymawiała słowa, szczególnie imiona, co drażniło Adriena.

Mijały lata.

Eya świętowała dziewiętnaste urodziny na szczycie góry, podczas polowania. Rozpalili ognisko i rozbili obóz.

Wokół nich ciągle leżały szkielety dinozaurów, które były niegdyś jedynymi zwierzętami na planecie.

Adrien wyciągnął z sakwy królika, którego upiekli na zaimprovizowanym ruszcie. Wokół rozlegało się charakterystyczne cykanie świerszczy pochodzenia ziemskiego.

– Wszystkiego najlepszego, Eya.

Podał jej pochodnię i zaproponował, żeby ją zdmuchnęła. Nie pojmowała dlaczego.

– Przypomniałem sobie, że taki był zwyczaj Ziemian, którzy sprawdzali w ten sposób, czy mają w sobie jeszcze tchnienie. Kiedy się zestarzeją i nie będą już w stanie zdmuchnąć tej pochodni, będzie to znaczyło, że niedługo umrą.

Zachwycona Eya z całej siły dmuchnęła na pochodnię.

– Jeszcze tak zaraz nie umrę – powiedziała.

– Co chcesz na urodziny? To jeszcze jeden ziemski obyczaj. W dniu urodzin daje się prezenty.

– Moim najpiękniejszym prezentem byłoby...

Eya udała, że się zastanawia, po czym uśmiechnęła się szeroko.

– Historia. Och, Adamie, proszę cię, opowiedz mi jeszcze raz historię naszych przodków!

To najpiękniejszy prezent ze wszystkich, Adamie!

– Nie Adamie, tylko Adrienie – sprostował, po raz kolejny dając wyraz swojemu oburzeniu. – Zgoda, to będzie twój prezent. Historia przez duże „H”. Cóż, skoro trzeba ci wszystko opowiedzieć, oto historia, WIELKA HISTORIA LUDZKOŚCI. Na początku, hm... cóż, dawno, dawno temu, był świat, inny świat, bardzo daleko.

– Raj? – podsunęła dziewczyna, przypomniawszy sobie wcześniejsze opowieści.

– Nie, nie mieszaj wszystkiego, inaczej nigdy do tego nie dojdziemy. Miasto Raj było to pierwsze wielkie miasto w cylindrze. Teraz mówię o innym świecie, o innej Ziemi. Otóż była sobie inna Ziemia, dawna, daleka. W bardzo odległym Układzie Słonecznym. Ale ludzie stali się bardzo twardzi...

– Żli?

– Powiedzmy, że byli agresywni. A na dodatek bez przerwy robili dzieci.

– Jak króliki? To dobrze, że jest dużo królików, bo dzięki temu mamy co jeść, nie?

– Dla każdego gatunku istnieje idealna liczba w stosunku do środowiska, w jakim on żyje. W tym wypadku było ich naprawdę bardzo dużo. Byli tak liczni, że ciągle urządzali coraz okrutniejsze wojny, żeby zlikwidować nadmiar populacji. Mieli nawet broń, która potrafiła spalić miliony ludzi.

– Jak to możliwe? – zapytała dziewczyna, otwierając szeroko oczy z ciekawości.

– To z powodu bomby atomowej, kiedyś ci to wyjaśnię, ale na razie niech ci wystarczy, że był sobie świat, w którym ludzie, nasi przodkowie, popełnili mnóstwo głupstw. Rozmnażali się bez opamiętania i zabijali bez opamiętania. Nie zastanawiali się nad skutkami swoich czynów. Zatruli wodę, powietrze, zniszczyli miejsca, w których żyli. Na swoich przywódców wybrali osoby bardzo pewne siebie, które deptały słabszych. Istniały religie, które fanatyzowały tych najbardziej uległych.

– Co takiego?

– Religie. To... jak by to powiedzieć, wierzenia. Niektórzy wierzyli, że mordując bliźnich, będą szczęśliwi, właśnie z powodu religii.

– To głupie.

– Istniały więc bomba atomowa, fanatyzm religijny, zanieczyszczenie środowiska, przeludnienie, a poza tym wszędzie stres i strach.

Adrien używał wyrażenń zaczerpniętych z dziennika pokładowego, chociaż sam nie był pewien, czy rozumie ich rzeczywiste znaczenie. Nie chciał okazać przed dziewczyną własnej

niewiedzy na temat przeszłości. Interpretował, zmyślał, nadawał wymiar romantyczny.

– Było tak aż do dnia, kiedy pewien człowiek, Yves, wpadł na pomysł zbudowania statku kosmicznego.

– Czego?

– Ogromnego statku, który pływa nie po wodzie, ale w powietrzu. A nawet daleko ponad niebem, wśród gwiazd.

– Jak ptak?

Patrzyła na Adriena z podziwem, ciesząc się, że może słuchać tak niezwykłych opowieści.

– Bardzo duży ptak. Yves umieścił w nim sto czterdzieści cztery tysiące osób – dodał Adrien.

– Sto czterdzieści cztery?

– Nie, sto czterdzieści cztery tysiące osób.

Oczy dziewczyny błyszczały. Przemnożyła na palcach dziesięć razy, aż uzyskała właściwą liczbę.

– A potem dorzucił jeszcze jaja wszystkich zwierząt, żeby odtworzyć gdzie indziej „pełną ziemską faunę”.

– Tutaj?

– Istotnie, tutaj. Ale wtedy jeszcze nie wiedział, jak tu jest. Po prostu namierzył odległą planetę za pomocą specjalnego przyrządu optycznego zwanego „radioteleskopem”. Yves zbudował coś w rodzaju wielkiego statku-ptaka, zaprosił na pokład sto czterdzieści cztery tysiące osób, a Elisabeth nim pokierowała. Zapamiętaj dobrze te imiona: Yves’a, twórcy statku, i Elisabeth, która pierwsza go pilotowała.

Wyciągnęła swój notes, cenny przedmiot znaleziony w kabinie *Muszki 2*, i sprawdziła, czy opowieść ta zgadza się z wcześniejszymi zapiskami. Podkreśliła oba imiona.

– Wszyscy byli przeciwko nim – ciągnął Adrien.

– Dlaczego?

– Bo byli zazdrośni o ptaka-który-przenosił-ludzi-do-gwiazd.

Popatrzył na dziewczynę. Nie mógł się powstrzymać, by nie zadać sobie pytania, czy ma w sobie jego geny.

Powodowało to u niego jakąś blokadę. Jednocześnie skutecznie sobie wmawiał, że nie

łączy ich żadne podobieństwo. Ona miała oczy czarne, on zaś niebieskie. Ona miała włosy czarne, on zaś jasnokasztanowe. Ona była wysoka i wybujała jak na swój wiek, podczas gdy on był średniego wzrostu (co dało się wytłumaczyć zmianą siły ciężkości). Ona miała pociągłą twarz i wysokie kości policzkowe, on zaś raczej okrągłą i pyzatą.

– Owszem, byli zazdrośni, ale zarazem skłonni do samozagłady i nie chcieli, żeby ktokolwiek zdołał uciec przed tą autodestrukcją. „Ostatnia Nadzieja”, tak nazywał się projekt. Nadzieja na ucieczkę z planety, zanim ona umrze.

Doskonale pamiętał, że przeczytał to w *Dzienniku pokładowym* Yves’a-1.

– Kiedy ja czuję się zagrożona, wtedy biegnę, zwiewam dokądkolwiek – oznajmiła. – Raz natknęłam się na niebezpiecznego wilka i bez namysłu uciekłam.

– Dobrze zrobiłaś, Eya. Dobrze zrobiłaś. Oni też dobrze zrobili, bo przy tym tempie, w jakim wszystko niszczyli, nie dało się już nic naprawić. Z powodu przeludnienia, zanieczyszczenia środowiska, fanatyzmu, terroryzmu, epidemii Ziemia, to znaczy „stara Ziemia”, stała się piekłem.

– Co to takiego piekło?

– Wybacz mi. Piekło to nazwa pewnego miasta w cylindrze, które sprzeciwiło się Rajowi. Ludzie też byli tam bardzo twardzi i bardzo agresywni. Ale o tym także porozmawiamy kiedy indziej. A więc na „starej Ziemi” wszystko szło źle. Yves stworzył projekt „Ostatnia Nadzieja”.

– A co z jego ptakiem, który pomieścił tysiące ludzi?

– Tak naprawdę mówiło się na to statek kosmiczny. Nadano mu nazwę *Gwiezdnego Motyla*. Ponieważ miał wielkie skrzydła jak u motyla i poruszał się dzięki napędowi światła gwiazd.

– Światła gwiazd? Och! To musiało być piękne.

– Owszem, urodziłem się na *Gwiezdnym Motylu* i to było piękne, ale jeśli będziesz mi ciągle przerywać, daleko nie zajedziemy.

– Więcej się nie odezwę – zapewniła dziewczyna o dużych czarnych oczach.

– A więc... Yves’owi i Elisabeth udało się poderwać do lotu *Gwiezdnego Motyla*, na którego pokładzie znajdowało się sto czterdzieści cztery tysiące osób, zwierzęta, drzewa i kwiaty.

– To właśnie tam był raj i piekło?

– Podróż trwała ponad tysiąc dwieście lat, na koniec zaś ze stu czterdziestu czterech tysięcy zostało sześcioro ocalałych.

– Ty?

– Tak, ja i pięcioro innych osób. Ale tylko jedna kobieta. Miała na imię Elith.

– Lilith?

„Dlaczego ona zawsze przekręca imiona?”

– Nie, Elith. To Elith i ja wylądowaliśmy pierwsi, a właściwie jedyni na tej planecie zagubionej na końcu wszechświata. I tutaj razem żyliśmy.

Pokiwała głową na znak, że rozumie.

– Czyli Lilith to moja matka?

„Ona to robi specjalnie. Tylko dlaczego? Żeby mnie zdenerwować?”

– Nie. Niestety, nie miałem dziecka z Elith.

– W takim razie skąd się wzięłam ja, Eva?

– Nie, nie Eva, tylko Eya. To zadziwiające, jak potrafisz przekręcać imiona. Można by pomyśleć, że robisz to specjalnie.

Zaprzeczyła ruchem głowy, chcąc pokazać, że to silniejsze od niej.

– Skąd się wzięłam, Adamie?

– Gdybym ci powiedział, i tak byś mi nie uwierzyła... narodziłaś się z jednej z moich kości. A właściwie z jednego z moich żeber.

Pokazał jej bliznę po operacji, której sam na sobie dokonał.

– Zrobiłeś mnie z własnego żebra, Adamie?

Zamilkł.

„Znow przekręciła moje imię. Nie ma sensu jej poprawiać, ona to robi bezwiednie. Zupełnie jakby pożerała imiona i opowieści, żeby przyswoić je sobie na nowo. Wszystko odtwarza po swojemu”.

– Dalszy ciąg już znasz: w laboratorium pomogłem przyjść na świat zwierzętom dzięki zapłodnionym jajom, które Yves umieścił w magazynie. A ty pracowałaś razem ze mną. Jest ich tak dużo.

– Och, Adamie, musisz mi pomóc wymyślić dla nich nazwy, bo etykiety zaczynają się odklejać i mnóstwo z nich już pogubiłam. Pomożesz mi ponazywać zwierzęta, Adamie?

– Oczywiście, oczywiście, kochanie.

Spojrzał w jej ogromne czarne oczy. W tej właśnie chwili zawahał się, czy nie powołać by do życia kolejnych dzieci w taki sposób, jak to zrobił z Eya. Myśl o wycięciu sobie żebra

jeszcze raz przywołała jednak zbyt wiele złych wspomnień.

Dziewczyna o wielkich czarnych oczach przeczytała ponownie swoje zapiski.

– Zreasumujmy. Stwórca ma na imię Yahwe.

„Nie, nie Yahwe, tylko Yves. Trudno, nie będę się upierał”.

– Dawno temu ty, Adamie, i Lilith zamieszkaliście w Raju. Potem zostaliście zesłani tutaj, na tę Nową Ziemię.

– W całej tej opowieści występuje jeszcze Satine.

– Szatan?

Przez chwilę pomyślał, że Eya jest głucha i że to dlatego zmienia głoski.

– Nie: „Satine” – odparł machinalnie. – Najpierw była cudowna. A potem nie wiadomo, co ją napadło.

Przyjrząwszy się dziewczynie, Adrien stwierdził, że jest nadzwyczaj piękna z tymi swoimi czarnymi oczami, które muszą pochodzić z samej głębi początku. Była taka pełna życia, tak bystra, tak łatwo dawała się oczarować opowieściami o przeszłości.

– Aha, i jeszcze jedno... – dodał. – Uważaj na węże. One mogą wyrządzić dużo zła.

Dziewczyna napisała tę przestrozę w notesiku. Podkreśliła ją nawet.

– A tamci? – zapytała ni stąd, ni zowąd.

– Jacy tamci?

– Ci ze „starej Ziemi”?

Na chwilę zamknął oczy. Spróbował sobie wyobrazić, co się stało z „tamtymi”. Postanowił, że jeszcze dziś wieczorem zada sobie to pytanie na głos, a być może we śnie nadejdzie odpowiedź.

Spojrzenie Adriena zagubiło się gdzieś w oddali. Od wielu już dni wpatrywał się w mapę nieba umieszczoną na końcu książki *Nowa planeta: instrukcja obsługi*. Jego zdaniem, gdyby ją odwrócić, stara Ziemia powinna się znajdować o, tam.

Pokazał palcem konstelację gwiazdną w kształcie rondla. Miał wrażenie, że jest podobna do niedźwiedzia.

– To było w gwiazdozbiórze Wielkiej Niedźwiedzicy – powiedział bez namysłu.

– Stara Ziemia?

Ogień zgasł. Mężczyzna dmuchnął w żar, żeby ciepło przetrwało nieco dłużej.

– „Stara Ziemia” znajduje się w gwiazdozbiórze Wielkiej Niedźwiedzicy – ciągnęła – a

więc tutaj jest „Nowa Ziemia”.

„Do pioruna, ona ma rację. «Stara Ziemia» już nie ma sensu. To tutaj jest nowy czas i nowe miejsce odniesienia. Od tej chwili nie ma już powodu, żeby nazywać ją nową Ziemią. Ziemia jest tutaj. Jedyna Ziemia, jaka ma znaczenie”.

W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że słowo „Ziemia” stało się w końcu ogólnym terminem na określenie planety, na której żyli ludzie opowiadający historię.

Pewnego dnia pierwotna Ziemia będzie uznana za „obcą planetę”, a jedyną planetą określającą Ziemię będzie tylko ta. Wszystko ulegnie odwróceniu.

Co za kpiny!

Na palcu usiadła mu ćma, jakby szukała schronienia.

Mężczyzna osłonił ją dłonią, uśmiechając się szeroko. Ponieważ ćma została, zamknął dłoń i ćma przestała się ruszać.

Wyobraził sobie nawet, że w przyszłości potomni zupełnie zapomną, skąd pochodzą, i będą wierzyć w istnienie jedynej Ziemi, na której możliwe jest życie. Właśnie tutaj.

– Być może kiedyś będziesz miała dzieci – powiedział Adrien. – Być może „my” będziemy mieli dzieci – poprawił się nieco zażenowany.

– Tak, i co z tego?

– To bardzo ważne, żebyś opowiadała im wszystko, tak jak ja opowiedziałem tobie, aby wszyscy zachowali pamięć z przeszłości i odrobinę wiedzy uczonych, którzy następowali po sobie w czasie aż do ciebie.

Dziewczyna zrobiła porozumiewawczą minę.

– Książki?

– Tak, książki, ale także przekaz ustny. Oraz przekaz symboliczny. Jeśli nie możesz przekazać informacji dosłownie, przekaz ją w formie alegorii. To twoja jedyna powinność. Przekaż Wiedzę. Nasze dzieci zapomną wiele rzeczy, wiele z nich pojmą na opak, pomyślą nawet, że to jedyna planeta, na jakiej żyli ludzie. „Ziemia”. Wiedza to jedyny skarb, który jest w stanie nas wyzwolić z ciemnoty. To wszystko, co pozostało po doświadczeniach bólu, błędach i wynalazkach naszych przodków. Przekazać wiedzę, aby mieć pewność, że nasi potomkowie nie będą powielać bez końca tych samych błędów.

Powtórzył to zdanie, jakby nie pochodziło od niego, jakby duch Yves’a przemawiał przez jego usta.

„Aby mieć pewność, że nie będą powielać bez końca tych samych błędów”.

– W dalekiej przyszłości nasze wnuki – upierał się Adrien – kiedy znów będą ich miliony, a może nawet miliardy, i kiedy zaludnią całą powierzchnię tej Ziemi, nie powinny powielać świata podobnego do tego, z którego my przychodzimy, wraz z wojną, zanieczyszczeniem środowiska, fanatyzmem religijnym, przeludnieniem.

– Jednym słowem: życia jak na starej Ziemi.

– Nie wolno tego powielać. Inaczej cały nasz wysiłek pójdzie na marne. Inaczej okaże się, że marzenia i dzieło Yves’a posłużyły jedynie do powielania scenariusza klęski. Jutro stanie się nowym wczoraj. I... szczyt ironii, może nawet za sześć tysięcy lat nasze wnuki będą zmuszone zbudować następnego *Gwiezdnego Motyla*, żeby wyruszyć ku kolejnemu sąsiedniemu układowi słonecznemu i ku kolejnej nadającej się do zamieszkania planecie. Ku trzeciej „Ziemi”. Szkoda by było.

Eya zdawała się pogrążona w głębokiej zadumie. Nagle odkryła owoc swoich myśli:

– W gruncie rzeczy może jest to wieczne zaczynanie od nowa, które wzięło swój początek dawno temu i nadal będzie trwać. Może w przeszłości istniało sto Ziemi i *Gwiezdnym Motyli* z ocalałą ludzkością. I może będzie jeszcze sto Ziemi w przyszłości. A za każdym razem ci, którzy przeżyli, zapominają, skąd pochodzą, i są przekonani, że znajdują się na jedynej Ziemi.

Rozbawiła go rzeczywistość tego stwierdzenia. Ona tymczasem mówiła dalej:

– To trochę tak jak z tą teorią reinkarnacji, o której mi kiedyś mówiłeś, bo przeczytałeś o tym w książce Yves’a. Tylko że w tym wypadku nie dotyczyłoby to jednej osoby, ale wszystkich. Ludzkość się odradza. I za każdym razem zapomina i jest przekonana, że znajduje się na planecie, którą nazywa Ziemią.

Jej czarne oczy lśniły.

Uważał, że ma wyjątkowo bystry umysł.

Pomyślał, że jest lepsza od niego. Przyszłość to kobieca energia, silniejsza niż energia wszystkich mężczyzn, którzy się nawzajem pozabijali.

Poczuł pieszczotę skrzydeł ćmy we wnętrzu dłoni. Wtedy przypomniał sobie słowa przeczytane w książce Yves’a.

Gąsienico, zmień się, przeobraź się w motyla. Motylu, rozłóż skrzydła i leć ku światłu, „Ta gąsienica – pomyślał – to sama ludzkość. Ona musi się przeobrazić w ludzkość o wyższym poziomie świadomości”.

– Nie zapomną, jeśli im opowiesz – nalegał. – Właśnie to pozostanie, kiedy wszystko zapomną: opowieści.

– Ale jeśli będzie się im opowiadać, pomyślą, że to ich niedaleka przyszłość, gdy tymczasem to... odległa przeszłość.

Adrien doszedł do wniosku, że Eya pojmuje w lot, ponieważ jest ciekawa, ciekawość ta zaś może stać się dla nich wybawieniem.

„Pomyślą, że to ich przyszłość, gdy tymczasem to przeszłość!”

Jego wzrok znów powędrował ku gwiazdom, ku Wielkiej Niedźwiedzicy, tam gdzie, jak sądził, znajdowały się jeszcze ślady po poprzednich doświadczeniach, po tych ze starego świata, „tych, którzy nie potrafili odejść zawczasu”. Po policzku popłynęła mu łza.

Dziewczyna przysunęła się bliżej.

– Ale kiedyś trzeba będzie to przerwać. Nasi przodkowie uciekli ze swojej Ziemi, żeby założyć nową ludzkość na innej Ziemi, ale my musimy tak postępować, żeby to się więcej nie powtórzyło.

– Dlaczego? – zapytała dziewczyna.

– Nie można wiecznie uciekać.

Mówiąc te słowa, wypuścił ǫmę, która pofrunęła niesiona powiewem wiatru.

Biła powietrze długimi skrzydłami, po czym wzniosła się w naturalny sposób ku światłu gwiazd.

Ten, którego nazywała „Adamem”, spoglądał na tę, która sama o sobie mówiła „Ewa”, powtarzając to zdanie, żeby w nie uwierzyć:

„Nie można wiecznie uciekać... „